

TOM CCXXXVI

SERYA 8

De II 1

ROK 60

ZESZYT 705

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

STYCZEŃ.

1900.

TOM I. — ZESZYT 1.

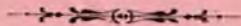
WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1900.

TRZEŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. WESELE WIESIOŁKA, Bajka, — przez Elizę Orzeszkową	1
II. SZUJSKI JAKO POETA, — przez St. Tarnowskiego .	18
III. KRONIKA RZYMSKA, — przez Adama Darowskiego	57
IV. WYRAZ TWARZY I MOWA OCZU, — przez dra Józefa Nussbauma	84
V. RICK I ROCK, powieść, — przez Wincentego Kosia- kiewicza	102
VI. W SPRAWIE EMIGRACYI WŁOŚCIAŃSKIEJ W BRAZYLII, — przez dra Józefa Siemiradzkiego .	137
VII. MATERIAŁY I NOTATKI, „1793“, — przez Szymona As- kenazego	155
VIII. PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY: I. Obrazy na Wystawie Sztuk Pięknych. II. Panorama: „Męczeństwo chrześcian za Nerona“ Jana Styki, — przez Stefana Popow- skiego	166
IX. PIŚMIENICTWO. Wacław Sieroszewski: „Risztau“, powieść, 1899, — przez Annę Krzymuską	177
X. KRONIKA MIESIĘCZNA. Spór o początek XX-go wieku. — Opieka nad bezdomnymi dziećmi. — Kwestyonaryusz Towarzystwa higieniczne- go w sprawie czystości ciała. — Nowy konkurs po- wieściowy. — Podręcznik do rozróżniania stylów w ar- chitekturze. — Wystawa sztuki kościelnej. — Zjazd górnicy	182
XI. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	195



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Warszawa — 1900

Wydawnictwo Biblioteczne Warszawskie

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

Wesele Wiesiołka.

B A J K A.

Kotlina wśród pagórków, obrosłych sośninką cienką i rzadką, mającą jeden tylko otwór na świat, niby bramę, przez którą widać pole, drogę polną i skłon nieba mętny w oddaleniu. Dokoluteńka ściany pogięte w zęby, garby i okryte szczotką pni iglastych, z liściastą wzorzystą podszewką u spodu; na dnie łączka okrągła z trochę rozrzuconych drzew i krzewów, z mnóstwem traw i kwiatów. Kącik świata niezmiernie ukryty, cichy, skromny, ciasny... Trudno-by przypuścić, aby cokolwiek godnego uwagi dziać się w nim mogło. Jednak działo się.

Noc była czerwcową, pogodną, głucha i ciemna; głucha, bo wszystkie wiatry i wietrzyki głęboko spały, ciemna, bo czerwiec, to nie sierpień, w którym nocne nieba płoną od niezmiernej ilo-

ści gwiazd niezmiernie wyiskrzonych. I teraz świeciły gwiazdy, lecz zrzadka rozsiane i blado połyskujące na sklepieniu prawie czarnem.

Jednak przy świetle tych gwiazd, jakby je przedrzeźniając, coś na łączce połyskuje także bladem złotem. Są to szeroko otwarte oczy Wiesiołka.

Wiesiołek to kwiat tylko, lecz nie byle jaki, samym nawet uczonym mężom zblizka znany i przez nich obdarzony brzmiącym imieniem: *Oenothera biennis*. Wszystko dokoła śpi, wszystkie rośliny dokoła pozamykały oczy, postulały korony, śpią nawet zioła i trawy drobne, przytulone do ziemi, usnęły, a on, Wiesiołek, jeden tylko pośród rodu swego, jak zwykle, jest bezsennym. Zwykle, jak noce letnie długie, tak oczy jego, z łodygi tak wysokiej, że wszystkie otaczające wzrostem przenosi, patrzą w ciemność niestrudzone, szeroko rozwarte, duże, liczne. Dla tej-to właściwości jedni z pomiędzy pospółstwa dają mu nazwę Świecy nocnej, a inni Wiesiołka, tę drugą z tego zapewne powodu, że na czarny płaszcz nocy jasne oczy jego składają krople złotej wesołości.

Dziś, bezsenny zazwyczaj Wiesiołek, mniej niż kiedykolwiek mógł i chciał usnąć; owszem, z całej siły nerwów, przebiegających jego lancetowate liście, dziękował matce naturze za dar bezsenności, albowiem spędzał noc rozkoszną, noc zachwytów i rojeń przedślubnych. Gdy tylko ciemności nocne ustąpią przed światłem dziennym, o samym wschodzie słońca, w minucie rozwijania się skrzydeł motyli i przetapiania się kropel rosy w brylanty, odbędzie się jego ślub i wesele.

Ślub? Z kim? Któraż z piękności łąkowych wyborem swym uszczęśliwił ten, kogo natura obdarzyła wzrostem najwyższym i wielką ilością dużych, jasnych, wiecznie czuwających oczu? O! nie uczynił on złego wyboru i nie zamierzał uczynić mezaliansu. Przed kilku dniami, gdy jasne oczy jego, w pęki stulone, z za jednego zaledwie odchylającego się płatka na świat spojrzały, ujrzał naprzeciw siebie o kilka kroków stojącą i tak, jak on, zaledwie poczynającą oczy na świat otwierać, Malwę Alceę, córę możnego i szeroko rozrodzonego rodu Ślazów. Ujrzał i wnet uczuł, że w łodydze, od stóp do wierzchołka, sole sodowe i potasowe, magnezyowe i wapienne szybciej niż zwykle krążyć mu zaczynają, a albumin ścina się tak, jakby go kto w gorącej wodzie pogrążył. Trochę jeszcze, a byłby uwiądl ze wzruszenia, które sprawiła mu ujrzana piękność, i uratowało to tylko, że wzruszenie, jakkolwiek wstrząsające, przez nagłe powiększenie mu w organizmie ilości cukru gronowego, stało się bardzo słodkiem.

Wzrostem Wiesiolkowi prawie równa, tak jak on wysoka i kształtna, Malwa Alcea, z za cienkich liści, którym głębokie wcięcia nadawały delikatność prawdziwie arystokratyczną, wzajem patrzyła na Wiesiolka mnóstwem oczu, tak, jak i u niego jeszcze w pęku stulonych, lecz już obiecujących, że będą wkrótce bardzo różowe. Tak jak i on, z ciekawości i zachwycenia odwinęła po jednym płatk u każdego oka i oboje z za tych uchylonych płatków patrzyli na siebie w blasku słońca, z liśniami zlekka potrącanymi przez Wietrzyki, dzierżące w państwie tem urzędy swatów i mistrzów ceremonii na wszelkich uroczystościach weselnych. Byli-by najpewniej pobrali się już wtedy, w tym pierwszym momencie poznania, gdyby nie to, że matka natura pozwolenia swego odmówiła i na dojście do pełnoletności oblubieńców obojgu czekać rozkazała. Pora ta wczoraj nareszcie nadeszła i przed końcem dnia, gdy słońce, skłaniające się ku zachodowi, ukośne światła kładło w lesie na trzmieliny, leszczyny, paprocie i uścielające ziemię suche igły sosnowe, kukulka w sposób szczególny i powszechną uwagę zwracający uwijać się zaczęła. Ptak to jest zazwyczaj ruchliwy i gadatliwy, ale wczoraj tak już jej poprostu spokoju nie było, tak jej wszędzie było pełno, tak fruującymi skrzydłami wszystkie gałęzie drzew i krzewów potrącała, że w gałęziach siedzące i już potrosze do snu zabierające się szczygły, czyże, ezeczotki, kosy, wilgi i inne drobne ptaki, poczęły obracać główki za tą wielką a płochą siostrą, ciekawe, co z tego będzie i jaką też nowinę wnet od niej usłyszą; bo że ona właśnie przynosiła tu i ogłaszała wieści o wszystkich ważnych wypadkach, w okolicy zachodzących, o tem wiadomo było powszechnie. Był to jej urząd, który pełniła z zamiłowaniem i odpowiednimi przymiotami głosu i temperamentu. Teraz także, dostatecznie już dla zwrócenia uwagi publicznej nalatawszy się po drzewach i krzakach, na wysokiej gałęzi zawisła, i jak tylko mogła najdonośniej wołać zaczęła:

— Ku-ku! Ku-ku!

A potem zaśmiała się tak, że aż zaniósła się od śmiechu.

Wtedy na gałęziach różnych, wyżej i niżej, mnóstwo ptasich główek dzióbkami zwróciło się ku sobie i zaświergotało:

— Co? co? co? kto? kto? kto? ci? ci? ciii! fiu! fiuuu!

Zrozumieli. Kukulka ogłaszała na jutrzejszy ranek zabawę weselną, dla której trzeba było orkiestry, orkiestry licznej, hucznej, która-by zagrzmiiała w sam moment ślubu, w samą tę chwilę, gdy złote czoło słońca wychyli się z za różowej jutrzeńki.

— Orkiestra na jutro — wołała kukulka — orkiestra na brzeg lasu, nad sam skraj łąki, gdy tylko motyle się obudzą i rosa zamieni się w brylanty!

Mali muzykańci w zielonych igłach i liściach główkami krecili i dzióbkami na znak chętnego zgodzenia się wstrząsali.

— Owszem! Owszem! czemuż-by nie? z ochotą! Szkoda tylko, że głównego grajka pośród nas niema! Słowik oniemiał. Gdyby trochę wcześniej, onby-to najtkliwiej i najdonośniej pieśń weselną zawiódł. Lecz i bez niego Epitalamium ułożymy! Podolamy! Zrobi się, co będzie można!

Gdy taka umowa zawiera się pomiędzy ptakami, motyl, wielki, ciężki motyl, który u złotej głowy Starca Jakóbka (w mowie uczonej Senecio Jakobe'a zwanego) uczepiony, już skrzydła ciemne i purpurą ucentkowane do snu zwijać zaczął, rozprostował je i uniół się z nad Starca i z chwilową zadumą w powietrzu zawisnął. Chwilę tylko dumiał, poczem, jakkolwiek głowę w stosunku do skrzydeł miał bardzo małą, zrozumiał, o co idzie, i lotem powolnym, poziomym, nad samą prawie ziemią popłynął. Za ledwie nad kawałkiem ziemi suchemi igłami okrytym przepłynął, z krzaków różnych, z ziół wysokich, z sęków gałęzi suchych, ze ździebeł mchu siwego, zerwała się i otoczyła go cała gromada motyli mniejszych, lżejszych, żółtawych i błękitnych, liliowych, białych.

Zleciały się dokoła wodza i przez chwilę krążyły w powietrzu, skrzydłami potrącając się nawzajem i wąsikami wprost jeden drugiemu w oczy tajemnicze ruchy jakieś wykonywując, co jednak wszystko nie długo trwało; rychło bowiem motyle dowiedziały się, co będzie, a gdy się o tem dowiedziały, wiedziały już, co im czynić wypadnie, i jakby je wiatr rozgonił, tak pierzeły na wszystkie strony i w różnych zakątkach, ukryciach poznikały. A wódz, wielki motyl z purpurowemi kroplami na skrzydłach, do Starca Jakóbka powrócił, u złotej jego głowy zawisł, skrzydła prostopadle podniósł, lecz długo ich do snu nie stulał. Myślał o zadaniu, które jutro spełnić mu przyjdzie, nie lada jakim, przeciwnie, bardzo ważnem, rzec można, że w aktach zaślubin kwiatów z kwiatami najważniejszym.

Oto, gdy moment właściwy nadejdzie, on skrzydła swe w całej szerokości rozpuści, z całą właściwą mu powagą nad łączką powietrzem przepłynie, u oka pana młodego na sekundę zawisnie i, z rzesy pocałunek mu zdjawszy, na rzesie panny młodej go złoży. I ta to właśnie czynność wielkiego motyla będzie pomiędzy nowożeńcami właściwym aktem ślubnym, on jeden dokonać jej ma prawo, bo udzielanie ślubów młodym parom stanowi w tem państwie jego urząd, tak, jak urzędem kukulki jest przynoszenie i ogłaszanie wieści o różnych zdarzeniach świata.

Lecz nie dość na tem; za motylem wielkim, niby za wodzem, wyleci na łączkę rój motyli mniejszych: żółtawych, błękitnawych, li-

liowatych, białych, i rozleciawszy się po łączce, roznosić zaczęły pocałunki, z rzęs jednych gości weselnych zdejmowane i na rzęsy innych składane, tylko wcale różne od tantego znaczenie posiadające, bo gdy tamten, wagi pełen, oznacza połączenie się dozgonne, te, lekkie i płoche, są tylko flirtem, zabawą, sposobem powiększania się w organizmach ilości cukru gronowego, więc zaprawienie ich słodyczą, znikomą wprawdzie, ale na razie przyjemną. Rzecz tę, trochę zawikłaną, w ten sposób jaśniej określić można, że wielki motyl daje oblubieńcom ślub, a małe motyle roznoszą pomiędzy gośćmi marcepany. Jakkolwiek bądź, motyle, dumając o robocie jutrzejszej, po zachodzie słońca jeszcze nie spały, wisząc z podniesionymi, lecz nie stulonymi skrzydłami u liści trzmielin i leszczyn, u wysokich łodyg kwiatowych, u sęków gałęzi suchych, leżących na pościelach siwych i zielonych mchów.

Gdy tak działo się w lesie, nad łączką, niziuteńko, prawie przy samej ziemi, latały, uwijały się, kręciły na wsze strony, mistrze ceremonii dzisiejszej, Wietrzyki przedwieczne. Gości na wesele zapraszały, zamawiały odpowiedny orszak służebny. Z zaprosinami kłopot był niemały. Krewnych, przyjaciół, znajomych mnóstwo, lecz nie wszyscy zarówno drodzy i dostojni. Więc kogo zaprosić do orszaku ślubnego, a kogo na ucztę weselną? Aby tylko kogo nie zaniedbać, nie obrazić, a z drugiej strony niepotrzebnie nie zaprosić, bo pospółstwa na łące mnóstwo i łatwo zdarzyć się może, że ktoś z gminu, ktoś nie dość dobrze urodzony i wychowany, niezgrabny łopian jaki naprzykład, brudny lulek, albo szorstki oset, do kompanii wyborowej i dystyngowanej wchodzić może.

Tego zadania to już inaczej spełnić niepodobna, jak fatygi, sprytu i dyplomacyi nie żalując. Ale Wietrzykom w to tylko i graj! Im tylko uwijać się po świecie, szeptać, namawiać, rozłączać, łączyć! I w tym wypadku poradziły sobie wyśmienicie: pół godziny nie upłynęło, słońce jeszcze nie zaszło, a orszak ślubny i całe towarzystwo weselne już obmyślane i zaproszone zostało.

Więc naprzód drużki i drużbowie: dla panny młodej dwie najpiękniejsze po niej dziewice łąki: Przytulnia biała, czyli Gallium Molugo, ród swój wiodąca od samych róż, a w garderobie swej posiadająca najpiękniejszą w świecie suknię z białych koronek, i Epilobia Grandiflora, z kibicią wysmukłą, gęsto natykaną gwiazdkami, cienutko powycinanemi z ametystów. A drużbowie: jeden z kiścią kielichów amarantowych u wierzeholka, noszący pospolite imię Mieczyk, uzone zaś Gladiolus; drugi Bodziszek, czyli Geranium, bogacz wiel-

ki. Bogaczem był, bo gdy tylko do pełnoletności dosięgnął, matka natura osypała go taką ilością koron, tak liliowych, że zaćmil-by niemi najpewniej choćby najpiękniejszy z tych lilaków, które niewiedzieć czemu powszechnie, choć błędnie, nazywają Bzami. Do tych zaś dwóch par, u końca narady wietrzykowej, przybyła trzecia jeszcze, nie bardzo potrzebna, lecz przez względy dość ważne podyktowana. Na trzeciego družbę Wietrzyki musiały zaprosić Posłonka. Żaden krewny, ani przyjaciel, niskiego wzrostu, trochę krzywy i z jednym tylko okiem, dość ładnym wprawdzie, jak szafran żółtem, lecz tylko jednym. Cóż robić jednak, skoro, pomimo braki swoje, Posłonek jest, ni mniej, ni więcej, tylko — faworytem słońca, czego najlepszym dowodem to, że imię najpotężniejszego pana nosi: *Helianthemum*, od *Helios*, wyrazu, który w jakimś tam języku ludzkim oznacza słońce. Za cóż wysoki fawor ten splanął na istotę dość mierną i niepozorną? O, jak bywa często, za pochlebstwo! Bo Posłonek posiada rzadki dar dworackiej zalotności i uniżoności. Zazwyczaj, o samym wschodzie wspaniałej gwiazdy dziennej, zaledwie otrząsnawszy się ze snu, zwraca ku niej swoje jedyne, szafranowe oko, wytrzeszcza je tak, że czyni się ono zupełnie okrągłutkiem i płaskiem, wlepia je w samo oblicze słońca i potem już, jak dzień długi, za słońcem je obraca; gdzie ono płynie, tam i oko Posłonka się obraca: w południe, ku środkowi sklepienia, jak tacka płasko rozpostarte, wieczorem, ku zachodowi z wierzchołka łądygi podane. Dziw tylko, że w tych dworackich obrotach szyi sobie kiedykolwiek nie skreśli! Gdzie tam! Prostuje ją hardo i ma zwyczaj, z fanfaronadą wcale nie sympatyczną, krótkimi gałązkami ujmować się w boki. Wie, że faworytem jest Pana nad Panami! Zaprosić go trzeba, i to na družbę, bo mógł-by jeszcze intryg narobić i bięde jaką, posuchę naprzykład, albo grad, sprowadzić z tych szczytów, ku którym nieustannie oko zadziera! A skoro już ten pochlebca i fanfaron na družbę zaproszony, trzeba mu wybrać do pary družkę nie byle jaką, aby nie miał powodu przed tronem możnego protektora skarg zanosić. Będzie nią *Calla Palustris*, która na stronie stoi i z za kępy traw rozczochranych wychyla czarę szampańską z porcelany, białej, jak śnieg.

Na gości zaś zaproszenie otrzymało rodzin kilka zaledwie, lecz możnych i licznych, mianowicie: Koniczyny, Kosańce, Myozotisy, czyli Niezapominajki, i Przetaczniki, czyli Weroniki, we wszystkich liniach swego bardzo rozgałęzionego genealogicznego drzewa, jako to: kłosowe, rolowe, macierzankowate, bobownikowe (*beccabunga*), lekarские, łąkowe i t. d. Z łąkowemi było trochę kłopotu, oddawna już bowiem prowadziły z Myozotisami zaciekłą konkurencyę o piękność

oczu, które u Weronik łąkowych były większemi znacznie, a u Myozotisów posiadały błękit daleko czystszy, daleko więcej przypominający — niebo. Dowiedziawszy się tedy o zaszczytce, którego Myozotisy dostąpić miały, Weroniki łąkowe dość kwaśno zrazu zaproszenie przyjęły i, wymawiając się słabością zdrowia, przez tegoroczne chłody sprowadzoną, udziału swego w zabawie weselnej odmówiły. Lecz Wietrzyki filuty tak zaczęły wychwalać cudny szafir ich oczu, tak je (pod sekretem) nad oczy Myozotisowe wynosić, że zazdrośnice zmiękły i ostatecznie przyrzekły, że nie tylko na weselu będą, ale nawet kobierzec ślubny pięknym arabeskiem, z szafirowych oczu ich ułożonym, przyozdobią.

Bo miał być i kobierzec ślubny, nawet wspaniały. W momencie umówionym, do stóp państwu młodym zaściele go Bluszczyk ziemny, pospolicie Kurdybankiem zwany, a na puszystą zieloność jego wijących się po ziemi gałązek Powoje rzucą pęki kielichów białych i Groszki, jakoteż Wyczki rozmaite, rozwina szlaki różnobarwne, krętemi wąsikami urozmaicone. Nad tym zaś kobiercem, inni służebnicy, przez Wietrzyki zamówieni, wzniesć mają ornamenty rozmaite, jako to: Drzączka, nosząca także drugie, oryginalnie brzmiące, imię Brizy, wstrząsać będzie mnóstwem nczepionych do wierzchołka breloczków ślicznie wyrzeźbionych; Biedrzeniec i Marchew dzika (Pimpinella i Carotta), rozwina setki białych jak mleko baldachów; Jaskry nakoniec gęsto pozapalają lampki, nalane nie oliwą wcale, ani tam żadną naftą, ale czystem złotem.

I jeszcze nie koniec przygotowań i świetności: w orszaku służebnym znaleźć się ma cały osobny oddział, kadzielniczym zwany, którego zadaniem będzie rozlewanie na całą łączkę, w pyszną salę balową przemienioną, woni, świeżych jak niewinność pól i łąk, a łagodnie upajających, jak żadną trucizną nie sfalszowe wino. W tym fachu kadzielniczym najbieglejszemi tu były: prosta i skromna Tomka, zwana Wonną, dwie siostry Mięty, Silvestris i Arvensis, a także Macierzanka, która nie na łączce, lecz na skłonie pagórka piaszczystego rosnąc, do poduszek ametystami natykanych podobna, zakapryśla była zrazu i usług swych na wesele Wiesiolkowe ofiarować nie chciała.

— Nie chcę — powiada — nie będę kwiatom łąkowym kadzi! Co to do mnie należy? Jam polna i leśna! Jak Chaber-Bławatek zenić się będzie z Ostróżką, Kozłek lekarski z Arniką, to wtedy...

Zamyśliły się Wietrzyki. Co tu robić? Czyliż sala balowa obejść się ma bez najsilniejszej i najmilszej z perfum? Oho! znajdą one na te kaprysy sposób! Nie w ciemię je bito! Po chwili tedy rzekły:

— A czy przypadkiem nie życzyła-byś sobie, Macierzanko, zobaczyć wyrzucanych w powietrze rakiet puchowych.

— Rakiety puchowe! co to znaczy? Musi to być zapewne coś osobliwego? Niech Wietrzyki będą łaskawe wytłómaczyć!

Wytłómaczyły.

— Czy znacie Dmuchawce?

— Znamy! znamy! pospolite i brzydkie.

— Tylko nie teraz brzydkie. Od kilku już dni pozrzucały z głów swoje istotnie pospolite, brudno-żółte kwiaty, a otrzymały od Matki Natury duże kule przesłiczne, przezroczyste, z niesłychanie lekkich puszków złożone. Matka Natura posiada mnóstwo klejnotów wspanialszych, jaskrawszych, lecz kunsztowniej i misterniej nad te kule wyrobionego nie posiada. Otóż, Macierzanko, jeżeli zgodzisz się kadzielnice swe w chwili wiadomej jak najlepiej zakołysać, my; Wietrzyki, tak uczynić potrafimy, że w tejże samej chwili kule Dmuchawcowe pękną, a puchy ich, miliardem kryształów w powietrze wystrzelisz, kobierzec ślubny niemi osypią.

Macierzanka-kapryśnica pomyślała trochę, potem rzekła:

— No, dobrze; skoro nam widowisko tak ciekawe w zamian za perfumę naszą ofiarujecie, to niech sobie już tak będzie: kadzielnice kołysać będziemy z całej siły. Tylko pamiętajcie! „Donnant, donnant!“ Darmo nic! Niech rakiety będą piękne i niech ich będzie dużo.

— Ależ tysiące! — zawołały Wietrzyki i zadowolone odleciały.

Nakoniec wszystko się urządziło, załatwiło, przygotowało, здаwać się mogło, że jak najpiękniej, gdy naraz, po ostatecznym zniknięciu słońca za skrajem firmamentu, przy świetle tylko zorzy wieczornej, ognistą luną z za rzadkiej przeświecającej, wybuchnęła znowu sprzeczka, klótnia, poprostu awantura. Jaskry zbiorowo oświadczyły, że lampek nie pozapalają. Zgodziły się zrazu zapalić, ale teraz, po rozmyśle, uznały, że w gronie służebnych znajdować się, nie zaś gości, im, Ranunculusom sławnym i szeroko w świecie znanym, wstyd i hańba! Więc jeżeli na uroczystości znajdować się mają jako goście, to i owszem, ale jako służdy, to nie: za nic! lampki swoje trzymać będą szczelnie zamknięte i nie odsłonią ich wcale, choćby nawet samo słońce rozkazało.

Bieda! Wietrzyki znowu w kłopot wpadły. Ci buntownicy, to przecież Jaskry pospolite, zupełnie pospolite, i w dodatku, zblizka spokrewnione z tym członkiem rodu, który stanowi ciężką jego hańbę

i zgryzotę, mianowicie z Jaskrem jadowitym, z Jaskrem trucicielem, z Jaskrem, noszącym przydomek Łotr, po łacinie Sceleratus! Jest to jeden z najzłośliwszych, najszpetniejszych zbrodniarzy i szkodników roślinnego państwa. Wprost, truciciel! I teraz oto stoi sobie na uboczku ten miły krewniaczek, cały żółty ze złości, porzewiała od ciemnych zamiarów, zyzem patrzy na wszystko i rogate łodygi, jak krzywe palce, wyciąga ku Ostom, takimże jak on gburom, tylko znacznie od niego ucziwszym. Pewno tych kompanów do jakiego niecnego czynu namawia, a tymczasem żółć z rdzą zmieszana przez wszystkie oczy wylewa się mu na świat! Cóż to więc za dzika jest pretensya, pospolitakami będąc i takiego krewniaka w rodzie mając, do pierwszorzędných osób w towarzystwach należeć! Jednak niema rady! Złote lampki Jaskrów są bardzo potrzebne; więc wypada znowu fortelu i dyplomacyi użyć.

Wietrzyki tedy westchnęły:

— Szkoda! — rzekły — słyszeliśmy, jak białe motyle już układały sobie plan latania pomiędzy wami a Weronieczkami o szafirowych oczach... Po prostu, miały zamiar zaręczyć was z nimi jutro, a jeśliby z was który Weronieczki nie chciał, to z pomiędzy Myosotisów cudnych wybrać-by można narzeczoną...

Jaskry nagle popodnosiły głowy i zaszeptały:

— Weronieczki śliczne. Myzotisy zachwycające! Narzeczone... Zaręczyć się, czy nie zaręczyć, ale tymczasem flirt...

— Aha, flirt bardzo miły! — przerwały wietrzyki; — tylko że wy mieć go nie będziecie! Na marcepany zasłużyć trzeba, a skoro nie zamierzacie zapalić swoich lampek, my ze swej strony powiemy motylom, aby was omijały.

— Ach, nie! Ach, nie! — zawołały Jaskry, — prosimy, nie czyńcie tego, niepozabawiajcie nas najśladziej z uciech! Już zapalimy wszystkie ciuteńkie, już najczystsze złotem nalejemy je i zapalimy, tylko bądźcie laskawe...

— A widzicie! — z powagą rzekły Wietrzyki — nie trzeba nigdy unosić się próżnością, bo ścigając chlubę, łatwo rozmiąć się ze szczęściem. Przebaczamy bunt niedorzeczny, na lampki wasze rachujemy i motylom ogłosimy laskawą na was wolę naszą!

W ten sposób ostatni dnia tego spór załatwiwszy, Wietrzyki do snu układać się zaczęły, najmniejszej uwagi nie zwracając na złośliwą wciąż szeptaninę Jaskra-Sceleratusa z Ostami, ani na różne sarkania i szyderskie śmieszki, które gęsto odzywały się wśród pospólstwa,

całkowicie od uroczystości jutrzejszej usmiętego, a złożonego z rodów takich, jak: Babki przysadziste, Łopiany niezgrabne, Bylice sztywne, Rdesty ptasie, których świat cały pelen, Ostromlecze, Szczawie, Lulki, Lebiody itd. Był to gmin. Szemrze dziś, tem i owem obrażony, a jutro na widok uroczystości oczy szeroko otwierając i wszystkie niezgrabne ręce do oklasku składać będzie! Wiadomo, plebs zazdroszczący patrycyuszom, a przy spotkaniu z nimi rozplywający się w miód i ciepłe mleko.

Zadowolone z dzieła swego, ale spracowane, Wietrzyki, przypadły do ziemi, pokładły się na trawach i, odrazu mocno zasnawszy, tak ucichły, jakby ich wcale na świecie nie było. Ale snu spokojnego, oprócz nich, nikt tej nocy nie doświadczył. Ptaki spały na jedno oko tylko, drugie co moment otwierając dla zobaczenia, czy już nie świta; wśród motyli odzywały się często szelesty skrzydełek, trzepoczących się, bezsennych; a kwiaty... O, te chwiałły czasem sennemi głowami, poruszały rękoma, czyli liśćmi, i okryte ciemnością wydawały westchnienia takie, jakimi wzbierają piersi, pełne pożądań i nadziei. Bo ileż nadziei... ale nie! ileż naprzód pracy, zachodów, narad, kłótni, zawiści, kłopotów, a potem, ileż nadziei na jutro! Jutro! O, przybywaj coprędzej dniu jutrzejszy, śliczny, kochany dniu muzyki, iluminacyi, strojów świetnych, popisów błogich, pocałunków słodkich, dniu wesela, miłości i szczęścia — przybywaj!

Przybywał. Zbliżenie się jego oznajmiały naprzód blade mary, które zaczęły w ciemności przepływać i błędzić. Światło, nie światło, coś pośredniego pomiędzy czarnością a białością, włókna szarzynny, długie, rozczochrane, spuszczone się od nieba, pełzające w powietrzu, stojące pomiędzy drzewami, których kształty wśród nich słabo uwyrażniać się zaczęły, gdy tymczasem gwiazdy na niebie, przez nie zasłaniane, przygasały i znikaly. Były to pierwsze, ciche, mdłe heraldy słońca, które wzrastały powoli, w miarę wzrastania coraz więcej przyświecały białością błękitną, która je otaczała, pochłaniała, aż pochłonęła zupełnie, a ziemia i powietrze stanęły w błędem, lecz przejrzystem i wszędzie jednostajnem, świetle błękitnego świtu. Jak zakłętę w ciszę stało w tem świetle wszystko, co na ziemi rosło i żyło, tylko w górze, wysoko, panował milczący ruch cieniów, mgieł, mar, unoszących się coraz wyżej, wyżej, aż naksztalt zwijanego powoli płaszcza zwinęły się do końca, zniknęły, i nad wzgórzami, łączką na dnie kotliny, stanęło sklepienie blade, lecz, jak skrzętnie wymięciona przestrzeń, czyste, bez najdrobniejszej iskierki gwiazd, ani pyłku mgły.

Wtedy obudziły się Wietrzyki. Nic dziwnego, że obudziły się pierwsze, bo najlepiej spały, i jako mistrze ceremonii na uroczystości dzisiejszej, musiały czujnie porządku jej dopilnować. Ale zmęczone czy leniwe, wstały nie zaraz i, czas jakiś przewracając się na pościeli, poziewały. Jednego przecież ziewnięcia Wietrzykowego dość było do odudzenia panny młodej, która zadrżała, liśćmi wstrząsała, głowę we śnie schyloną podniosła i naraz otworzyła szeroko różowe oczy. Tak z drżeniem i szybkim otwarciem się powiek budzą się zazwyczaj ci, w których dzień świtający godzi strzałą bólu, albo szczęścia. Malwę Alceę, budzącą się ze snu, przeszyla strzała radości, bo naprzeciw niej, w pełnej swej krasie, wysoki i zgrabny, wszystkimi swemi jasnemi oczyma w nią wpatrzony, stał—Wiesiołek. Nie potrzebował on budzić się, bo nie usypiał wcale, lecz gdy Malwa się obudziła, jego lancetowate liście wionęły ku niej, a głowa, w ukłonie pełnym galanteryi rycerskiej i tkliwej skłoniona, wyszeptala:

— Dzień dobry, o luba!

Malwa nie odpowiedziała nic, tylko rzęsy jej drgać zaczęły i liście, jak dłonie skromnie wzruszonej dziewicy, przytuliły się do siebie. W zamian, z za niej ozwał się trochę chrapliwy od starości głos:

— Dzień dobry, kochany zięciu! Spodziewam się, że nie zawiedziesz nadziei moich i ani córki mi tyranizować, ani mnie do powiększenia grona tak zwanych złych teściowych zmuszać nie będziesz!

Mówiła to matka panny młodej, podżyła, bo dwuletnia Szluzówka, z figurą przysadziłą i słowialemi oczyma, które ledwie gdzieś niedziedzie zdobyły jeszcze jej zgrubiałe członki.

— Dzień dobry, duszko!—dźwięcznemi, bo młodemi głosikami zagadały do panny młodej družki: Epilobia Grandiflora i Przytulia Galium. Jakże spałaś w tę noc przedślubną? Pewno niezbyt dobrze, bo oczy masz pobladłe i cerę nieświeżą.

Kłamały. Narzeczona wyglądała bardzo świeżo i uroczno, a tylko one, ciesząc się ze szczęścia jej na pozór, a w głębi lodyg go zardroszcząc, zmartwić lub onieśmielić ją pragnęły.

Drużbowie szczeri byli, serdeczniejsi od družek, nie bolało ich szczęście przyjaciela, może dla tego, że sami sobie mieli go prawo i możność sprawić tyle, ile się tylko podobało. Więc Mieczyk Gładiolus, amarantowe dzwonki przykładając do samej głowy Wiesiołka, szeptał mu słowa miłych nadziei i zachęt, a Bodziszek—Geranium całem niezliczonem mnóstwem liliowych koron śmiał się we-

soło, uradowany świętem towarzysza, a na swoją rękę zalotnie mrugając ku Przytulii, która pyszną suknię swą z białych koronek rozpościerała tak szeroko, że tren jej opadał daleko na trawy i malowniczymi festonami dotykał sąsiednich Koniczyn, Weronik i Myozotisów. Dotknięciem tem obudzone, zakołysały się i zaszeptały:

— Czy już? Czy już dzień? Czy prędko ślub? Czy słońce wschodzi?

Na odpowiedź rozległ się po łączce szumiący wykrzyk Wietrzyków:

— Jutrzenka! Jutrzenka! Jutrzenka!

Zerwały się nakoniec z pościeli leniuchy, wzbily się nad łąkę, zakręciły się i zaszemrzały:

— Wstawajcie! Ubierajcie się! Gotujcie się każdy do swego! Prędejj! prędejj! nie marudzić, bo oto już Jutrzenka! Jutrzenka! Jutrzenka!

Z tym szmerem, z powiewami świeżemi jak poranek letni, zwinnie wyleciały w las, gdzie też wnet dały się słyszeć szelesty poruszających się galezi, furczenie budzących się skrzydeł i krótkie, senne jeszcze, świerkanie mnóstwa głosików.

— Co? co? co? czy... czy... czy... czy już dzień? Oho - ho! jak jasno na świecie! jas-no! jas-no! Fiu! fiu! fiu! jakeśmy zaspaa... zaspaa... zaspali... li... li!.. Wsta-ta-ta-wajmy! Wsta-ta-ta-ta-wajmy!

Tam, kędy rozstępowały się pagórki, tworząc bramę otwartą na pole, drogę polną i daleki, daleki skłon nieba, na skłonie nieba bladym i czystym powstaje pręga różowa, zrazu wązka i blada, potem rozszerzająca się i nabierająca rumieńca, jakby zdjęta z oblicza róż. Można-by mniemać, że niewidzialny istniał kędyś piec, który skraplał róże i płynem tym nalewał tę drugą po świecie głosicielkę zbliżającego się Słońca, wiecznie świeżą i zarumienioną, pięciopalcza-stą boginię, Aurorę - Jutrzenkę. Teraz nie wyciągała jeszcze palców, tylko wzrastała i nasiąkała różami roztopionemi, cicha i świetna, jak o nieśmiertelności swej upewnione zwycięstwo dnia nad nocą. Skłon nieba coraz szerzej okrywając, wydawała się kładzioną na czole budzącej się do życia ziemi coraz różowszą glorią zwycięstwa.

Ruch i gwar życia nappełniał teraz dno kotliny, łączkę pośród pagórków, obrosłych rzadką sośniną. Na skraju sośniny, wyżej, niżej, w drzewach, w krzakach, poblýskiwało mnóstwo par drobnych oczu ptasich, mnóstwo główek pierzastych obracało się na wszystkie strony i mnóstwo ruchliwych dziobków wydawało dźwięki krót-

kie, na wszystkie tony powtarzane, zupełnie podobne do próbowania i nastrajania wielu naraz instrumentów muzycznych. Bo też i było to próbowanie, nastrajanie orkiestry leśnej do wspaniałego epitalamium, którem wnet, wnet zagrznieć miała. U samego wierzchołka lasu rozległo się wkrótce bardzo głośne i tryumfalne wołanie kukłki:

— Idzie! idzie! już blisko! już blisko!

I z wielkiej radości zaśmiała się jak szalona:

— Ko-ko-ko-ko-ko! Ku-ku!

Wszyscy zrozumieli, kto to taki idzie i jest już blisko. Naturalnie, że Pan, Monarcha, oświeciciel, żywiciel, dobroczyńca wszystkiego, co żyje: Helios! Słońce!

Na ten odgłos dopiero obudził się trzeci družba, Posłonek, wstrząsnął się, czmychnął, ziewnął i, otworzywszy swoje jedyne szafrowe oko, jak płaską tackę ku wschodowi je obrócił, z niepokojem dworaka szepcząc:

— Słońce! już! A gdzie? Jeszcze go niema! Ale piękna Aurora już się zjawiała! Bądź pozdrowiona, Auroro, pierwsza frejliuo Pana naszego, i powiedz mi: czy zdrów i pogodny powstaje dziś z łoża? Ale ty sama, jakże świeża i świetna jesteś! Patrząc na cię...

— I tam dalej, i tam dalej. Tak się ten pochlebca w czolobitnościach i komplementach dworskich pograżył, że nie spostrzegał, jak piękna jego družka, Calla, z za kępy traw wyjrzała otwartym w pełni kielichem z białej porcelany, ani jak Weroniki, wierne przyrzeczeniu, śpiesznie z szafirowych oczu swych układały arabesk na kobiercu ślubnym, który u stóp państwa młodych Kurdybanek już rozpościerał, a Powoje w kielichy różowate i Groszki w szlaczki różnobarwne wyhaftowywać zaczynały. Obudziło się też i pospólstwo całe: babki, bylice, łopiany, szczawie, rdesty, lebiody, i jak to trafnie wczoraj przewidziały Wietrzyki, szeroko otwierając swe oczy, popychając się, poszturgując, jęło przyglądać się przygotowanym do zabawy Pańskiej.

Ale ci, którzy byli przyczyną i bohaterami tej zabawy: Wiesiołek *Oenothera* i Malwa *Alcea*, ani przygotowań tych nie spostrzegali, ani pamiętali w tej chwili o dostojności rodów swych i wysokiem swem położeniu w świecie. Gdyby teraz ktokolwiek Wiesiołkowi powiedział: „zostań Łopianem!” Odrzekł-by: „dobrze, byle-bym tylko serce Malwy mógł posiadać!” a Malwie: „stań się Babką pękata.” — odrzekła-by: „Owszem, byle-bym tylko Wiesiołkowi podobać się nie przestała!” Jego jasne, złote oczy tkwiły w jej oczach, na których różowość coraz głębszą występować poczęła wilgoć rosna. Patrząc na tę parę oblubieńców, tak tkliwie w sobie zakochaną, otacza-

jący uczuli także cisnące się do oczu łzy; wszystkie Myosotisy i Weroniczki, wszystkie kielichy Mieczyka, korony Bódziszka, gwiazdy Epilobii, dostały bujnych drżących kropel, miała ich sporo na brzegach porcelanowa czara Calli, a koronkowa suknia Przytulii stała się od nich prawie zupełnie mokrą. Nawet pospólstwo z rozczulenia płakać zaczęło; kwaskowate Szczawie, sklonne do lez, aż ociekały niemi, a gruby jakiś Ostromlec, z wielkiej czułości, wilgotną głowę sklonił na mokre łono przysadzistej Babki. Nawet Jaskier Łotr, i kompani jego, Osty, płakały ale—ze złości. I jeden tylko Posłonek płakać ani myślał, bo całe życie jego, wszystkie struny istoty, skupiły się w próżnej ambicji. Mały, trochę krzywy, z fantazją trzymając się pod boki, szafranowe oko w Jutrzenkę wlepił i oczekiwał—słońca!

Niedługo już oczekiwał. Jutrzenka różane palce doleko po niebie wyciągnęła, a tejże chwili kukulka ze szczytu drzewa krzyknęła:

— Ku... i urwała.

Z radości i uroczystego wzruszenia głos zamarł jej w gardle.

Wówczas... Co stało i dzieć się wówczas na łączce zaczęło, o tem pióro choćby najwymowniejsze, pędzel choćby najbarwniejszy, słabe tylko dać może wyobrażenie. Krótko mówiąc, było to jakieś olbrzymie „brio“ tonów, barw, zapachów, blasków, w którym wszystko zapaliło się, zajaśniało, zabłyszczało, zapachniało, zaśpiewało...

Nad wstęgą jutrzzenki ukazało się złote czoło słońca i rzuciło w świat pęk promieni, które odbiły się w łzach kwiatów i przemieniły je w perły i brylanty. Ponieważ zaś kwiaty były ze wzruszeń radośnych i tkliwych rozplakane bardzo, więc łez tych miały na sobie mnóstwo i zaświeciły teraz niemi, jak rozsypanym po kobiercu bajecznie wzorzystym, bajecznym skarbem Golkondy. Jednocześnie nad tym kobiercem, wyhaftowanym w kielichy Powojów, wszlaczki Groszków i Wyczek, w szafirowe arabeski Weroniczek, Biedrzeńce i Marchwie dzikie, najwyżej, jak tylko mogły, wzniosły baldachymy białe, na srebrzystych przecikach rozpięte, Jaskry zaświeciły tysiącem złotych lampek, Drżączki zadzwoniły brelokami, jak kryształami żyrandoli, Tomka wonna, dwie siostry Mięty i od skraju lasu Macierzanka, poczęły z całej siły wstrząsać kadzielnicami, z których rozplynęły się wonie słodkie i upajające.

A z woniami temi, w powietrzu coraz goręcej pozłacanem przez blask słoneczny, połączyły się dźwięki orkiestry, na brzegu lasu wybuchającej muzyką lęczną, bardzo skomplikowaną i uczoną, a zarazem liryczną i rzewną. Było to Epitalamium, którego motywy główne od największego z kompozytorów ptasich, bo od samego Słowika zapożyczone, z umiejętnością rozwijały szczygły i czyże, podtrzyma-

wały basowemi akordami: hu-hu! hu-hu! dudki i gołębie, klaskaniem w kanstanty urozmaicały czeczotki, a kosy i wilgi uświetniały przez wykonanie łażeoletów tak subtelnych i czystych, że pozazdrościć-by ich mógł niejedyn mistrz gry skrzypcowej. Muzyka ta, wybuchając gwałtownie i napelniając łączkę niezmiernem bogactwem tryli, akordów, passazy i wijącej się pośród nich melodyi czarującej, tak wstrząsnęła nerwami Dmuchańców, że niektóre z nich, pory właściwej nie doczekawszy, puścili w powietrze rakiety z leciuchnych puszków, co widząc, Macierzanka, z uciechy wielkiej jeszcze silniej ametystową kadzielnicą zakolysała, a Wietrzyki, z radości, że wszystko tak pięknie się udaje, zaczęły wykonywać napowietrzne, posuwiste tańce solowe. Zaraz je przecież przerwały i stanęły jak wryte, pomimo całej lekkości swej, powagą chwili zdjęte, bo oto z lasu, z pomiędzy rzadkich sosen, wyleciał motyl wielki, skrzydła nakrapiane purpurą szeroko rozwijał i ciężkim poważnym lotem w powietrzu płynął. Płynął ku parze oblubieńców, ku Wiesiolkowi naprzód o jasnych, wielkich oczach, który też wyprostował się, rzęsy wszystkich swych oczu ku motylowi zwrócił i wyglądał jak rycerz „sans peur ni reproche,” który przed niczem się nie trwoży, bo wie, co czyni, i ma zamiary szlachetne, czyste. Malwa za to zaczęła drzeć na wszystkich liściach i we wszystkich różowych oczach świecić perlami łez, a matka jej, Szlówka podżyła, rozplakała się tak rzewnie, że na widok ten oczy druzek, družbów, gości weselnych, nawet pospółstwa coraz więcej wzbierały łzami, tak, że po całej łączce brylantowe skarby Golkondy rozsypywały się coraz obficie, a muzyka grała coraz huczniej i rzewniej, a Dmuchańce już wszystkie rakiety puchowe w powietrze wyrzucali, lampki Jaskrów świeciły wprost olśniewająco, brzęczały żyrandole Drzączek, Kadzielnicy od wstrząsania kadzielnicami dech prawie tracili i — wielki motyl powietrzem płynął, powoli, ciężko, płynął ku oblubieńcom, za sobą wiodąc ruchliwy, wirujący rój motyli mniejszych, lżejszych, żółtawych, błękitnawych, liliowych, białych...

Wtedy-to stało się coś—okropnego!

Kukulka, która ze szczytu drzewa przypatrywała się uroczystości i zarazem rozglądała się po świecie, przeraźliwie, z trwogą niewysłowioną, z przerażeniem niezmiernem, krzyknęła:

— Ku...

I urwała. Od trwogi i przerażenia dech zamarł jej w piersi. Uczyniła jednak wysilenie i z taką mocą, że głosem orkiestrę przeniosła, taką grozą, że wszystko, co żyło, dokoła zadrżało, bez taktu już ani rytmu, jak szalona, jak obłąkana, krzyczeć zaczęła:

— Ku-ku-ku-ku-ku-ku-ku!

— Co? co?— krzyknęły naraz wszystkie kwiaty i Wietrzyki, motyle zaś jak martwe zawisły w powietrzu i jedni tylko grajkwowie, w zaciekłości muzycznej nie słysząc, grali dalej.

Kukułka ze szczytu drzewa krzyczała:

— Śmierć idzie! Śmierć idzie! Śmierć idzie! Śmierć idzie!

Śmierć! Jaka śmierć? Co to takiego śmierć? Po co? dla kogo? dla czego? Na zabawę weselną idzie śmierć? Przychodzi teraz, w tej chwili, gdy na świecie tak jasno, pięknie, wesoło, błogo. To być nie może! To wieść fałszywa! kłamie kukułka! Powieść kukułkę! Za mącenie uciechy publicznej, za złe pełnienie urzędu jej powierzonego, za zepsucie najświetniejszej z biesiad weselnych, powieść kukułkę!

Wówczas rozległ się po łączce śmiech jadowity, szyderski, prawie szatański, wychodzący z poplamionych rdzą zawiści warg Jaskra - Łotra, który też wszystkie swoje krzywe palce ku otworowi kotliny wyciągnął, coś, czego inni nie widzieli, ukazując. On widział to, co ogłaszała kukułka, wiedział również, że sam za chwilę umrze, lecz śmiał się z radością piekielną, bo z nim razem umrą ci, którym tak dobrze na świecie i których nienawidzi. Krzywemi palcami na otwór kotliny wskazując, głosem przez śmiech przerywanym wołał:

— Spójrzcie! tam spójrzcie! Cha, cha, cha! Oto są wesela i miłości wasze! Trwale są, bezpieczne, wieczne, nie prawdaż? Cha, cha, cha, cha! Oto zachód, kłopoty, sprzeczki, muzyczki, stroiki, popisy i illuminacje wasze! Brzdęk! i już niema! Brzdęk! i już koniec! Cha, cha, cha, cha!

Wszystko, co na łączce cudnemi oczyma kwitło, brylantami jaśniało, koronki kunsztowne rozwijało, pachniało, kochało, cieszyło się życiem—zwróciło spojrzenia w kierunku przez Sceleratusa wskazanym i omdlałemi głosami zaszepotało: Śmierć!

W otworze kotliny, jak w bramie rozwartej na pole i drogę polną, stał chłop w białej koszuli, ze stopami nagiemi, a nad zmiętą czapką, która okrywała mu głowę, wysoko w powietrzu, ostrym i zimnym połyskiem stali świeciła—kosa...

...W kilka minut potem, z orkiestry ptasiej żaden już dźwięk nie pozostał w powietrzu, zdjętem głęboką ciszą. Tylko kukułka, kędys daleko, daleko, odzywała się tonem żałośnym i Wietrzyki, do mchów leśnych przypadłszy, cicho łkały. A w kotlinie pomiędzy pagórkami, wśród milczenia powietrza i ziemi, kosa śmierci sama jedna głucho dzwoniła:

— Czach-czach. Czach-czach!

ELIZA ORZESZKOWA.

Szujski jako poeta.

Jest temu lat siedemnaście, jak umierał człowiek, który za młodu w poezji widział swoje powołanie główne, a w wieku późniejszym, oderwany od niej pilniejszymi obowiązkami, miał tę samą dla niej miłość i cześć, do niej tęsknotę, w niej wytchnienie, pociechę, kordyał dla strudzonej duszy, rozkosz dla czynnej i potrzebującej tworzyć wyobraźni. Człowiek, przeznaczony na to, żeby w nowych czasach i stosunkach był wyobrazicielem i krzewicielem nowych zwrotów myśli, pragnień serca nie nowych, ale odmiennych, sądu, zwróconego poważnie i surowo na samą głębię duszy, a połączonego z najgorętszą, najsilniejszą miłością: przeznaczony na to, by

W smutku wielkim patrzył dokoła
Na braci serca i na braci czoła,
Złe z dobrem wążąc na sumienia szali.

Nazywał się Józef Szujski.

Jako historyk, jako moralista i pisarz rzeczy politycznych, wiadomy przynajmniej, jeżeli nie znany. Każdy o nim słyszał, wielu o nim mówi; niektórzy nawet go czytali. Sądzi go, naturalnie, bardzo różnie.

Poeta jest mniej głośny. Wiersze z lat młodych utonęły w ówczesnych pismach peryodycznych i poszły w zapomnienie: dramata rzadko ukazywały się na scenie, a zawsze tylko z warunkowem, niezupełnem powodzeniem. Zbiorowe wydanie, kiedy wyszło po śmierci autora, spotkało się z budującą, jednomyślną obojętnością publiczności i krytyki, tam, gdzie było znanem: gdzieindziej wcale znanem nie było. Mówią, że przyczynia się do tego cena, niby za wysoka; sądziłbym raczej, i dla ogółu czytających korzystniej, że właściwa poecie, nieraz trudna forma przeszkadza nie jednemu do zasmakowania w treści. Upředzenia, osobiste niechęci, mogły także dorzucić swój grosz do tej składki na nieznamość Szujskiego. Dość, że składka udała się świetnie, i autor „Jadwigi“, „Zborowskich“, „Władysława IV“, „Poważnych chwil“, jest czytającej publiczności naszej prawie obcym.

Ale czy jest obojętną, nie znaczącą figurą w dziejach naszej literatury, naszej poezyi? — To inne pytanie. Była w nim, jak w jego wielkich poprzednikach, „nad śmierć silniejsza siła ukochania“, była bystrość wzroku i głębokość sądu, jaką w jego pokoleniu nie dorównał mu podobno nikt; była namiętna żądza, i, co lepiej, stateczna, niezłomna woła i praca dźwigania i podnoszenia, tragiczna tem, że, (jak zwykle w naszym świecie), bezskuteczna, lub mało skuteczna. Były błyski genialnej intuicji, połączone z doskonałą znajomością rzeczy w historyku; były u moralisty i polityka prawdy i słowa, wstrząsające do samego dna duszy i sumienia, przejmujące smutkiem i strachem, ale zarazem rozkazujące żyć i żyć uczące; była w jego poezyi nieraz trudność i niedoskonałość formy, ale była w niej treść i dążność ta sama, była śmiałość i siła nie myśli tylko, ale i słowa, i była piękność nie zawsze sobie równa, ale rzeczywista, rozmaita, poważna i surowa częściej, czasem wdzięczna i lekka, zawsze własna, nigdy pożyczona, nigdy pospolita, nigdy pusta i czeza pod ponętym pozorem. A przez to nie w prozie tylko, lub w nauce, ani w samem praktycznem historycznem życiu, ale i w poezyi ma on prawo liczyć się do ludzi najznakomitszych, jakich u nas druga połowa tego wieku widziała.

Jak go dać poznać?

Trzeba-by opowiedzieć wszystkie jego życia koleje, i wszystkie za jego czasów dzieje, trzeba-by próbować nie zgłębić i skreślić, ale naznaczyć przynajmniej, dać do namysłu, jakie mogły być boleści

i jakie walki z sobą samym i z ludźmi, jakie w duszy uciski i rozpacz, jakie z zewnątrz prześladowania i krzywdy; trzeba-by pokazać go w związku ze wszystkimi zdarzeniami i zagadnieniami jego czasu. A gdyby to nawet było możliwem, jak nie jest, to zostawała-by jeszcze trudność druga. „Tyś świadek niepewny, podejrzany: tyś towarzysz i przyjaciel, uczestnik i pomocnik jego prac, wyznawca jego pojęć i zasad, zatem stronnikiem, uprzedzonym być musisz. Choćbyś nie chciał, widzisz go i pokażesz innym, niż był“. Tak może nie jeden pomyśli. A cóż na to odpowiedzieć? Że przyjaźń nie jest zaślepieniem, że wspólność prac i dążeń, jednakowe zrozumienie i celów życia, i środków, nie pociąga za sobą bezwzględnego uwielbienia, czy talentu, jako takiego, czy każdego z osobna jego dzieła? Odpowiedź byłaby słuszna i rzetelna. Ale i ta może nie wystarczyć. Cóż więc robić? Nie mówić wcale? Kiedy jest i powinność, i gorąca chęć mówienia, a w tym już długim okresie lat od jego śmierci nawet nowa pobudka i powód, żeby się odezwać. Zatem mówię: ale tak, żeby ani jego, ani siebie nie podać w posadzenie uprzedzeń, zaślepień, sądów zbyt pochlebnych. Mówię jak najmniej swojemi słowami, uwagami, zdaniem; jego słów własnych przytaczam jak najwięcej.

Niech sam za siebie mówi, ile się da, on, który za życia i po śmierci mało był czytany: czytelnik niech potem sędzi, jaki on był, jako człowiek i jako poeta.

I.

Miał lat dziesięć i pół, kiedy napisał swój pierwszy wierszyk. Żył samotnie, przy matce znękaney i słabowitej, udzielającej się tylko najbliższemu przyjacielom. Do tych, oprócz jej rodzeństwa, należał stary wojskowy, porucznik Skrodzki, który za młodu bywał domownikiem puławskiego dworu, i lubił dziecko brać na kolana i opowiadać mu o bojach i ludziach. W szkole uczył się bardzo pilnie i bardzo łatwo; klasy przechodził świetnie. Znalazł tam naturalnie, przyjaciel, do których przyłączył z wrodzoną sobie siłą uczucia gwałtownego, skłonnego do egzaltacyi; z którymi, zbyt wcześnie może rozwinięty, czytywał z zapalem książki, do swego wieku niestosowne, i roztrząsał, rozstrzygał kwestye, przechodzące pojęcie i siły zwykłego chłopca w jego wieku. Łatwowierności,

plytkości, dzieciństwa, zarozumiałości, było zawsze wiele w tych rozprawach (o filozofii i estetyce głównie), w tych poetycznych próbach z piątej i szóstej klasy. Ale była i rzetelna praca myśli, był nabyty bezładnie, lecz rzetelny zasób pojęć i wiadomości, i były, chwilami przynajmniej, błyski rozumu, niedojrzałego oczywiście, przedwczesnego, ale okazującego dążność do zgłębiania i do wznoszenia się w górę; rozum, który w szczęśliwych chwilach (nie zawsze) już wtedy nie jedno zagadnienie śmiało podejmował, nie jedną trudność pokonał. Za poetę się miał, poezję chciwie pozerał, i naturalnie, marząc o tem, że będzie kiedyś następcą Mickiewicza i innych, pod ich wpływem się kształcił. Ze młody chłopiec onych czasów miał poezję za najwyższe, najpotrzebniejsze powołanie, to zupełnie naturalne. On, marząc o tem, że poprzedników prześcignie, naśladuje ich, sam o tem nie wiedząc; najwięcej w swoich drobnych wierszach Ujejskiego (w owym czasie znowu rzecz naturalna), którego wielbi, kocha, ale zarazem prawie przeklina za to, że już wypowiedział to, co on sam miał w sercu i głowie. Ale miał i śmielsze ambicje. Drobne formy mu nie wystarczały. Poezja jest na to, by podejmowała i rozwiązywała wszystkie największe kwestye osobistego i zbiorowego życia. Dramat filozoficzny, albo dramat tendencyjny i polityczny, Faust, Kain, Irydion, to cele, to wzory, które sobie stawia piętnastoletni gimnazysta. Píše też dramata fantastyczne, allegoryczne, w których rozświeca własne myśli i pragnienia, na wypadkach i ludziach różnych ze starożytnego i chrześcijańskiego, czasem ze współczesnego świata.

Ze zbiorem kilku takich poematów i z wielką liczbą drobnych wierszy, z głową, pełną śmiałych marzeń, ale pełną także i myśli, i wiadomości, ze wspomnieniem jakiejś już przebytej chłopięcej miłości, przychodzi do klasy siódmej do Krakowa. Ostatnie dwa lata gimnazjum schodzą pod względem nauk świetnie, pod względem stosunków przyjemnie. Z nowymi kolegami zrozumieć i pogodzić się nie zawsze łatwo, bo nie chcą wierzyć w dojrzałość jego filozofii, ani w piękność jego poezyi, i nieraz bez litości oblewają zimną wodą jego marzenia o chwale. Ale jest jakiś młodociany, instynktowy szacunek wzajemny, który ich łączy i do siebie ciągnie; kiedy odtrąca ich od siebie, to, co w nim razi jednych jako zarozumiałość i pretensya, jego w nich jako zbytek rozsądku, chłód, przedwczesna dojrzałość i miara. Nieskończone rozprawy toczą się o wszystkim: o polityce i filozofii, o religii i o najlepszym sposobie uszczęśliwienia ludzkości; ale tocząc się o wszystkim, schodzą najczęściej na poezję: Szekspira i Głreków, Mickiewicza i Niemców, i jego własną wreszcie, albo tę przyszłą, wielką, która przyjść powinna. On utrzymuje — już wtedy, jak do końca — że sztuka nie jest dla sztuki, że poezya (jak wszystko)

ma wyższym celom i prawom służyć, i być „kapłanką idei“; a jednak (choć na pozór koncessyi nie robi) przypuszcza stopniowo do myśli przekonanie, że poezya, choć nie dla sztuki samej, to przecież sztuką być musi, że Szekspira i Greków tragedye działają silniej na uczucia i wyobraźnię, aniżeli jego „ideowe“ dramata; i zaczyna marzyć o regularnej, scenicznej, przedewszystkiem o historycznej tragedyi polskiej. Uczy się do egzaminu dojrzałości, a przytem czyta bez miary i bez ładu, bez wyboru. Historyków i starych pisarzy polskich, estetyków niemieckich, Ojców Kościoła, Dantego, wszystko chce znać ze wszystkiego wyciągnąć wniosek, jak kiedyś na tym świecie być może. Na uniwersytecie czasu i swobody więcej, więc więcej też, nierównie więcej tego czytania i uczenia się, więcej marzenia o poezyi i pisania jej. Przyszły historyk nie domyśla się, że ma być historykiem: wertuje kroniki, bo mu one do przyszłych dramatów pomódz mogą. Pomysły roją się tłumnie coraz nowe; jeden poczęty spycha zaraz drugi i trzeci, a wszystkie domagają się wykonania, pilno, natarczywie, despotycznie. Wykonywają się też niektóre, razem, równocześnie. Dramata, powieści poetyczne, powieści z bohaterskim epickim zakrojem — przekłady z Eschyla i z Szekspira, z Anakreona i z Dawida. Drobnych wierszy coraz więcej.

Po pierwszych, dziecinnych, wierszykach, jakież były dalsze z jego pierwszej młodości?

Oto naprzykład „Spowiedź“, w której studentik zwierza się drzewom swojej rodzinnej wioski ze swoich nowych wrażeń i radości:

O drzewa wy moje, coście mnie słuchały,
Gdym śpiewał niebiosom dziecięcy i mały,

Słuchajcie mnie znowu, gdy w wonny wasz wieńiec
Marzący, stęskniony przychodzę młodzieniec.

Nauczę was imion, co duszy mej drogie,
I skarby mych marzeń powierzę ubogie.

Więc naprzód wam powiem, wieść powiem wesela,
Zem pomiędzy ludźmi znalazł przyjaciela.

I w ciszy żyjemy, i serc naszych strzeżem,
By czystym być w domu, a w świecie rycerzem.

By godnym być ojców, co pod waszym cieniem
Usnęli z żelazną duszą i ramieniem.

Innym razem, ale w czasie mało co późniejszym (1853), to już inne zwierzenie: nie przyjaźń, ale jakaś chłopięca miłość odzywa się Na więkską nutę, a wdzięcznie.

Oj, księżycu błądy — lub ty, gwiazdko mała,
Żebyś ty z twej góry na ziemię spojrzała!

Za temi wodami, za temi lasami
Znam ja tam dziewicę z modremi oczami.

Jam oddalon górą, jam przegrodzon rzeką,
Aleś ty wysoko, więc widzisz daleko.

Aleś ty litośny, bo smutek masz w licu,
Więc mam zaufanie do ciebie, księżycu.

Poszukaj jej wszędzie, poszukaj skwapliwie,
Może w gaju będzie, a może na niwie.

Może będzie teraz w ogrodzie marzyła,
Lub do Matki Boskiej cicho się modliła;

Może już w tej chwili w komnacie uśpiona
Spi, skrzydły anioła - stróża osłoniła.

Poszukaj jej wszędzie, a poznasz ją przecie,
Bo to najpiękniejsza dziewczyna na świecie.

A kiedy ją spotkasz, to pojrzyj w oczęta,
Co tam myśli o mnie duszyczka jej święta.

Czy się na mą miłość dziecięcą nie gniewa,
Czy ona wesoła, czy ona szczęśliwa?

A kiedy się dowiesz, racz do mnie tu wrócić,
A cicho, by mojej dziewczeczki nie zbudzić.

Ale ta wdzięczna świeżość młodzieńcza, prawie dziecinna, to tylko jeden ton jego uczuć. Są inne, dziwniejsze, głębsze, dowodzące, że on w swoich siedemnastu latach już się wiele sam z sobą pasował, już nie jedną nieprawdę zwyciężył, nie jedną prawdę wyjaś-

nił sobie i poznał. Powiedział sobie, że „nie trzeba wierzyć“, „zaprzestał chodzić do kościoła“. Dumna praca wyniosła innych i zapewniła im sukces; trzeba spróbować tego samego środka. Zaczął więc czytać i czytać, aż się stał racjonalnym filozofem...

Dopiero gdy się dowiedział, że człowiek jest

Do samowiedzy podniesionem błotem,

że

W dziejach świata konieczność zasiada,

A co przeciwne, musi schodzić z drogi,

wtedy oburzył się na te księgi i nauki. Coś było w duszy, co podniosło swoje veto przeciw takiemu rozwiązaniu tajemnic i dziejów świata. Już to było-by dość dziwne, zważywszy, że poeta ma lat siedemnaście; ale jest coś dziwniejszego. Tak zboleiałemu i niewiedzącemu co ma myśleć i komu wierzyć, zaczął inny głos prawić

coś o trzecim świecie,

O Chrystie Panu i o Paraklecie.

To Mickiewicza messyanizm, to Krasińskiego Epoka Ducha Ś-go. Ale i to nie trafiło mudo przekonania: to fałsz, dobrze osłoniiony, ponętny, ale także fałsz! Żeby młodzieniec z jego pokolenia, i w wieku prawie jeszcze dziecinnym, osądził tak odrazu i pewno to, co starsi, co dojrzały, uważali za prawdy genialne, jeżeli nie za objawienie Boże, to znak, że ten chłopiec myślał już bardzo głęboko, bardzo poważnie, bardzo rzetelnie.

Ale drobne wiersze nie wystarczają młodemu poecie. Snują się po głowie pomysły tem ponętniejsze, im większe, i chowają się na później: ale jeden zaczyna się wykonywać już teraz, na ławkach siódmej klasy. Wybór przedmiotu i formy jest śmiały, a pojęcie przedmiotu znowu godne uwagi. Jakim sposobem uczeń, zajęty szkolną pracą, miał czas na czytanie starych kronikarzy? To tajemnica dziwnej czynności, i pracowitości, i zapału. Dość, że przyszły historyk wertował już i Piaseckiego, i Kobierzyckiego, i Jakóba Sobieskiego, i z nich odniósł silne wrażenie tragicznej katastrofy cecorskiej. Stary Hetman, od wszystkich współczesnych lepszy, przez wszystkich oskarżo-

ny naprzód, a potem opuszczoney, wysłany na wojnę jak na rzeź, bez sił dostatecznych, a idący ze świadomością i z postanowieniem, że położy głowę za bezpieczeństwo i cześć wszystkich, wydał mu się słusznie postacią jedną z najwznioślejszych w całych naszych dziejach. Stąd powstała „Tajemnica śmierci hetmańskiej“. Powieść tylko, nie epepeja, ale powieść na duże rozmiary, a gdzieniegdzie z prawdziwie rycerskim, bohaterskim popędem i tonem. Jaka jest w całości? Niedokończona naprzód. Brak jej początku, i brak samej bitwy cecorskiej, potem nierówna, nie bez ustępów słabych. Ale w lepszych niezwykle uczuciem i życiem, a w całości uderzająca pomysłem, tendencją. Żółkiewski, przewidując nieuniknioną zgubę, wysłał z obozu swego synowca, Łukasza, po posiłki niby, na prawdę, żeby go ocalić. Łukasz musiał słuchać, i pojechał. Potem nastąpił bój i zgon Hetmana, w znacznej części z winy Samuela Koreckiego, jego wroga, który go zdradził. Łukasz, choć nie winien, wyrzuca sobie swoją nieobecność w bitwie, jak wstyd i jak zdradę: Korecki, winny, ma gorsze zgrzyoty. Oba chcą odpokutować, odplacić, i oba, nie wiedząc o sobie, udają się do Stambułu, żeby choć głowę Hetmana wykupić, a rycerskiej służby niegodni, poświęcają się na służbę Boga i nieszczęśliwych w zakonie Trynitarzy. Walka czystego, rzetelnego ducha publicznego z prywatą, uczucie obowiązku posunięte do najwyższego heroizmu, a wreszcie ekspiacya, skrucha i pokuta po złym czynie, a choćby tylko po niedostatecznej zaśludze, to jest treść tragiczna i treść moralna tego poematu, to pojęcie historycznego przedmiotu, pierwszy raz kiedy Szujski takiego przedmiotu dotykał. Pojęcie i tendencya, które w dalszym życiu będą się stale i zawsze powtarzały w dziełach historyka, polityka, i w dziełach poety także.

Z wykupioną relikwią wracają Trynitarze do Żółkwi, i opowiadają Hetmanowej, co zrobili. Z tego wyjęty jest ten ustęp, jeden z najlepszych, w którym Łukasz opowiada, jak na cecorskiem pobojuwisku szukał zwłok Hetmana:

Słońce wschodziło nad pobojuwiskiem,
Kiedym po polu tem straszliwem brodził;
Nogi mi drżały na tym gruncie śliskim,
Co moment trupam rannego znachodził,
Co wołał śmierci. Nie słyszałem krzyku...

Widziałem Strusia; oparty o konia
Konał — więc chciałem potrzymać mu skronia,
Alem odskoczył, bo on straszne słowo
Na mnie miał jeszcze, kończąc, na języku,

Strasliwem bielmem po mnie jeszcze toczył
I skołał, a twarz ode mnie odwrócił.

Przy nim się we kiwi Rogaliński broczył;
Chciałem mu pomódz, on mnie wzgardę rzucił
Na blade czoło, i popatrzył w słońce,
Aż mu źrenice stanęły patrzące,
I skołał także.

Balaban legł dalej,

Ale już nieżyw. Ciury się patrzali
Na mnie z pogardą, odeszli z milczeniem,
Łup swój unosząc.

Ja snułem się cieniem

Dalej — a słońce kroków mych śledziło.
Wietrząc, czy śladów hetmana nie było
Gdzie; niespalony namiot widzę jeszcze,
Brewiarz Szymona w wietrze zaszeleszrzy,
Schylał się — czytam — karta się otwarła
Na słowo: Judasz! Ziemia nie pozarła
Mnie jeszcze wtenczas.

Chryp mnie zbudza głuchy:

Siwek hetmana leżał wśród posuchy,
Z przebitą pierśią: poznał mnie, gdy zoczył,
I jeszcze siłą ostatnią poskoczył
O kroków kilka, ślepiami straszniemi
Spytał: tyś został — nie zginął wraz z niemi?
I leb odwrócił — zdecht, nie patrząc na mnie.

A to nie dosyć jeszcze było dla mnie;
Ja żyłem jeszcze, żyłem tam od rana
Aż do wieczora na tem bojowisku,
Bom chciał odszukać — odszukać hetmana!

Leciałem naprzód, strasliwym rozumem
Myślałem, jak go znaleźć między tłumem?
Rannych na chwilę przed zgonem pytałem:
Gdzie hetman? Wody im wprzód nie dałem,
Aż powiedzieli. I tym trupim szlakiem,
Dopytywaniem i męczeństwem takim

Zaszedłem w miejsce z wszystkich najstraszniejsze,
 Najkrwawsze i od trupów najpełniejsze:
 Tu musiał zginąć — rzekłem w głos chrypliwy.
 Wieczór był — słońce ponad krwawe niwy
 Już zachodziło i świeciło jeszcze
 W krwi zsiadłej w zbrojach — a kruki złowieszcze
 Skrzydła swe czarne w zachodzie kąpały,
 Kiedym się puścił w mój przegląd zuchwały.

Musiałem cierpieć — ową chwilę ciemną,
 Musiałem cierpieć — bo wtedy nade mną
 Kruki i konie się ulitowały.

Kupa umarłych leżała dokoła
 W małym wąwozie — z Tatarów posada
 Była — a na nich tu, owdzie, trup polski.
 Jak orzeł, który na wilka przypada,
 Z świecącym mieczem tam leżał młodzieniec
 Na padłym Turku. To był Odrzywolski!
 Splątany z trupem, silnemi ramiony;
 Zabił Turczyzna, lecz w krzyż ugodzony
 Zginął zdradziecko.

Hetman tu być musi —

Myszę raz drugi, — bo już ten młodzieniec
 W jego pomocy Turczyzna znać dusi.

W górze kilkuset trupów widać wieniec:
 Turków i naszych.

.

Z boku leży

Čzłek w poszarpanej we walce odzieży,
 W odzieży giermka; poznałem pacholę,
 Młode, hetmańskie — to pacholę przecie,
 Co nie nad pana nie kochało w świecie,
 I hetmanową znać podzielił dolę.

Zwałem trupa. Księżycą czerwoną
 Szybą mi świeci, koń zarzą ponuro,
 Ujrzałem białą sukienkę Szymona,
 Krucyfiks w rękę; leżał rozciągniony,
 Z czerwoną wielką w świętej piersi dziurą...
 Odsuwam księdza — kadłub utracony
 Leżał tam w zbroi przy księdzu! O Chryste!
 To był pan Hetman!

Łukasz dwie ogniste,
 Straszne lzy ukrył pod czarną kapicą
 I milczał długo, aż wreszcie rzekł dalej:

Zwołałem ludzi, aby ich zabrali,
 I pod kościelną schowali kaplicą.
 Samem się nie tknął trupa, Bóg mi świadkiem,
 Ani umyślnie, ani też przypadkiem;
 Nie dałem go też dotykać nikomu,
 Lecz starą, wierną szlachtę z kresów sprosił,
 Aby go niosła do Bożego domu,
 Gdy sam niegodny był, abym go nosił.
 Taj-ż w świat poszedłem — piechotą — po żebrze.
 Sprzedałem, com miał w złocie, albo srebrze,
 I u nabożnych Chrześcian wszędy byłem,
 Na głowy wykup pieniędzy prosiłem;
 A sam się żywił, jak mógł, drogę całą,
 Co mnie ubóstwo na strawę podać,
 Aż do Stambułu zaszedłem nareszcie,
 By głowy ojca poszukać po mieście.

Z końcem gimnazyalnych nauk, ze swobodą uniwersytecką, coraz więcej poetycznych marzeń i pomysłów. Jedne nie wykonały się nigdy, inne, zaczęte, pozostały fragmentami, jeszcze inne zmieniały w wykonaniu plan i kształty: ale było ich wiele. Wiele także i drobnych wierszy: tem więcej, że natchnienia i treści dostarczała mu miłość nowa, zrazu bardzo młodzieńcza i prawie dziecinna, ale z czasem im dalej, tem silniejsza i głębsza, aż się w końcu stała dozągonną miłością męża do żony.

Oto naprzykład jeden z tych ówczesnych wierszy:

ZAKON MIŁOSNY.

Straciłem wolność na zawsze — jestem w zakonie miłości,
A ciężką mamy regułę — chociaż w niej niema przykrości.

Professyą złożyłem korny — po długim, oh! nowicyacie,
Przed moją ksienią niebieską — w bieluchnej, powiewnej szacie.

Miasto świec gwiazdy świeciły — za całun służyły kwiaty,
Wonie przezyste wzlatały — z róż kadzielnicy bogatej.

Dwie lipy były kościołem — za organ szumiały strumienie,
Słowik, gaików kapelmistrz — zawodził w jaśminach swe pienie.

Nareczy stały dokoła — z liliami, obrzędu to świadki,
A dalej cały lud Boży — fiołki, i dzwonki, i bratki.

Pod lipą wielebna ksieni — w pontyfikalnym ubiorze,
Niebieską przepiętą wstęgą — na główce bieluchne dwie róże.

W rękę swym księgę trzymała — w purpurę oprawną, maleńką,
Dzieje Romea i Julii — Szekspira kreślone ręką.

Więc się przybliżam klęczący — i rękę na książce tej kładę,
Przysięgam na słońce i księżyc — i gwiazdek niebieskich miriadę.

Lecz ona, jak Julia Kapulet: — Nie przysięgaj mi na księżyc, — rzecze —
Bo księżyc dziś świeci na niebie — a jutro z niebios uciecze.

Ani na słońce i gwiazdy — co w zamian dla ziemi tej świecą,
Bo ja chcę, by miłość bez zmiany — błyszczała mi twoją żrenicą,

A gdy chcę takiej pewności — przysięgę od ciebie mieć muszę,
Więc przysięż, że kochać mnie będziesz — jak czystą i piękną masz duszę.

Przysięgłem, i odtąd statecznie — jestem w zakonie miłości,
A ciężką mamy regułę — chociaż w niej niema przykrości.

Dzień cały i noc ja przetrawiam — w eichej o niej medytacji,
Jakich cnót jest i zalet prawdziwych — i jakiej piękności i gracyi.

Miłość moją z rozkoszą i dumą — powiadam niebiosom i ziemi
I głoszę jej imię wśród kwiatów — i między gwiazdami jasnymi.

Mą tęsknotą i moją boleścią — mem natchnieniem i moim zachwytem
Dzielę się chętnie z każdą ptaszyną — z każdą chmurką pod niebios błę-
[kitem.

Pierwsza myśl ma zawsze o niej bywa — i ostatnia zawsze jej się tycze,
A gdy zamknę stęsknione powieki — na powiekach widzę jej oblicze.

I nad łóżem mojem zakonnikiem — kiedy leżę z dłońmi złożonemi,
Ona stoi modrą wstęgą spięta — jako anioł, przybiegły do ziemi.

Czasem smutna i z główką schyloną — z złożonemi boleśnie rączęty,
Czasem dumnie wzniesiona do góry — niby cyprys, nad grobem wygięty.

Czasem pusta, jasna, uśniechniona — niby Wenus, wyszła z mórz powicia,
I znów silna i duchem natchnioua — na szermierkę w zawierusze życia.

Bywają dnie postu i smutku — i ćwiczeń bolesnych koleje,
Gdy luba skaprysi czasami — gdy miłość się z ócz jej nie śmieje.

Gdy się chmurzy nad jej piękną główką — albo świat nam zagrozi za-
[zdrosny,
To ból wielki powstaje w mej duszy — wtedy ciężki mój zakon miłosny.

Nadspodziewanie, bo nie było jej w młodzieńczych marzeniach i programach, powstała „Śmierć Proroka.“ Wywołała ją śmierć Mickiewicza, rozmyślanie o jego życiu. Mojżesz czuje się najwyższym wśród swego ludu, jest tak potężny, że Bóg jego jednego mógł, jego musiał wybrać na wodza Izraela, z nim jednym mógł rozmawiać w gorejącym krzaku i na szczycie Sinai. Mojżesza świadomość siebie staje się pychą. A tymczasem Izrael na puszczy omdlewa, umiera z pragnienia: szmerze i miota się na proroka, który go wywiódł z Egiptu, a obiecał prowadzić do Chanaan. Mojżesz chce cudu, chce Boga do cudu zmusić, narzucić mu swoją wolę gwałtem. Biblia mówi o trzykrotnem uderzeniu laską w skałę — daremnem. Młody poeta to zmienia, i Mojżesz nie laską uderza, ale głową zmarłej z pragnienia własnej córki. Woda nie wytrysła! Starzec stracił laskę, stracił moc czynienia cudów, dla tego, że ją sobie i swojej woli przypisywał, dla tego, że na wolę i moc Bożą spuszczał się nie dosyć. W zgryzocie i upokorzeniu nie wie, co ma począć dalej; wtedy staje przed nim

anioł, przywraca łaskę, przynosi przebaczenie, ale oznajmując i wyrok. Za brak wiary i poddania się, za zuchwałą dumę, Mojżesz musi odnieść karę: nie wejdzie do Ziemi Obiecanej, tylko ją przed śmiercią ze szczytu góry Abarim zobaczy i pobłogosławi. Wprowadzi do niej lud ten Jozue, który nigdy na siebie nie patrzył, o sobie nie myślał, wyrzekał się wszystkiego, w czem swoje szczęście widział.

Ten Mojżesz był wyobrażeniem Mickiewicza. Czemu w życiu jednego było trzykrotne uderzenie w skałę, tem był drugiego Mesyanizm, natarczywe domaganie się cudu, wiara w zależność cudu od ludzkiej woli, chęć zmuszenia Boga do cudu.

Dramat ten—mysteryum, jak go autor nazwał—prozą pisany, nosi w języku i stylu wyraźne ślady wpływu Kraszińskiego; w chwili stanowczej, kiedy Mojżesz głową córki uderza o skałę, ma tragiczność przesadną, zbyteczną, przez to niesmaczną i marną. Ale młodości przesady takie wybaczyć jest łatwo, a pewnej wielkości w dumie, później w żalości, nie można tej postaci Mojżesza zaprzeczyć. Jest ruch, jest życie i w tych scenach, kiedy lud szemrze i burzy się na proroka: i jest zwłaszcza dziwnem u człowieka tak młodego takie pojęcie i wytlómaczenie tej historycznej postaci, o której myślał.

Ostatni to, a zarazem jedyny ocalały i ogłoszony, z tych dramatów allegorycznych, o których marzył, których wiele pisał chłopięciem, a prawie dzieckiem. Coraz lepsza znajomość i coraz gorętsze podziwianie tragików greckich, rozmyślanie coraz głębsze i dojrzałsze nad Szekspirem, zwracają młodego poetę stanowczo w stronę dramatu regularnego, scenicznego. Pcha go w tę stronę sama potrzeba, sam wielki brak naszej poezji. Wszakże ona do tragedji dąży tylko, ale do niej jeszcze nie doszła: nie ma tej, na którą patrząc rzeklibyśmy: oto ta jest taka, jak być powinna, jakiej od wieku chcemy i szukamy. A bez niej, czyż godność i chwała poezji może być zupełną? To pragnienie, w którym ambicya osobista była, ale była w drugim rzędzie dopiero, trzymana w korbach przez cel szlachetniejszy i wyższy, to pragnienie sprawiło, że poetyckie powołanie Szujskiego, które on miał wtedy za główne, ustaliło się w tym kierunku tworzenia dramatycznego. Tragedya sceniczna, tragedya historyczna, z wielkich zwrotów i wielkich postaci dziejowych, tragedya z walki politycznych myśli z politycznymi przywarami, oto co świeciło teraz przed nim, jako ideał, ku czemu rwał się z całym zapalem swojej natury namiętnej, z całą stanowczością i zaciętością swojej natury wytrwałej. Jadwiga, Zygmunt August, Jan Kazimierz, Sobieski, stali mu zawsze przed oczyma duszy—a po części wcielili się w dramata. Michał Wiśniowiecki był skończony—słaby zresztą—ale zaginął. Najdaw-

niejszym z tych, które ocalały i do nas doszły jest „Samuel Zborowski.“

Samuel, wywołany z kraju za zabójstwo Wapowskiego, pojechał do Hermansztadu, do księcia Siedmiogrodzkiego. Naturalnie (jak we wszystkich o nim dramatach i powieściach), zakochał się w synowicy księcia, Gryzeldzie. Kiedy książę został królem Stefanem, Zborowscy, ufni w pomoc, jaką mu dawali przy elekcji, sprowadzili brata w granice Rzeczypospolitej, i osadzili go tajemnie na zamku Czorsztyńskim, gdzie ma czekać spodziewanej łaski. Młody rycerz nudzi się i tęskni w tej beczynności; rwie się do wojny i do sławy, a żyć musi, jak ptak zamknięty w klatce. Ale przez Czorsztyń drogą od Węgiei ciągnie do Krakowa na dwór stryja księżniczka Gryzelda. Spotkanie; nie wyznanie wzajemnej miłości, ale dość wyraźne jej oznaki. Księżniczka bierze rycerza na swoją porękę i każe mu jechać pośród swego orszaku; ona wyprosi u króla tę łaskę, to przebaczenie, których bracia dotąd otrzymać nie mogli.

To prólog.

Akt pierwszy w Krakowie, na zamku. Trzech Zborowskich: Andrzej, Krzysztof i Jan, z nimi stronnik i przyjaciel Górka, czekają na króla, chcą zanieść prośbę za Samuelem. Wchodzi król, słucha, i odmawia. Spokojnie, łagodnie, ale stanowczo. Prawa łamać nie może; niech Samuel czeka, niech się gdzie w służbie zagranicznej odznaczy, wtedy może będzie czas mówić o łasce. Im bardziej gorzkie, im zuchwalsze przymówki krunąbnych panów, tem mniej król ustąpić może; rozchodzą się w nieprzyjaźni, jeszcze nie otwartej, ale już zupełnej. Chwilę później głos dzwonów oznajmuje przyjazd księżniczki Gryzeldy, a król oświadcza kanclerzowi, że mu ją chce dać za żonę. Na to sprowadził ją do Krakowa, by pokazać na jego przykładzie, że zasługą tylko i dzielną służbą dochodzi się do wyniesienia, a zuchwalstwem nie wskóra się nic z królem, który nie chce być malowanym. Zamoyski zna księżniczkę, wielbi ją, ale błaga króla, żeby od zamiaru odstąpił. Zazdrości, nienawiści, nie było-by końca; banitę Samuela, niegdyś przyjaciela, ugodził-by tem w samo serce. Zaczyna się walka miłości z heroiczną cnotą i wyrzeczeniem się siebie. Gryzelda, ufna w moc, jaką ma nad stryjem, który ją pieści i psuje, ledwie stanęła na zamku, stawia przed królem Samuela, którego potajemnie sprowadziła, i ludzi się, że prośba, że widok rycerza, zmiękczy serce króla. Daremnie; król łaski odmawia. Samuel odchodzi wrzący zemstą—księżniczce stryj zapowiada, że przyrzekł jej rękę Zamoyskiemu, ona odmawia z odwagą, z oburzeniem, i mdleje.

Ale z początkiem aktu drugiego już namyśliła się inaczej. Jeżeli żoną Zamoyskiego zostanie, to potrafi wstrzymać w jego rękę

miecz kary, zawieszony nad głową Samuela. Poświęca się; oświadcza królowi, że gotowa jest zostać żoną kanclerza. W tym samym akcie — jedności czasu trzyma się wielbiciel Szekspira — odbywa się wesele. Na rynku krakowskim ciągną maskary uroczystym pochodem, gawieź patrzy ciekawie, zaki krzyczą wiwaty — Samuel, który siebie sądzi zdradzonym, a Gryzeldę nikczemnie do zameżcia zmuszoną, chodzi między tym tłumem, jak obłąkany, lub opętany. Tak samo chodzi za nim jego dawna kochanka, teraz zdradzona, Katarzyna Włódkowa. Ta teraz dopiero od kozaka, sługi Samuela, dowiedziała się, że Samuel kocha Gryzeldę, zatrzymuje go, pyta, od nieprzytomnego z rozpaczy słyzy słowa obelżywe — poprzysięga zemstę. Nowa zmiana dekoracyi: uczta na zamku. Podczas uczty Gryzelda zemdlała, ujrzała gdzieś w kącie Samuela. Samuel się ukrył, żeby na nią popatrzeć, żeby na swego niegdyś przyjaciela wylać cały war swojej rozpaczy, nienawiści i wzgardy. Zamoyski się tłumaczy, uniewinnia, zaklina Samuela, żeby zwyciężył w sobie zemstę, Rzeczypospolitej i własnej duszy nie gubił: na próżno. Akt kończy się, jak pierwszy, krótką rozmową braci Zborowskich, Krzysztofa i Andrzeja, z mową na króla, do której teraz przystępuje Samuel, i temi samemi słowami Krzysztofa: „a teraz mi drżij, królu Stefanie.“

Usterki są zbyt widoczne. Gryzelda z miłości dla Samuela poświęca się, żeby go ocalić, a tymczasem jej zameżcie nie ma z tem ocaleniem nic wspólnego i pomódz mu nie może. Nie jej poświęcenie, ale jedynie tylko ucieczka może uratować mu życie, bo jeżeli banita da się złapać, to straconym być musi, czy Gryzelda jest, czy nie jest żoną Zamoyskiego. Drugi błąd, a nie mniejszy, to ta Włódkowa, namiętna w miłości a nieublagana w zemście, a tak dziwnie nieświadoma i nie strzegąca uczuć i kroków Samuela, że teraz dopiero przypadkiem od kozaka dowiaduje się o jego zdradzie. Poprzysięga zaś zemstę nie za zdradę, ale dopiero za słowną obelgę. Takich błędów, dowodzących wielkiej młodości a niedostatecznej wprawy i rozwagi autora, jest więcej: do ważniejszych należy może Zamoyskiego doskonała heroiczna cnota, tak wzniosła i tak jednostajna, że aż trochę nuży. Absolutny ideał dobrego obywatela wypadł cokolwiek błado; pod względem moralnym udał się doskonale, dzięki zdrowym, szlachetnym pojęciom autora: ale dramatyczny nie jest, choć mógł być takim z tą naturą, jaką mu autor dał, i w tej sytuacji, w jakiej go postawił.

Ale przy tych wszystkich błędach jest życie w niektórych scenach, jest już pewna znajomość i trafna charakterystyka niektórych historycznych postaci, a zwłaszcza historycznych sił i pierwiastków. Zborowscy i ich stronnicy mają hardość, zawziętość, ironię; w dal-

szych aktach zwłaszcza występują wyraźniej te zalety, ten dar przenikania i kreślenia historycznych stosunków i ludzi. Trzeci akt na przykład zaczyna się sceną Proszowickiego sejmika, na którym Zborowscy burzą szlachtę na króla, wystawiając wymownie swoje mniemane krzywdy. Sofistyczna sztuka Andrzeja, proste, szlachetne, namiętne i zrażone serce Samuela, łatwowierność opinii, przewrotna złość Krzysztofa, wszystko to żyje, rusza się, przemawia swoim właściwym językiem, staje przed oczyma w całej swojej prawdzie — i w swoim świetle smutnem.

Po historyi romans, po polityce miłość. Włódkowa chce nakarmić swoją nienawiść i zemstę widokiem Gryzeldy, chce się dowiedzieć, jak ona Samuela kocha. Pod pozorem prośby o wstawienie się do kanclerza w jakiejś sprawie, dostaje się do kanclerzyny. Wprawne oko rywalki przejrzało od razu nawskroś serce młode i piękne, które się nawet swoich uczuć nie wypiera, tylko w ich imię właśnie błaga o litość nad kochanym, o zaniechanie zemsty. Napróżno; Włódkowa urzędownie zawiadamia kanclerza, że bannita kryje się w Krakowie i okolicy; Starosta krakowski teraz musi go ująć, jeżeli znajdzie: stracić, jeżeli ujmie.

Ale Samuel w tej chwili daleko, w rodzinnym Zborowie, ze szlachtą, ze swymi kozakami, układa wielki zamach: napad na Kraków, na kanclerza, na króla... Jego bracia, Krzysztof i Andrzej, śmieją się w duchu z awanturniczego planu, a chwytają się pewniejszego.

Najemny morderca skrytobójstwem pomści ich na królu, a tron wystawi na nową elekcyę. Samuel, już z powrotem w Krakowie, dowiedział się o zamierzonej zdradzie, odwrócił ją i udaremnił; ale, oburzony na braci i nie chcąc z nimi mieć nic wspólnego. Przestrzeżony przytem listem Gryzeldy (z wiedzą Zamoyskiego), że jeżeli się nie usunie, to zginąć będzie musiał, postanawia ruszyć w świat za granicę.

Na pierwszym kroku tej drogi wstępuje do Łobzowa i żegna się z Gryzeldą, na zawsze. Potem, w ciemną noc błądzi, wpada w zasadzkę, którą mu zgotowała Włódkowa, i przez nią wydany jest starościńskiej straży.

Właściwa tragedia dziejowa występuje najwyraźniej (z natury rzeczy) w akcie ostatnim. Zamoyski chciał-by się wahać, a nie może: obowiązek, wzgląd na przyszłość Rzeczypospolitej, każe mu podpisać wyrok na Samuela. Jan Zborowski — jeden uczciwy między braćmi Samuela — przychodzi prosić o łaskę; kanclerz tłumaczy, dla czego ułaskawić nie może. Tłumaczy to po raz drugi Samuelowi samemu w tej (historycznej) scenie w więzieniu, kiedy go prosił o odpuszczenie. Obadwa może za wiele się rozczulają, za wiele w końcu płaczą

i kochają się; ale jednego żal za życiem i żal o śmierci i wyraża się pięknie, i mięknie, ustępuje dobrze: a drugiego słuszne racje mówią bardzo poważnym, przekonywającym głosem. Rzecz jest bardzo charakterystyczna i godna uwagi, że ten Zamoyski, w dwudziestu latach autora skreślony, tak pojmuje i sądzi stan Rzeczypospolitej, jak go pojmował i sądził autor „Historji w dwunastu księgach“, „Rozstrząsań“, i wszystkich pism, odnoszących się do ówczesnych spraw i dziejów.

Więzienie na zamku.

SAMUEL.

(sam, wstaje od kłęcznika, gdzie się modlił).

Skończyłem z Bogiem, teraz z światem trzeba.
 Łaską dla świata spłacić łaskę nieba,
 To ciężka sprawa. Żal mi tego świata,
 Choć się nań gniewam. O! ginąc tak młodo
 Na obrzydzenie, postrach pokoleniom,
 Bez czci i sławy, ginąc z ręki kata,
 W dzień, co się śmieje majową pogodą,
 Gdy drzewa kwitną, łąki się zielenią,
 Gdy mnie świt słońca powita jaskrawy
 I spyta cicho: Coś zrobił dla sławy?
 Ginąc tak młodo, kiedy silne ramię
 Wre żądzą życia, gdy piersi tak ciasno,
 Że jak ptak bije w zorzę słońca jasną,
 Gdy serce ledwie jej biciem nie złamie...
 Boję się śmierci... O gdyby na stepie
 W rycerskim boju tak poledz młodemu...
 I wiedzieć przecie, że w białym czerepie
 Gniazdo uściele czajka, morskie ptaszę,
 Że na kurhanie panu koszowemu
 Zanuci piosnkę rycerska drużyna
 I grób ogniskiem wesołem opasze...
 I koni tentent z snu go zbudzi głuchy
 Na znak, że jadą szlakami Samuchy.
 Lecz tutaj, tutaj! rycerskiego syna
 Tu nie stać na śmierć!

Patrzę po żywocie
 Moim i pytam: Skąd mnie taki koniec?
 Czyliżem życia nie zmarnił w tęsknocie?
 Czyliżem bólów nie doświadczył krocie?
 Czyliż sam winien był?.. Mnie czarny goniec
 Piekła słał w życie na same bezdroża,
 Że mi nie widna sprawiedliwość Boża.

Gdzie moi bracia, druhy, przyjaciele?..
 Odbiegli wszyscy. O! Panie! za wiele...
 Oto już stoję u wieczności proga,
 Ale się gniewam na ludzi i Boga...
 Nie! nie na Boga! wielkie moje grzechy...
 Bluźnię... O Panie! ja się śmierci boję,
 A tyś opuścił tak dzieciątko twoje,
 O! Panie Boże! pomocy! pociechy!

JAN ZAMOYSKI *wchodzi.*

SAMUEL.

(odwracając się z twarzą splakaną).

To ty? kanclerzu! ty! i w tej godzinie.
 O ja myślałem, żeś ty szlachetniejszy,
 I większy, jak się pokazujesz ninie.

ZAMOYSKI.

Panie Samuelu! nie szydzić przyszedłem,
 Bom twój współrodak, bom jest Chrześciancein,
 I niegdyś uczesz przyjaciele mianem;
 Ale ci pomódz, byś stanął przed Panem
 Czysto i godnie, i nie jak poganin,
 Co zgubne myśli z sobą w grobie chowa.
 Przyszedłem tutaj starostą Krakowa,
 By ci powiedzieć, że istic silniejszy
 Król i ojezyczna i moc niebios Pana:
 Że twa prawica upadła strzaskana,
 Któraś się rzucił na świętość twej ziemi.

Ciężaru z piersi wyznanie umniejszy,
I łatwiej pójdiesz ścieżkami wiecznemi.

SAMUEL.

Nie moc mnie twoja, lecz me grzechy wzięły;
Dusza mnie własna grzeszliwa pożyla.
Lecz idź kanclerzu—przede mną mogiła,
Nie chciej, by myśli światowe stanęły
Między mą duszą i moją mogiłą.
Pan mnie obdarzył łaski swojej siłą,
Skruchą i żalem. Nie burz mi więc ciała,
By mnie moc Pańska znów nie odbieżała.
Krew mam gorącą i ku grzechom skłonny.
O! idź ode mnie, hetmanie koronny.

ZAMOYSKI.

Nie mogę odejść wprzód, niżli się dowiem,
Z kimeś na króla twego się przysięgał,
Z kimeś knuł zamach, w którym król miał zdrowiem
I życiem swoje przyplacić starania
Kolo naprawy pospolitej rzeczy;
Wyznaj, Samuelu, miej duszę na pieczy.

SAMUEL.

Napróżno będziesz w głębie duszy sięgał
Włoskami twemi sztukami badania.
Moich nie zdradzę. Jam nie jest papista!
Choćbyś się z mocą sprzymierzył ognistą
Samego czarta. Kanclerzu! kanclerzu!
O idź ode mnie!

ZAMOYSKI.

Tyś nie był w przymierzu
Z królobójcami.

SAMUEL.

Byłem z braćmi memi,
 Rokosz podniosłem przeciw mojej ziemi;
 Byłem banitą, a w kraju bawiłem,
 Chciałem was zwalczyć, chciałem ziemi pyłem
 Przysypać ciebie, bom cię nienawidził,
 I mego czynu nie będę się wstydzil.
 No! tyś zwyciężył. Będziesz Polską rządził,
 Będą cię Polski opowiadać dzieje,
 A moje prochy wiatr niebios rozwieje,
 I zginę marnie, zginę z ręki kata,
 Bez łzy i cześci. Tak Pan Bóg rozsądził...

ZAMOYSKI.

Śmierć mi twą przebacz.

SAMUEL *(po namyśle)*.

Nie! nie! nie przebaczę!
 Duchy mnie za to nie przekląń niebieskie,
 Kiedy zamieszkam ich kraje królewskie,
 Że nie przebaczę. Tyś mi stał na drodze,
 Żem się zabląkał i ohydził srodze,
 Że bez wawrzynu i odarty z cześci
 Idę tam z pierśią, skarbnicą boleści...
 Ja nie przebaczę! bobym nie miał potem
 Czem rzucić tobie na głowę wslawioną.
 Gdybyś tam przyszedł i znienawidzoną,
 Głowę, by anioł, olśnił światłem złotem,
 A mnieby jeszcze było źle i w niebie.

ZAMOYSKI.

Na wszystko święte ja zaklinam ciebie,
 Przebacz Samuelu. Ja ciebie kochałem,
 Jeno nas Pan Bóg wieczystym rozdziałem
 Utrafił w życiu, i dwie bratnie dusze
 Rozerwał w świata dzikiej zawierusze.
 Ciebie przekleństwo domowe zgubiło,
 A ja zostanę nad twoją mogiłą
 Zwycięzcą ziemskim, lecz w drogach zbawienia
 Potrzebującym twego przebaczenia.
 Mnieć było dano widzieć stan macierzy,
 Mnie, maleńkiemu tego ludu słudze;
 Ja byłem sławnym, ale gdy się zbudzę
 Na głos anioła i duch mój pobieży
 Gdzieś w nieśmiertelność, to mnie ciężko będzie,
 Bo wielkim ziemi, bo bogatym duchem
 Tak trudno w niebo przejść, jak owem uchem
 Igły wielbłądom. Pan tak uczył rzesze.
 Więc przebacz, bracie, ku zmarłych pociesz.

SAMUEL.

Nie... nie przebaczę. Patrzaj, ta ognista
 Szyba mnie słońca raz ostatni wschodzi,
 Wschodzi wesoła, ciepła i przeczysta,
 A wieczór glinę mogiły zecerwieni.
 Oba byliśmy silni, wielcy, młodzi,
 Do dwóch słonecznych podobni promieni,
 Co swem ramieniem ujmują miłośnie
 Obszary Polski, tęskniące ku wiosnie.
 Oba byliśmy żądni szczęścia, sławy;
 Ty jesteś wielkim, a ja kark mój krwawy
 Złożę na ziemi. Mnie ciężko umierać!
 Nie chcę ja nieba, jeno chcę żywota!
 Robak, co będzie mnie w grobie pożerać,
 Nie wyżre mi tęsknoty, co się mota
 O duszę żmiją, że ginę tak marnie!
 Anioł, co z duszą mą do góry wzleci,
 Myśli mej błędnej z ziemi nie zagarnie,

Ani mych marzeń, mych rycerskich dzieci.
 Więc mnie ta światłość nawet wiekuista
 Nie uszczęśliwi. Toć ci nie przebaczę.

W ciągu rozmowy dowiaduje się Zamoyski, że Samuel ocalił króla od zamachu braci. Chce cofnąć wyrok, przywróceniem mu życia i cześci: ale Samuel nie chce. Na wstyd i na występki braci woli nie patrzeć—woli umrzeć wielkim przykładem i nauką dla wszystkich, którzy-by w Rzeczypospolitej wicherzyć chcieli, i śmiercią swoją do jej bezpieczeństwa i przyszłości usłużyć.

Dramat kończy się zupełnem pojednaniem obu przeciwników, pojednaniem, w tem samym pojęciu obowiązku i w jego miłości. Nie dzieło ich nawet miłość Gryzeldy, bo ta ze swoich walk i poświęceń umarła w dzień podpisania wyroku na Samuela. Umarła także z żalu i zgryzoty Włódkowa, w chwili, kiedy jej Samuel, idąc na śmierć, przebaczył.

Taki był pierwszy dramat Szujskiego. Pełen młodzieńczych wad: długości, uczuciowości zbytcej, figur do akcji niepotrzebnych, a nie czyniących za to zadosyć swoim własnem życiem lub wdziękiem (Kozak Wojtaszek); dramat nie wolny i od takich błędów, które, jako autorowi wrodzone, zostaną w nim (w różnych stopniach) na zawsze. Ale dramat także nie bez poetycznego wdzięku w figurze głównej, nie bez życia, ruchu, trafnie pojętego i oddanego charakteru w pobocznych (Batory, bracia Zborowscy, szlachta na sejmiku). Ciekawość także, i od późniejszych odmienny przez to, że materia historyczny jest weń wprowadzony z umiarkowaniem i rozeznaniem: nie wszystko, co do owych czasów i wypadków należy, ale to tylko, co bezpośrednio i koniecznie należy do wybranej sprawy dramatycznej.

Później, przy dokładniejszej i głębszej znajomości historii, Szujski takiego wyboru nie robi i kładzie w dramat wszystko prawie, co w rzeczywistości w danej sprawie było i działało; a ten zasób, ten niekiedy nadmiar historycznego materiału, sprawia, że przedmiot dramatyczny nie może być jasny, albo jest nie dość rozwinięty. Dlatego-to mówiono, że historyk zabił w nim poetę (nie całkiem słusznie). Ale teraz on jeszcze historykiem nie jest, ani być nie myśli: patrzy na historię, jak na kopalnię przedmiotów poetycznych, na fakta i ludzi ze stanowiska ich przydatności do poetycznego, dramatycznego przedstawienia. „Samuel Zborowski“ wskazuje, jak talent Szujskiego byłby się dalej w tym kierunku mógł rozwijać, gdyby powołanie poetyczne nie było się splątało z innem, ważniejszym, praktycznie potrzebniejszym, gdyby temu nie było ustąpiło pierwszeństwa.

Wkrótce potem kończy się faktycznie—nie oficjalnie—uniwersyteckie życie Szujskiego, a w jego życiu wewnętrznym gotują się ważne zwroty i zmiany. Śmierć matki powoduje potrzebę wytchnienia, ochłonięcia z pierwszego smutku; stąd długie pobyty na wsi u krewnych, a przerwę nie w nauce, ale w urzędowych naukach, w wykładach. Boleść—pierwsza w życiu tak prawdziwa i wielka—sprowadza głębokie rozmyślanie, i surowy (zbyt surowy) sąd o sobie samym: sprowadza także (nie na zawsze jeszcze) popędowy, gorący powrót do wiary. Ten nie trwa, cofa się jeszcze; jeszcze raz wraca dawny bunt, dawne uczucie, że jakaś nowa nauka jest potrzebna, dawne marzenie, że on powołany jest ze swymi przyjaciółmi do określenia i ustalenia tej nauki. Messyanizm Mickiewicza w różnych kombinacjach i odmianach wydaje mu się tą nowością. Ale w tej chwیلności jego pojęć, w tym odmiecie uczuć różnych a namiętnych, jest już stała i niewzruszona dążność do zjednoczenia się z Bogiem, jest gorąco żarliwe pragnienie tego zjednoczenia, i przekonanie, że w niem tylko znajdzie tę prawdę, której szuka; jest rozmyślnie i z przekonania poddanie swojej woli pod wolę Bożą — czyli, jest miłość wielka, rzetelna, choć wiara wiotka (a jak on czasem myśli — żadna). Wraca i ona po paru latach tej walki; objawia się skrucłą, instynktowym popędem, który młodzieńca pcha do konfessyonału—a zostaje już na zawsze. Pojęcie życia, pojęcie obowiązku i służby, już się odtąd nie chwieje i nie zmienia. Ostateczna dojrzałość umysłu, sąd o rzeczach i wypadkach, potrzebuje jeszcze i czasu, i doświadczeń, i cierpień nowych; ale treść moralna człowieka, kierunek i charakter jego dalszego życia, są postanowione i ustalone na zawsze.

Wzrasta także, dojrzewa, inne uczucie, które w tem życiu miało być stanowczem: zamiar ożenienia się, jeżeli Bóg poszczęści a wzajemność się znajdzie, w każdym razie zamiar starania się o żonę. Zamiar uwieczniony zrazu warunkowem, później stanowczem zezwoleniem rodziców, a w skutku tego dla przyszłego małżonka konieczność zapewnienia sobie stałej posady, i sposobienia się do egzaminów nauczycielskich (do których nigdy nie przyszło). Wśród tych przejść i zmian, czytanie i pisanie nie mniej, owszem, więcej, niż przedtem; czytanie historyków i filozofów głównie, pisanie głównie poezyi w najrozmaitszych rodzajach, a przedewszystkiem w dramatycznym, Rzeczy własne i przekłady. I wreszcie od roku 1857 i 58 zaczynają ukazywać się w pismach peryodycznych Szujskiego wiersze, zrazu nieśmiało, nieznacznie, im dalej, tem częściej i liczniej.

Są rzeczy bardzo ładne między temi nieznanemi, zapomnianemi wierszami. Z miłosnych naprzykład „Urojony Rywal“, którego poeta chciał-by widzieć razem bohaterem, geniuszem, świętym, ideałem

wszystkich doskonałości, bo tylko taki wart być przez nią kochanym, takiemu on gotów-by jej ustąpić. Albo to „Westchnienie“ żalu i upokorzenia, że nie jest rycerzem, że w rękę ma pióro, nie szablę: z nią w rękę śmielej prosił-by o rękę dziewczyny, i czuł-by się godniejszym jej serca. Czasem droczy się już z narzeczoną, czasem z nią marzy i gwarzy o wspólnej przyszłości, on tęskny, melancholiczny, skłonny do pesymizmu, ona pogodna, odważna i ufna.

WIOSENNA ROZMOWA.

ON.

Możem smutny, że wiosna przemiśnie,
 Że przekwitną wonne róż świątynie
 I narcyzów biały liść opadnie,
 Możem smutny, że bżowe kaskady
 Już nie spłyną mi do twarzy bladej,
 A z narcyzem i bżami tak ładnie.

ONA.

O nie, o nie! Nie stąd twoje smutki:
 Będą lilje, będą niezabudki,
 Miał narcyza, goździk purpurowy;
 A gdy zwiędną różowe altany,
 To omamień kwiat pęknie kochany,
 Jaśmin wonią otoczy nam głowy.

ON.

A gdy przyjdzie chłodny wiatr jesieni,
 Gdy liść drzewa się żółci, zrumieni,
 Suchotnicy ostatnim rumieńcem,
 Gdy mgły zwisną przed słońca źrenicą,
 A ty będziesz bolesną dziewicą,
 A ja będę bez marzeń młodzieńcem?

ONA.

Wtedy będziem siedzieć w cichej chacie,
 I ustawiać sobie grat przy gracie,
 I z ogrodu znosić plon obfity:
 Wonne jabłka i słodziutkie grusze,
 I w sen huścić będą męską duszę
 Kochające ramiona kobiety.

ON.

A gdy zima na polu przypadnie,
 I świat młody tchem swym zwarzy zdradnie,
 Że i widać nie będzie ogrodu;
 Gdy śnieg kwiaty zmrozi i poproszy,
 Gdy już nigdy nie wróci do duszy
 Ptak ów rajski, co w niej lśnił za młodu?

ONA.

To wieczorem — zimowym wieczorem,
 O tych czasach długim rozhoworem
 Zawiedziemy przy ciepłym kominic;
 I będziemy szczęśliwi nadzieją,
 Że nam wiatry nie już nie rozwieją,
 Że nam więcej nie już nie przeminie.

Innym razem tłumaczy jej, dlaczego w samym szczęściu musi im być smutno, dlaczego nie mogą radować się tak, jak inni młodzi na świecie; albo w „Zimowej Głuszy“, gdy cicho płatami śnieg pada, „Świąteczną Godziną“, gdy sam siedzi w swoim pokoju i starą kronikę otwiera, stają przed nim i otaczają go tłumnie dawne postacie, „biskupy poważne i dygnitarze“,

I smutno chylą się ku mnie,
 Cichemi pytając słowy:
 Co z wami, ah, z wami się stało?

Z tych opylonych kart starej kroniki „wychodziły widzenia różne: widzenie Kingi, na przykład, jak przed Tatarami z ludem ucieka, a gdy rzuci za sobą wstążkę, to wstążka zmienia się w rzekę, i Dunajec wstrzymuje goniących; gdy rzuci koronę, to z ziemi podniosą się góry, i Święta z ludem schroni się w Pieninach; sądecka legenda ładna zamieniona w balladę. Albo znowu: król Łokietek słucha smutno wróżby, że zgubiony w Wiśle „Pierścień“ jego córki nie rychło, o, nie rychło się zanajdzie. „Król Chrobry“ z drużyną rycerzy śpi gdzieś w Tatrach i czeka na dzień, który go ma zbudzić. A każda legenda, każde takie widzenie ma swoją myśl i treść głębszą, swoją naukę i przystosowanie. O, bo sztuka nie dla sztuki, widzenie nie dla marzenia, nie dla wrażenia, nie dla pragnienia: dla nauki, dla woli, dla siły, myśli młody poeta, i tych od siebie żąda, tych dla drugich pragnie, do tych chce siebie i drugich wćwiczyć, wprawić, przynaczyć. Cześć i żądza woli, hartu, charakter, to jego górujące uczucie i jego znamienna cecha, to znak, po którym się jego dążenie, działanie i życie od wielu poprzednich i współczesnych odróżnia, odznacza.

Ciekawa pod tym względem—nie bez śmiałości i dumy—jest ta „Prometejska modlitwa“, w której on, rozmówiony poetycznie w wielkim Eschylu i wielkim, od bogów prześladowanym, Tytanie, o jedną cnotę prosi, jedną boginię chce wielbić — siłę.

Ze wszystkich bogiń z Olimpu szczytu,
Jedną wybieram sobie!
Alke potężna, boginiu siły,
Nie z mgły niebieskiej, ale z granitu.
Chcę żyć i umrzeć przy tobie.

Gdy gwałt i przemoc na mnie się zwałą,
Gdy Kronion z niebios gniewem swym grzmota,
Ty mnie ochraniaj rycerską stałą,
Bądź towarzyszką mego żywota.
Gdy Prometeja w twarde kują pęta,
Nie daj mi jęku wydrzeć z piersi hardej,
Ale stać niemy z spojrzeniem pogardy,
Alke, ty święta!

Kiedy sam będę, Prometeusz skutny
U nieczulego nędznej ziemi głazu,

A Okeanid chór, lzami zasnuty,
Przyjdzie bolesną gromadą,
Jak jaskółek stado,
Oblatać granit Kaukazu;
Kiedy maleńcy Kroniona poddani
Radzić mi będą pokorę i skruchę,
Kiedy ziejąca paszczyka otchłani
Otworzy ku mnie tonie swoje głuche:
Alke! Bądź ze mną!
Alke, w poważnej, długiej, czarnej szacie,
Nie daj mi zdrzec w bólu majestacie
Trwogą daremną!

Gdy mi przed oczy postawią konieczność,
Niech im kłam zada mego łona wieczność,
Kiedy mi bogów stawić będą moce,
Nieubłaganość wielkiego Kroniona,
Niechaj ma woła wielkość ich druzgoce,
Jak on niezgięta, silna, nieskończona.
Potrzebie niech ugną się mali,
Niech karły do nóg się jej walą.
Nie mogąc płynąć za falą,
Ja niechaj płynę wbrew fali:
A nie pohańbię mych ojców i braci
W pokornej i skromnej postaci.

Nie!.. wyprężony w męczeńskiej postawie,
Rozkrzyżowany w dumnej mojej ręce,
Gdy o granity białą pierś pokrwiąwę,
A w walce z sępem potargam me ręce,
Niech nie pomyślę o rozkuciu przecie,
Ani o wonnym w Olimpie nektarze;
Niech nie pomyślę, jak niebios mocarze
Długim szeregiem szli-by w powitanie,
By mi osłodzić tryumf ich na świecie:
Niech raczej ginę — ginę, jak Tytanie!

Bo oto czuję, że mi kiedyś może
Równy mnie Tytan pomoc z góry zniesie,

Że mu na piersiach hardy kark położę,
W przyszłości czuję ciebie, Heraklesie!

O tem pragnieniu woli, o tem dążeniu stanowczem a wewnętrznem do jedności w życiu, do poznania celu życia i służenia temu celowi, w uznaniu i przekonaniu, że przez Boga tylko i pod Bogiem człowiek służyć mu może rzetelnie i skutecznie, świadczą najlepiej może, najwyraźniej, „Poważne chwile”. Zbiór to wierszy (wydany w roku 1860), w których autor złożył niejako spowiedź powszechną swojej młodości, swoje „duszy dzieje”, jak się sam we wstępie wyraża. Wahał się długo, czy ma je ogłosić, odsłonić na widok publiczny tajemniki swojej myśli i sumienia. Ale uznał, że mogą przydać się drugim; że manowce, po których sam się błakał, staną może innemu na przestrożę i nauczą go, gdzie droga prosta — i wydał.

Rzecz to za długa, iżby można dać ją poznać należycie; może za ciężka na to, by mogła kiedy mieć wielkie i powszechne powodzenie. „Samotne z Bogiem sumienia rozmowy”, to przedmiot do medytacji pobożnej, nie do poezyi: powie nie jeden, i zajrzeć do nich nie zechce. Jest to obraz walk, jakie chłopiec młody stacza z swoją własną myślą, śmiałej ufności, jaką pokłada we własnym swym rozumie, gorzkiej żalności i czezości, jakiej doznał, gdy się zawiódł, rozpaczy, w jaką wpadał, gdy nie mógł dojść, czem jest i na co żyje. A wreszcie zrozumienie tajemnicy życia, rozwiązanie zagadki, zgodzenie się dobrowolne, świadome, zupełne, na to życie, jakie Bóg człowiekowi dał — to są „Poważne chwile”, to Szujskiego „duszy dzieje”, jak je też opisał.

Zrazu to chłopiec, w którym myśl się budzi, obudzona, pragnie mądrości, prawdy: chłopiec w walce z matką, która doświadczeniem, błaganiami, modlitwą, przestrzega przed mądrością niebezpieczną, niecnotliwą — napróżno! Pokusa zbyt ponętna, złudzenie i pragnienie młodości zbyt potężne: syn nie chce być „potulnym chłopczyzną” i dać się wodzić na pasku, chce latać własnymi skrzydłami, jak orzeł, i śmiało samemu słońcu patrzeć w oko.

Więc przedsięwziąłem wszystko badać skrzętnie.

Szukał Boga w dziejach przeszłych i w otaczającym świecie, szukał go wszędzie — i wszędzie znalazł odpowiedź, że go niema.

Wtedy poznał, że jest, poznał po próżni i czezości swego serca, po osłabieniu swojej myśli, po małości i niedołężności swojej siły.

Szedł na mnie, i bój wielki wszczął się między nami,
Szedł jak wichr, i poruszył duszy tajemnikami...
Zadrzałem: ałem oczy przestonił rękami.

Widział, ale nie chciał widzieć; poznał, ale nie chciał uznać:

Kto raz Cię obrażał, o Panie na niebie,
Ten zaraz i łatwo nie wróci da Ciebie,
Lecz długo, boleśnie, w ciemności obłądzie,
Szukać Cię będzie.

Będzie dążył, będzie próbował znaleźć, a nie zdoła; będzie chciał wierzyć w życie, a śmierć wyda mu się tylko marnym końcem marnego bytu; będzie pragnął uwierzyć w miłość i opatrność, a w duszy osiedzie mu tylko rozpacz, wiara w nicosć, lub w boleść bez końca.

Następuje zwrot. Zmiłowanie przyszło pod surową postacią nie-szczęścia. Śmierć matki wstrząsała tę duszę do samego dna, prawda cierpienia wprowadziła go na drogę, na której się prawda życia znalazła.

Kiedy drży człowiek pośród ziemskiej drogi,
To mu ty zsyłasz Anioła przestrogi.
Kiedy słabnieje, Ty, jak rosę drzewu,
Grom polom, zsyłasz mu Anioła gniewu.
A gdy ócz jego nie pomogą żary,
To ślesz na ziemię Cherubina kary.

I Anioł kary na grzeszną skroń złata,
Smutny i błady goniec Niebios świata,
A co najdroższem było dla niej z ziemi,
Bierze, i niesie skrzydłami srebrnemi,
Aby, gdy inne mu gwiazdy nie świecą,
Najdroższa dusza opieki żrenicą
Świeciła z góry i, gdzie gwiazd korona,
Opadłe winę podniosła ramiona.

Oto, doznając takiej Twej opieki,
Panie! Ja Ciebie wielbić chcę przez wicki...

Idzie potem kilka wierszy, poświęconych „Jej cieniem“; piękny, rzadki w poezji świata wyraz dziecinnej po rodzicach żalości:

4.

Ołtarze pańskie święte, sklepienia kościołów,
 Postacie świętych, kształty bieluchne Aniołów,
 Lampy, miłości Pańskiej symbolem jarzące
 I wy znaki pogrzebne, świece gorejące,
 Kiry i białe krzyże, dzwony, co w cmentarnią
 Ciszę ronicie pieśnią boleści ofiarną:
 Kocham was, choć niegodny, boście ciąg żywota
 Jej otaczały, jako nie różańca złota,
 I od kolebki dziecka, aż do trumny wieka
 Święta waszych tajemnic strzegła ją opieka.

Zrodziła się i zmarła w waszej świętej stróży;
 Przy chrzcielnicy ją wzięto między namaszczone
 Niewiasty Pana — pośród świata burzy
 Uciekała pod Pańskie sklepienia święcone,
 A modliwemu zgiętej nieraz wielcy w Bogu
 Podawali myśl dobrą u kościoła progu,
 I Anieli z ołtarza lży jej i boleści
 Nieśli, w górę wlatując z słowem dobrej wieści,
 Aż w świętej służbie Pańskiej, modląc się przed chwilą,
 Uleciała ku niebu lekkością motylą.

W tobie żyła i zmarła, mój święty kościele,
 W tobie spoczywać będzie, jako bujne ziele,
 Jak kłos pełen nadziei, kłos pełen jędrności,
 Bogaty w plon obfity na dzień Wszechmiłości!..

5.

Rodzinne pola i ojezyste lasy
 Zazielenione, strojne w tyle krasy,
 Rzewnemi po was spoglądam oczyma,
 Ona was znała — jej już w świecie niemal

¹⁾ Po śmierci matki wyjechał Szujski do rodziny, do Zbyszyc, w Sądeckiem. Wiersz ten widocznie, a prawdopodobnie wszystkie, poświęcone „Jej pamięci”, tam były pisane.

Ona was znała, i oko jej święte
 Patrzało na was, jasne, uśmiechnięte,
 Pierś macierzyńską wasza woń krzepiła,
 Zdrową i szczęsną wpośrodku was była.

W kościółku wiejskim tutaj ukłękniiona,
 Poważna, cicha — swej duszy ramiona
 Wznosiła k'niebu — a k'ziemi spuszczała,
 Gdzie głowa syna pacholęcia lśniła.

W cichej komnacie — tutaj, wśród rodziny,
 Głos jej miłosny drżał z duszy głębiny,
 A serce wielkie, pobożne i święte,
 Wznosiło nad nią skrzydła rozciągnięte.

I dziś tu wszystko jak było przed laty,
 Lecz smutniej śpiewa wieszcz niebios skrzydlaty,
 Lecz smutniej dzwonek jęk po jęku roni,
 Kiedy w pół ciszę Aniol Pański dzwoni.

I kiedy ziemię rolnik pługiem orze,
 A ziemia wnętrze miłosne rozkuwa,
 To sobie myślę: w tej ziemi jej łoże,
 Tam ona cicho po trudach spoczywa.

I kiedy rankiem skowronek podlata.
 Lub gdy wieczorem w lasku słowik pieje,
 To mnie się zdaje, że z tamtego świata
 Ona żywota opowiada dzieje.

Oh! bo zgon z światem zmarłej nie rozdzielił,
 Ani śmierć węzłów serca nie przecięła,
 Bo ją Pan tylko w duchu wyanielił,
 By wszystkich razem miłością objęła.

6

Oziwną ja miłość w sercu mojem czuję,
 Odkąd sierotą po ziemi wędruję.

Odkąd mi serce miłosne ubyło;
 Nad każdym domem i każdą mogiłą
 Spokoju słowo mówię chrześcijańskie,
 Pielgrzymem idę w świat—a w imię Pańskie.

I kędy dobrzy witają mię z proga,
 Błogosławieństwu ich polecam Boga;
 I kędy smutni zajdą na me drogi,
 Życzę spokoju i pociechy błogiej;
 A kędy grzesznych napotkam na ziemi,
 Życzę, by Pan się zmiłował nad nimi.

I przez łzę cierpień, jak przez niebios tęczę,
 Świat mi się w barwy ubiera młodzieńcze
 I zdaje mi się, żem w bólów mych jęku
 Dostyszał lutni Pana mego dźwięku;
 Słyszał w samotnej serca mego ciszy,
 Co nigdy żaden szczęśliwy nie słyszy.

I już mnie głosy niesforne nie rażą,
 Ani z zbawioną śmiertelnicy twarzą,
 A com czuł kiedy w marze lub natelnieniu,
 To mi się w wiarę wzmocniło w cierpieniu,
 Jakby na serca bolesnego skali
 Anieli wiarę krwią mą namazali.

Zwątpienia potwór serca mi nie ruszy
 Bom pod opieką jej anielskiej duszy,
 Bo gdym jej tęskny szukał koło siebie,
 Musiałem wzrok mój potoczyć po niebie,
 I gwiazd się pytać, gdzie mi się podziła
 Anielska dusza ta, co mnie kochała.

I w bólach moich nie rzucam się więcej,
 Lecz lecę ku nim w weselny, dziecięcy
 Krzyk—i o przyszłość nie trapię już głowy,
 Bo mi powiada blask świtu różowy,

Bo mi powiada blask wieczoru eichy,
 Bo ptaków pienia i kwiatów kielichy
 Wołają w zgodne wspaniałe wołanie:
 O zmartwychwstanie ona! zmartwychwstanie!

7.

O zmarła moja, jeżeli grzeszę,
 To ty uciekasz zdala przede mną
 W błosławionych kryjesz się rzeszę,
 A mnie tu smutno i ciemno!

Ale gdy lepsza myśl mnie obudzi,
 Do dobrych czynów dłoń się otwarła,
 To pośród świata, to pośród ludzi,
 Widzę, jak do mnie śmieje się zmarła.

I w każdej czystej, pobożnej chwili,
 Toś ty tak blisko, tak blisko przy mnie,
 Że się ma postać ku tobie chyli,
 A w powitalnym pieśń kwili hymnie.

Że się dłoń moja wyciąga k' tobie,
 Że miejsce dla cię wygodne robię,
 Bo wiem, że wtedy idziesz wraz ze mną
 I już sierocie wtedy nie ciemno.

8.

Panie! dzięk Tobie niesiem, że nikt z tego żniwa
 Nie ginie i w nicości duszy nie podziewa,
 Ale miłosną ręką, jak pasterz troskliwy,
 Każdą duszę masz w pieczy Twojej miłościwej.

Panie! dzięk tobie niesiem, że tracąc miłosne
 Dusze nasze, patrzymy w wieczną niebios wiosnę,
 I każda jasna gwiazda, każdy kwiat nam wszędzie
 Powiada wonią swoją, że im dobrze będzie.

I że ramiona nasze, choć człek karłowaty,
Dostają aż w nieznanne, archanielskie swiaty,
A łza, co tutaj pada, jak deszcz dobroczynny,
Gasi cierpienia tego, co tam jeszcze winny.

Dzięk Tobie, że tam z góry w Twe odziane blaski
Schodzą k' nam drogie dusze Aniołami łaski;
Żeś trzy swiaty: tryumfu, walki i żałości —
Powiązał jednym, świętym pierścieniem miłości.

Po takim zrozumieniu dopiero przychodzi prośba, a pod formą
prośby postanowienie, ślub, złożony na dalsze życie:

Nie chciej, o Panie, bym lampą kamienną
Lśnił Twoich myśli oliwą promienną,
A sam był ciemny, słabiuchny i kruchy,
Jak grzeszne duchy.

Nie chciej, o Panie, bym patrzył na Ciebie,
Jak z Aniołami tryumfujesz w niebie,
A sam nie ruszył na tryumfów drogi
Przykutej nogi.

Nie chciej, o Panie, bym okiem natchnienia
Przebijał tajnie Twojego istnienia,
A potem, wsparty na lutni rozumnej,
Spoczywał dumny.

Nie chciej, o Panie, bym u Majestatu
Wyroki twoje czytał temu światu,
A unncem okiem patrząc w ich konieczność,
Stracił swą wieczność.

Nie chciej, o Panie! bym się z Tobą mierzył,
Ufał w natchnienie—z wiedzy ducha wierzył,
Bym na mych skrzydłach wzniesiony wysoko
Patrzył w Twe oko.

Bo lampy onej los mnie spotka lichy,
Straciwszy światło, straci powód pychy,
A bezczynnemu wyznawcy Twych czynów
Dasz garść wawrzynów.

Lecz z łaski swojej nieśmiertelnych stoków
Z myślą proroków daj życie proroków,

Lecz daj mi chwałę, miast liścia wawrzynu,
 Dobrego czynu.
 Lecz daj mi lichych na duchu prostotę
 I dzieciąt małych daj mi usta złote,
 Aby me usta, co wieki sądziły,
 Pacierz mówily.
 Lecz daj mnie wielkość utopić w miłości,
 Lecz daj natchnieniu roztając w świeżości,
 Niechaj me światło nad głową po zgonie
 Cnotą mi płonie.

A potem dopiero, w kilku wierszach ostatnich, wyznanie, jak on pojmuje „Treść Dziejów“, jak tajemnicę śmierci, jak tajemnicę życia i jego cel.

Oto, co podług niego jest treścią dziejów, i co ma być ich końcem:

TREŚĆ DZIEJÓW.

Kiedy Bóg ludzi zdumiałych rozdzielił,
 Gdy duch ich strzaskał piorunem swej kary,
 Wtedy z łask źródła jeszcze im udzielił:
 Zapal, miast cnoty — natchnienie, miast wiary.

Wtedy im jeszcze ścieżkę pozostawił,
 By dojść do Niego — bólu i tęsknicy,
 I rozproszonym jeszcze błogosławił
 Z łzą wilgłą w oku i łaską w źrenicy.

Więc choć łask jego zapomną na ziemi,
 Choć rzucą błotem na najświętszą rękę,
 To duch ich wewnątrz dźwiękami srebrnemi
 Roni w przestwory tęsknoty piosenkę.

Aż zsieroceni, w nędzy ducha nagiej
 Powrócą kiedyś marnotrawne syny;
 Wtedy On, pełen bolesnej powagi,
 Pójdzie powitać pobite drużyny.

I będą prosić Wszech Pana w pokorze :
 „Daj nam ostatnim być przy Twoim progu,
 Ale przy Tobie, o Panie, o Boże,
 Ale przy Ojcu — ach! ale przy Bogu!

A cóż będzie tajemnicą życia, jego prawem, jego wartością, za-
 sługą i skutkiem?

Dwojakim ruchem Ty kazałeś, Panie,
 Dążyć ku Tobie, dążyć w zmartwychwstanie,
 Z świata—w świat duszy, i w świat—z duszy świata.

Świat nam opuścić kazałeś zwodniczy
 I duszę w piersi zamykać sklepienie,
 Z tobą zamieszkać w ciszy tajemniczej,
 Jak kapłanowi, co ofiarę pali,
 By twe wyroki w serca słyszeć drżeniu,
 Znicestwić w Tobie, i w tem znicestwieniu
 Być twą prawicą ukowaną z stali.

A potem nakształt rosy różnowzorej
 Na łan Twojej siejby padać rozwinięty.
 Jak kwiecie pola, jak owoc jabłoni
 Rosnąć nie sobie, swojej nie czuć woni,
 Rozwiłokrotnie się w drobnej usłudze,
 W tysiącznych trudach i w ciągłym czuwaniu
 Swe zrobić cudzem, swoim zrobić cudze,
 I wyznać Ciebie w swem własnem zaprzaniu.
 Znicestwić znowu — ale z znicestwienia
 Każdego czasu wstać w pełni istnienia,
 Każdego czasu, gdy wołasz z niebiosów,
 Stanąć pokorny,
 Z jednaką twarzą czekać Twoich ciosów,
 I gdybyś piekła czuł na piersi żary,
 Nie pytać nieba o słusność wyroku,
 Ale sumienia o przyczynę kary;
 Konając, ojca widzieć w Twojem oku,
 Konając, nucić hymn Twej świętej wiary.

Tym wiecznym, świętym, nieodmiennym ruchem,
 Panie, Tyś kazał iść za swoim duchem,
 I dołączyć człowieka słabiuchną i lichą
 Z anielskiej doli powiązał łańcuchem.

Oto do czego doszedł po długim bolesnym szukaniu i błędzeniu. To konkluzja, która mu wystarczy, prawda, której trzymać się będzie do śmierci, drogowskaz czy program na cały dalszy bieg życia. Jeden powie może, że to poezja ciężka, inny, że pojęcie życia fałszywe, bo religijne; ale kto rzetelnie z dobrą wiarą zechce przeglądać te dzieje jego duszy, ten będzie musiał zdumieć się i zbudować na widok tego, co ten młodzieniec sam z sobą przemyślał i przewalczył, na widok tej szczerości uczucia i stałości woli, która prawdy i dobra pożąda namiętnie, a poznavszy, przyjmuje odważnie, poświęca się na jej służbę bez warunków, zastrzeżeń i ograniczeń; na widok tego życia, które do poznanej prawdy, do przyjętego zobowiązania i ślubu przypada zupełnie, doskonale, bez jednej chwili wahania czy zaniedbania, roz-targnienia czy zniechęcenia. To musi przyznać nawet ten, komu Szujskiego pojęcie wydałoby się fałszywym. A kto je ma za prawdziwe i dobre, co taki pomyśli o szlachetności wzniosłej, która jak piękny kwiat ukazuje się w całej swojej pełni, w chwili, kiedy ma się przemienić w coś piękniejszego jeszcze, w cnotę dojrzałego męża, zawsze sobie równą, zawsze sobie wierną, nigdy niczem nie zaprzeczoną, ani umniejszoną?

Z tych prawd, które on teraz bierze do serca i chowa jak wskazówki swego obowiązku, niektóre rozpoznać łatwo jako nie nowe; w najpóźniejszym wierszu Krasieńskiego, w tym, który jest ostatniem streszczeniem jego nauk, są maksymy podobne do tych prawideł życia, które teraz stawia sobie Szujski. Ale jest i krok dalej, po-za i po-nad stanowisko poprzednich poetów, krok, który nie znaczy i nie dowodzi, jakoby on miał być potężniejszy, większy od nich, tylko, że na podstawie prawd, jakie oni określili, następca o całą tę wysokość już za ich sprawą prawdy zupełnej, moralnej i dziejowej bliższy, mógł z konkluzji tamtych niejedno ująć, lub dodać, lub sprostować, prawdę tę jaśniej zobaczyć i ująć. Taką oznaką mianowicie jest w tym ostatnim wierszu przestroga czy przykaz:

„Nie pytać nieba o słuszność wyroku,
 Ale sumienia o przyczynę kary.“

Jak często, jak raczej zawsze, w późniejszych dziełach Szujskiego widać, że główną pracą jego myśli, zadaniem jego życia, jest: szukać tej przyczyny kary, o nią pytać, ją znaleźć i zrozumieć. Tego on chce, to robi we wszystkich swoich pismach historycznych i politycznych, w swoich uniwersyteckich lekcjach, w swojej poezji także—podobny do lekarza, który naprzód chce i musi poznać przyczynę choroby, bo jak ją pozna, to i środki uzdrowienia wskazać zdoła.

ST. TARNOWSKI.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA RZYMSKA.

Rok jubileuszowy. — Dwie polskie kaplice. — Z dziedziny sztuki. — Kongres orientalistów. — Malaria. — *Vox urbis*. — La Madonna A. Venturogo. — Dwie podróże do Palestyny. — Beatrice Cenci — Galerya Borgheese. — Polska wyprawa naukowa. — Wyprawa księcia Abruzzów. — Ostatnie wykopaliska na Forum.

W ciągu 125 lat ostatnich, tj. od r. 1775, aż do r. 1900, jeden tylko Rok Jubileuszowy mógł być obchodzony w Rzymie, według dawnych podań i przepisów; możemy więc powinszować sobie, że jesteśmy świadkami rzadkiej w dziejach Kościoła uroczystości. Otwarcie Wrót Świętych, Jubileuszowych, t. zw. Porta Santa, w lewej polaci portyku Watykańskiej bazyliki, odbyło się po raz ostatni, w r. 1825, za panowania Leona XII, której to uroczystości dzisiejszy papież, Leon XIII, przypatrywał się, jako piętnastoletni chłopiec. w Bazylice Św. Pawła, za murami, z powodu spalenia się kościoła

w r. 1823. Obchód ten sięga jeszcze wiele dawniej, bo nawet r. 1775. Pius IX za swego bardzo długiego pontyfikatu chciał obchodzić Jubileusz dwa razy, ale oba razy zmuszonym był zaniechać zamiaru z przyczyn politycznych: w r. 1849 uciekł przed rewolucją do twierdzy Gaety; wrócił wprawdzie do Rzymu, w kwietniu 1850 r., pod osłoną francuskich i hiszpańskich wojsk, ale chwila nie była po temu, aby ogłaszać Jubileusz, a nawet było-by niebezpiecznem zwolywać cudzoziemców do Wiecznego Miasta. Tym sposobem rok 1850 przeszedł bez odwalenia Świętych Drzwi, czy to u Św. Piotra, czy też w trzech innych Bazylikach.

W r. 1875 po świeżym zaborze Rzymu przez rząd włoski, tenże sam Papież, z powodu żaloby i na znak protestu przeciw gwałtowi uznał za konieczne zawiesić w Rzymie wszelkie uroczystości kościelne i dworskie, nawet konsystorze, kanonizacye i beatyfikacye, wreszcie t. zw. Capelle w Sykstyynie, które dopiero za Leona XIII przywrócone zostały. Przed stu laty Pius VI umierał w Watykanie, jako jeniec jakobińskiej rzeczypospolitej francuskiej, więc i wtedy obchód jubileuszowego nie było.

Dzisiejszy Papież przywrócił powoli do dawnej świetności ceremonie papieskie, ale błogosławieństwa *urbi et orbi* z zewnętrzznego ganku Bazyliki nie udziela, i ani on, ani processye watykańskie na plac Św. Piotra nie schodzą. Znamienną też cechą położenia jest, że królestwo włoscy żadnego udziału w ceremoniach jubileuszowych, we wspaniałej uroczystości otwarcia Porty Santy, nie wzięli i nie wezmą. Pomiędzy Watykanem a Kwirynałem jest wykopana przepaść.

Z tem wszystkiem zauważono podczas ostatniej ceremonii otwarcia Drzwi Św., że Papież, dając następnie błogosławieństwo w samej Bazylice, udzielił je *urbi et orbi*, według formuły z przed r. 1870, i że kazał zostawić otwartemi na oścież drzwi Portyku, aby pobłogosławić także i lud, i wojsko, zgromadzone na placu. Byłby to więc — zdaniem sfer watykańskich — nowy krok, zmierzający do przywrócenia dawnego stanu rzeczy.

Promulgując Jubileusz, wydając Bullę i dekrety, Najwyższy Pasterz wezwał duchowieństwo i wiernych do modlitwy i pokuty, dla wzmocnienia wiary, mianowicie w chwili, kiedy katolicyzm jest przesładowany.

Katolicy włoscy odpowiedzieli na wezwanie ofiarowaniem Papieżowi złotego młotka, którym zostały otwarte Święte Wrota, i złotego kielicha, ze składek robotników, aby nim odprawił pierwszą Mszę Świętą na wstępie r. 1900. Wymowniejszym jeszcze holdem bę-

dą liczne pielgrzymki, częścią już przybyłe, częścią zapowiedziane z różnych stron świata. Galicyjska przybędzie w początkach maja.

W r. b. upływa także 600 lat od chwili, kiedy Dante Alighieri, śpiewak „Boskiej komedyi“, znajdował się w Rzymie, podczas jubileuszu, ogłoszonego przez Bonifacego VIII, i wtedy, w końcu marca, miała go natelnąć myśl—widzenie, która go pobudziła do napisania nieśmiertelnego poematu. Stąd też włoskie ministerjum oświaty postanowiło obchodzić rocznicę rozpisane go na kwiecień r. b. konkursu pomiędzy uczniami wyższych szkół na rozprawkę z zakresu literatury dantejskiej.

Ze sfery anty-klerykalne poruszają wszelkie sprężyny, aby o ile możliwości zaszachować znaczenie jubileuszu—można było się spodziewać. Projektowane są pono dwa obchody z celem wyraźnie anty-religijnym: uroczystość wolnomyślnych młodych Włoch, przed posągiem mnicha Giordana Bruno, w trzechsetną rocznicę jego spalenia na stosie, na Placu dei Fiori w Rzymie, i międzynarodowy kongres massoneryi, zwołany na dzień 30 września r. b., to jest w trzydziestoletnią rocznicę wkroczenia wojsk włoskich przez wylom w Bramie Pia do Rzymu. Oba te obchody odbędą się więc dopiero ku końcowi roku.

My, specyjalnie Polacy, będziemy mogli poświęcić w r. b. dwie narodowe kaplice: jedną w Padwie, w Bazylice Św. Antoniego, drugą w kościele Św. Joachima w Rzymie, gdyż obie będą wykończone. Mielśmy wprawdzie w Assyżu własną kapliczkę Św. Stanisława biskupa, a w Neapolu, przy kościele Św. Jerzego Większego, oratorium Św. Kazimierza królewicza; ale oba te przybytki z czasem poszły w zapomnienie. Dzisiaj natomiast, na miejsce dawnego ołtarza Św. Stanisława a l S a n t o, powstała, dzięki gorliwym zabiegom miejscowego franciszkanina, ks. J. Warchała, polska kaplica pod wezwaniem tegoż świętego. Ubranie jej w piękną, artystyczną szatę, o charakterze narodowym, zawdzięczamy artyście, Tadeuszowi Popielowi, ze Lwowa, autorowi fresków, które uznane zostały za znakomite. W drugiej kaplicy na Prati di Castello, w Rzymie, maluje włoski malarz, Atycyusz Palumbi; w obu ściany pokryte są przedstawieniami z żywota Św. Stanisława biskupa i innych polskich patronów. Nie rozpisujemy się o nich, gdyż wasze pisma illustrowane dadzą nierównie dokładniejsze o nich wyobrażenie, niżby to możliwem było w krótkiem kronikarskiem sprawozdaniu.

Była-by to również chwila skreślenia dziejów Polaków bawiących w Padwie od wieku XVI, zarówno ks. ks. franciszkanów, spo-

wiedników w Bazylice, jak i słuchaczy słynnej niegdyś wszechniccy. O słuchaczach polskich many różne wiadomości, począwszy od książki Sebastjana Ciampiego; ale dokładniejsze opracowanie przedmiotu wymagałoby przede wszystkim rozpatrzenia się w dokumentach, rozrzuconych w Padwie, po rozmaitych archiwach. O ile wiem, zabiegliwy ksiądz J. Warchał nosi się z myślą odszukania i zgromadzenia wszystkich akt, mogących dać świadectwo o życiu Polaków w mieście Św. Antoniego.

Podczas ostatniej, trzeciej z rzędu, międzynarodowej wystawy sztuki w Wenecyi (odbywającej się od r. 1891, co dwa lata), odżył w pamięci społecznym, zmarły przed laty dwunastu, świetny malarz uliczek, typów królowej Adryatyku, Jakób Farretto, znakomity obserwator, malujący nieraz z humorem, bez cienia sentymentalności, malarz „w dyalekcie miejscowym“, jak go ktoś trafnie określił.

Komitet urządzający wystawę powziął szczęśliwą myśl oddania całej jednej sali na obrazy Farretta. Od dnia, kiedy wyszedł ze sklepu papieru, gdzie za pół lira dziennej pracy sprzedawał papier i ołówki, zaczął sam próbować rysunku; potem, wydoskonaliwszy się, upodobał sobie barwny wiek XVII, malując olejno, sceny weneckie z epoki, malując także społeczną Wenecyę, jej kanały, ludzi, sceny, nie sięgając zbyt wysoko, ale uprawiając z miłością swój ogródek, pełen barw i kwiatów. Zebrało się tych obrazów około 40, z których główne są: „Targ na San Polo“, „Sami“, „Liston“, „Ulica Wenecyi w dzień slotny“, „Po kąpielu“, „Kanał Św. Magdaleny“, „Zepsuł się parasol“, „Ciągnięcie loteryi“ itd.

Farretto był realistą pędzla, ale nie wahał się upiększać prawdy, dlatego ktoś trafnie także nazwał jego realizm: realizmem malowanym.

Dobrze zrobiono, że na tej wystawie, gdzie się zebrało co tylko najlepszego mają dzisiaj Włochy, ukazała się wystawa zbiorowa żyjącego, Franciszka Michettego, i Arystydesa Sartorio. Wystawy zbiorowe dzieł jednego artysty wzięły początek w Anglii i Niemczech, jako dowód wyjątkowego odznaczenia. Na włoskim półwyspie króluje dziś Michetti, malarz z Francavilli al mare, autor kilku większych, słynnych już, płócien olejnych i mnóstwa wspaniałych studyów

pastelowych i a tempera. Znany go przedewszystkiem jako twórcę „Votum“, zakupionego do galerji narodowej w Rzymie“, i „Córki Jovia“, będącej w posiadaniu barona Blanca.

W krajobrazach Michetti jest pogodnym południowcem, choć w jego obrazach, obfitujących w kontrasty cienia i światła, więcej czuć rozlanego światła, niż blasku promieni słonecznych. Wybornie są jego sielanki, pobraża morskie, stoki gór, wąwozy południa, znakomite głowy ludzkie, zwierzęta, ptaki, jak np. indyki z całym bogactwem barw i połysków na piórach, pyszne typy z Abruzzów, pełne wyrazu i siły. Michetti ma jedną oryginalność, pochodzącą widocznie z budowy źrenicy ocznej, że tworzy zwykle rzeczy albo za małe, albo za wielkie, a więc nie takie, jakimi się w rzeczywistości wydają. Głowy w studyach są zawsze większe, niż w naturze.

Za to A. Sartorio, od czterech lat profesor Akademii sztuk pięknych w Wejmarze, wystawił w osobnej sali, w Wenecyi, w pałacu wystawy w ogrodzie publicznym, zamiast dużej ilości mniejszych utworów, jak Michetti, jeden wielki dyptyk olejny, zatytułowany „Gorgona i Bohaterowie—Dyana Efezka i jej niewolnicy“. Dyptyk jest dziełem talentu, sprawia wrażenie, choć niema w nim ani jednolitości, ani linii, choć pomysł nie tłómaczy się jasno. Na jednej części podwójnego obrazu widzimy, na ciemnej płaszczyźnie nad morzem, leżących kilka ciał mężczyzn, po których depece naga Gorgona. Jest to widzenie z dziedziny neoidealizmu symbolicznego, który przyjął się w Anglii, Francyi i Niemczech. Druga część dyptyku przedstawia stosy leżących na ziemi, uśpionych, nagich, rubensowskich postaci kobiecych i męskich, gdzieś u stoku skały, pospołu z rozszarpanym tygrysem, orłem, lwem, koniem itd. Z tego zwałiska ciał sterczy fatalistyczny posąg Dyany Efezkiej o stu piersiach. Cały obraz budzi pewien niesmak, niezadowolenie, którego nie zaciera poprawność rysunku.

Autor tłómaczy pomysł symboliczny dyptyku: chciał przedstawić dwa obrazy głębokiej nicości życia ludzkiego. Z jednej strony, Gorgona, ubrana w pozory olśniewającej piękności, jest życiem i śmiercią zarazem, gdyż ożywia i strąca jednocześnie bohaterów. Z drugiej strony, Dyana z Efezu, o stu piersiach, karmi ludzi i ich chimery. Ludzie (jak mówi poeta), utworzeni są z tego samego materiału, co ich sny, i dla tego autor przedstawił ich śpiących, z symbolami próżności ambicyi w ręku.

Choćby tylko uważać dyptyk jako wyłącznie dzieło Piękną, (bez podkładu filozoficznego), to obie części nie harmonizują z sobą: gdy w jednej jest nadto pustki bezdenne morza, pogrążonego w ciemności, w drugiej zbite szeregi ciał nie dadzą się wytłóma-

czyć. Tylko rysunek jest znakomity. Obraz został przewieziony do galerii narodowej w Rzymie, gdzie są już niektóre dzieła Favretta.

W innym płótnie tryptyku: Dziewice mądre i głupie, czuć wpływ preraphaelizmu. Najprzystępniejszemi dla szerszego ogółu pozostaną zawsze widoki z Kampanii rzymskiej, której charakter poważny Sarnatorio doskonale przynosi na płótno.

Mniej głośnie od poprzednich, Marius de Maria, albo Marius Pictor, jak się podpisuje, jest także jednym z najlepszych włoskich artystów; dwa jego krajobrazy: „Wieczór letni“ i „Cyprysy willi Massimo“ (w Arsoli), są pełne nastroju i poezji. W pierwszym widzimy ciepłe promienie zachodzącego słońca, wieczór sielankowy w dolinie; stado białych owiec wracających z pastwiska: na pierwszym planie, wielkie drzewo rozciąga swój cień nad sarkofagiem z bogatymi klasycznymi rzeźbami. Arkadya bez afektacji i czułości. Na drugim obrazie: wspaniałe, wiekowe, sławne cyprysy willi Massimo, skąpane w zachodzie słońca, otoczone murem i zakończone sarkofagiem. Przez mur willi sady, w całym pędzie, centaur z dzirytem w ręku, goniąc za dzikiem, który umyka przez trawy. Jest w tych kompozycjach coś fantastycznie pogańskiego, co przypomina silną poezję Szwajcara Böcklina, tylko Marius Pictor, choć ma te same pomysły, tamtego nie naśladuje, ma może mniej fantazyi i siły, a jako Włoch, za to więcej delikatności poczucia.

Z rzeźbiarzy: Dominik Trentacoste z Palermo, dał wdzięczną „Córkę Nioby“, Dominik Ciffariello wyborych kilka popiersi, Neapolitańczyk Jeran także kilka ładnych biustów itd. Włochy mają dziś kilku zdolnych rzeźbiarzy, wielkiego rzeźbiarza za to nie posiadają.

W październiku mieliśmy w Rzymie dwunasty z rzędu międzynarodowy kongres orientalistów, którego posiedzenia odbywały się w salach uniwersytetu. Kongres był świetny, gdyż zjechali się nań wszyscy znawcy Wschodu, najrozmaitszych narodowości, zaczawszy od prof. de Gubernatisa, wykładającego sanskryt i literaturę włoską, prezesa zebrań, pana Ascoli, glottologa, i wielu innych uczonych, jak E. Sénarta, wiceprezesa Tow. Azyatyckiego w Paryżu, L. Reinischa

z Wiednia, Opperta assyrologa, Guimeta, Vamberego z Pesztu, Radłowa z Petersburga, Rajmunda West z Londynu, Karabacka, Krumbachera i jeszcze innych, których tu wyliczyć niepodobna.

Włoch Sergi mówił o początkach pisma alfabetycznego. Evansowi — rzekł on, zawdzięczamy odkrycie pisma przedfenickiego, nad morzem Śródziemnem, ale jeszcze ważniejszym było odkrycie p. Piette'a, który w jaskini Mas d'Azil w południowo-zachodniej Francyi, znalazł znaki zupełnie identyczne z alfabetem fenickim. Letourneau odkrył znaki, podobne do alfabetu w dolmenach francuskich. Także i w Egipcie znalazły się z czasów okresu neolitycznego napisy z literami, odpowiadającemi znakom z Mas d'Azil z dolmenów, z Krety — literom fenickim, etruskim i greckim. W Alpach Liguryi i Szwajcaryi znaleziono nawet na skałach symbole rzeczy lub wypadków, które mogą być uważane za pierwsze próby pisma, podczas gdy w dolmenach trafia się pismo alfabetyczne, pomieszane z symbolicznem, jako resztki może okresu przejściowego.

Prof. Botti mówił o pomnikach Faraonów, pochodzących z Aleksandryi i z innych miejscowości dolnego Egiptu, a osobliwie z Abukiru, pytając się, czy daty historyczne tych monumentów nie mogą być postawione w związku z tem, co Homer i inni klasycy opowiadają o dolnym Egipcie. Pellegrini z Florencyi zwrócił uwagę sekeyi egiptologicznej na stokilkadziesiąt stożków pogrzebowych dynastyi XVIII do XXVI, istniejących w muzeum florenckiem, dlatego, że rzucają wiele światła na dzieje starożytności prywatnych u Egipcyan, bo podają nazwy, tytuły i urzędy najrozmaitszych osób, począwszy od niewolnika do księcia krwi, od gubernatora prowincyi aż do Faraona. O koronie z piór bożka Besy i bogini Anuket mówił prof. Hommel, wykazując jej pochodzenie arabskie. W istocie na rozmaitych zabytkach babilońskich, Arab walczący z lwem nosi koronę z piór; Besa jest bóstwem pochodzenia arabskiego i takim też musi być Anuket.

Co do papyrusów, jedna z więcej zajmujących wiadomości była podana przez prof. Celestyna Schiaparellego z rzymskiej wszechnicy, który w składach muzeum w Turynie znalazł około 10 tysięcy ułamków papyrusów hieratycznych, dotychczas niewydanych. Są tam urywki rozmaitych hymnów na cześć różnych Faraonów, księga zdań moralnych, antologii literackiej, kalendarze dni szczęśliwych i feralnych, dwie mapy: geologiczna i geograficzna, topograficzna karta kopalni, plany rozmaitych grobów, a przedewszystkiem serye papyrusów, odnoszących się do nekropoli w Tebach, wyjątkowej całkiem wartości.

O mumiach w starym i nowym świecie przemawiał prof. Grossi w sekcji amerykańskiej, a specjalnie o trzech ludach, niejako klasycznych w tym przedmiocie, tj. Egipcyanach, Kwaukach z wysp Kanaryjskich i starożytnych Peruwjańczykach, choć pomiędzy temi trzema ludami stosunków obopólnych nie było, tak, jak niemasz związku pomiędzy piramidami egipskimi, a wielkimi ołtarzyskami meksykańskimi. Zresztą, budowy piramidalne, uchodzące za właściwości Egiptu, odnajduje się także w Ameryce Środkowej i w Chaldei w Etyopii, na Jawie i nawet w Australii, jako dowód, że postęp w przemyśle i sztuce rozwijał się mniej więcej na takich samych prawach w odleglejszych epokach. Guimet z Paryża doniósł o znalezieniu egipskich przedmiotów w grobach rzymskich we Francyi, zwłaszcza w dolinie Rodanu. Z nich niektóre pochodzą z Egiptu, inne zostały zrobione w samej Gallii.

W sekcji „Wschód i Grecya“, rozprawiano o sztuce bizantyjskiej, o jej pomnikach i o archeologii Byzancyum, a przy tej sposobności także i o — narodach bałkańskich, zwłaszcza Rumunach i Albańczykach, jako pokrewnych pochodzeniem z ludami łacińskimi. I w Czarnogórze są rzymskie zabytki, tak jak w Rumuńskiej Dobrudży (po cesarzu Trajanie), w Albanii i w Bośni.

Profesor senator Tocilescu, dyrektor muzeum w Bukareszcie, miał wdzięczne zadanie, objaśniając w Rzymie rumuńskie pamiątki po Cezarach, topograficzne poszukiwania w starożytnej Dacyi i niższej Mezyi, zamków, dróg, miast, mostu, grobowca cesarza Trajana, gdzie znaleziono przeszło 800 napisów, posągów, płaskorzeźb i ulamków archeologicznych. Tocilescu mówił przedewszystkiem o Adam - Klisi. Miasteczko, założone przez Trajana, bohatera kolumny, uwieńczonej dziś posągiem Św. Piotra, starożytne municipium Tropaeum Trajani, zostało w większej części zbadane; odkopano cztery bazyliki, z których jedna z czasów tego Cezara przypomina Bazylikę Julię Forum Romanum; znaleziono wiele przedmiotów, napisów nawet, tak, że z pewną słuszością można miejscowość nazwać Pompejami Dobrudży, gdzie są jeszcze inne dwa zabytki, wzniesione na pamiątkę wypraw cesarza: pomnik tryumfalny i grobowiec, poświęcony pamięci poległych pretoryanów i legionistów.

O słupie archaicznym, znalezionym niedawno na Forum w Rzymie, o którym była także dyskusja, mówimy tutaj na innem miejscu.

Włochy posiadają smutny prymat, smutne pierwszeństwo w świecie, kosztujące je rocznie przeszło 15 tysięcy ludzi na dwa miliony wypadków, pierwszeństwo, które ubezwładnia tysiące rąk roboczych i poza tem daje tylko malowniczy, pełen nastroju, widok ogromnych pustek (razem około dwu milionów hektarów), ziemi bagnistej, niezdrowej, malarycznej, śmiertelnej zwłaszcza dla dzieci. Maremma Toskańska, bagna pontyńskie, wśród których leżą średniowieczne Pompeje, Nimfa, przynęcać mogą malarza, turystę, ale dla ludności miejscowej są przekleństwem, bo dają malaryę.

Przypomniały mi się one z powodu świeżej książki profesora uniwersytetu rzymskiego, Anioła Celli, dyrektora instytutu higieny, p. t. „Malarya według ostatnich badań“ (*La malaria secondo le nuove ricerche*), wydanej przez stowarzyszenie Dante Alighieri. We Włoszech, w ciągu kilku ostatnich lat, wzięto się gorączkowo, tak, jak się w tym przypadku należało, do badań nad zaniechaną dotąd gorączką błotną, zwłaszcza od chwili, kiedy jeden z niemieckich bakteriologów, dr. Koch, zaczął konno objeżdżać zarażone febrą malaryczną bagna tokańskie, aby potem ogłosić skutki swoich studyów. Stąd doktorzy rzymscy, aby się nie dać wyprzedzić, pośpieszyli z ogłoszeniem własnych badań.

Ze rozsądnikiem malaryi są komary, już dość dawno było wiadomem. Pomiędzy innymi, dzisiejszy minister oświaty, dr. Gwido Baccelli, zbadał przebieg biologiczny odnośnego pasorzyta, fazy kliniczne, przez jakie przechodzi powstawanie gorączki; on także wykazał, iż zaszczipiając zdrowemu krew chorego na malaryę, nietylko wywołuje się febrę, ale że gatunek febry jest ściśle ten sam, na jaki chorował osobnik, z którego krwi do wstrzyknięcia zaczerpnięto.

Powiedzieliśmy, iż choroba była nieco zaniechaną. Nie znaczy to jednak, aby już od czasów starożytnych nie starano się jej zwalczać. Faktycznie, w północnych Włoszech, w okolicach Rzymu, epidemia zmalała, tylko w miejscowościach bardzo mokrych nie straciła nic z zabójczych rozmiarów. W Lacyum, tj. w prowincyi rzymskiej, starożytni kopali podziemne kanały, aby osuszyć grunta; w samym Rzymie istniejąca dotąd „Cloaca massima“ odciągała zaskórne wody, skoro świątynie poświęcone Febrze nie były skutecznymi.

W książce swojej, ozdobionej wielu ładnymi rycinami, profesor A. Celli wykazuje przebieg choroby, zbierając to wszystko, co nauka dotąd wykryła w sprawie przemian pasorzytów malarycznych, bo że

przyczyną choroby jest pasorzyt, nie jest już tajemnicą. Zbadano mianowicie fazy, przez jakie przechodzą pasorzyty malaryczne u ptaków; sledzono je kiedy wchodzą do naczynek krwistych, aby je zniszczyć, i w drugim okresie ich żywota, kiedy się rozwijają w ciele komarów, za pośrednictwem których potem choroba zaszczepia się dalej, gdyż komar udziela stałej gościny pasorzytowi, podczas gdy ptak jest jego tylko chwilowym gospodarzem, daje mu mieszkanie jedynie w pierwszej fazie istnienia.

Pomiędzy zwierzętami ssąciami odnajduje się tych pasorzytów malaryi w wolach, w t. zw. Agro Romano, tj. w Kampanii rzymskiej, u owiec, a nawet także u nietoperzy.

Oprócz Bacellego, doktorowie Machiafana, Grassi, Bignami i Celli, zajmowali się specjalnie malaryą. Ani więc woda, tak bardzo i niesłusznie obmawiana jako powód choroby, ani powietrze, nie są tu szkodliwemi.

Dr. Bignami wpadł na pomysł, aby dla doświadczeń wystawiać ludzi zdrowych na ukąszenie komarów, zebranych w miejscach malarycznych, ale nie potrafił wywołać febry, gdyż używał gatunku komarów całkiem w tych razach nieszkodliwego. Dopiero Grassi wszedł na dobrą drogę: sprowadził pewien odrębny gatunek komara, zwanego *Anopheles*, i doszedł do tego, że wzbudził febrę malaryczną obu rodzajów: wiosenną i letnio-jesienną. Odrębny komar *Anopheles claviger* (*Anopheles* po grecku znaczy szkodliwy) posiada własność specjalną dopełniania okresu życiowego u pasorzyta, który w krwi ludzkiej nie może się rozwinąć, a tylko u tego komara dochodzi do dojrzałości, pozwalającej mu mnożyć się następnie.

Anopheles nie rodzi się jednak zarażonym, staje się nim dopiero po ukąszeniu człowieka, chorego na malaryę.

Po jakimś czasie, ukąsiwszy innego człowieka, zaszczepia dalej pasorzyta w formie rozwiniętej. Podobnie rzeczy się mają z tasiecem, w świni lub wole: soliter pozostaje zawsze larwą, dopiero wszedłszy do żołądka ludzkiego, przedzierzga się w ową białą długą taśmę, jaką znamy. Człowiek odgrywa więc rolę podobną do tego komara. Stwierdzono także, że istnieją dwa gatunki pasorzytów febrycznych: jeden wiosenny, mniej szkodliwy, drugi letni (i jesienny), każdy o symptomatach i cechach odmiennych, o których książka Cellego daje wiele szczegółów. Ów niebezpieczny komar ma ciemne mszyste plamki na skrzydłach, po nich się go poznaje.

Zapewne, że są jeszcze różne wątpliwości, to jednak jest pewnem: gdzie jest malaryja, tam są i te komary, i że zdrowy człowiek może żyć pomiędzy chorymi, byleby owych komarów nie było.

Ze wieczorem i w nocy malarya jest niebezpieczną, pochodzi stąd, że wtedy komary wylatują na żer. Jak powiedziałem, są jednak kwestye dotąd niewyjaśnione, np. dlaczego ten i ów mniej jest podatny dla choroby, dlaczego obok miejscowości zarażonych są okolice zdrowe? itd.

Chodziło-by więc przedewszystkiem o zniszczenie larw i nimf komarów, zanim dostaną skrzydeł, o obronę ludzi przed ukąszeniem itp. Bo skoro już stwierdzono przyczynę choroby, łatwiej jest myśleć o środkach zapobiegawczych. Chinina, arsenik, dezynfekują krew ludzką; prof. Celli próbował różnych sposobów, mianowicie roślin zabijających komary, jak tytoniu, złoceń, dymu, gazów, palil siarkę. Szukając lekarstwa w większym stylu, należało-by osuszyć bagniste okolice, gniazda komarów, i podnieść dobrobyt chłopu, robotnika, aby nie sypiał w gołym polu, w napół otwartych chałupach—wtedy i choroba zginie.

Nie mogę pominąć tutaj wydawnicwnictwa oryginalnego w swoim rodzaju, nawiązującego do tradycyi klasycznych, dwutygodnika „Vox urbis“, literackiego i politycznego, wychodzącego od niedawna w Rzymie, w języku Cyncerona. Pismo tego rodzaju, nie jest oczywiście przeznaczone dla ogółu; możliwe tylko w mieście, gdzie znajduje się sporo księży i filologów, wygląda raczej na zabawkę, skoro nawet inseraty są pisane po łacinie. Z okładki dowiadujemy się, że prenumeratę, artykuły i ogłoszenia, nadsyłać należy do redaktora pisma:

Cuneta mittantur ad Aristidem Leonori equitem, commentarii „Vox urbis“, possessorem et administratorem.

Pismo jest klerykalne, jak to widocznem jest z treści. W artykule programowym, zamieszczonym w jednym z ostatnich numerów, Redakcyja oświadcza, że wydawnictwo dowiodło, iż duch łaciński żyje jeszcze w Rzymie i nawet płynie pełnem łozyskiem (?), albowiem pismo rozchodzi się nietylko w krajach pokrewnych Rzymowi dziejami i mową, ale wogóle tam, gdzie religia Chrystusa panuje, ma więc niepłonną nadzieję większego jeszcze, na przyszłość, rozpowszechnienia.

Kto są owi czytelnicy „Vox urbis“? Biorąc klasyczne zeszyty do ręki, pozuje się mimowoli na filologa, profesora łaciny lub greckiego języka, przypominają się uczeni monsignorowie, zażywający tabaki, rozkoszujący się odczytywaniem starych klasyków, w staranych wydaniach z licznymi kommentarzami i przypiskami. Widocznie abonenci „Vox urbis“ nie zaniedbują tabaki, gdyż Redakcja, oprócz zaproszenia do prenumeraty (subnotatio) na rok 1900, obiecuje wylosować pomiędzy nich jako premium — złotą tabakierkę, której używał Pius IX; w razie zaś gdyby prenumeratorem sobie tego życzył, może otrzymać jej wartość w gotówce: Proszę słuchać:

Praeposita praemio fuit aurea theca pulveri nicotiano asservanda, qua S. S. Dominus Pius Papa IX utebatur, nna cum adjecto debito testimonio virorum, quibus jus erat testimonium de re perhibere...

Itaque nobis datum hanc thecam ab eo, qui sorte tulit, redimere. Agite socii; de theca ista sors inter vos judicabit, atque ille possidebit, cujus numerum urna dabit sacro Paschalis Resurrectionis.

Omawiając rzeczy bieżące, redaktorowie zmuszeni są używać różnych łamańców językowych, aby wybrnąć z trudnego zadania. Tak więc mówi się językiem Tacyty o „Telegraphi vexatores“ (szkodnikach linii telegraficznych) o wyprawie ks. Abruzzów do bieguna północnego i o newrozie, i o parlamentach (coetus legibus ferendis) o kongresie orientalistów, o „Transvaalianum bellum“ o Iberorum perturbationes (Zamieszki w Hiszpanii), Sinarum seditiones (o Chinach), Austriae tumultus; jest stała kronika literacka, watykańska, polityczna (p. t. Annales) i w końcu zamieszczone są inseraty, które mimowoli przypominają napisy, jakie znaleziono na murach Pompejów:

Philippus viti, eques, marmorarius (rzeźbiarz) affabre sculpsit quae sunt ad simulacra, altaria, sacella aediculas itd.

Widocznie, eques Aristides Leonori, redaktor i właściciel „Vocis“ czuje w sobie krew dawnych panów Rzymu! Ale ci ani tabaki, ani tabakierki nie znali!

„La Madonna“ prof. Adolfa Venturogo, estetyka i historyka sztuki, wydana kosztem firmy księgarskiej U. Hoepli, w Medyolanie, w szacie wykwiśniętej z kilkuset rycinami, daje nam historię wyobrażeń N. M. Panny, od najdawniejszych czasów, w mozaikach, terrakotach, rzeźbach, obrazach i miniaturach. W pięknej przedmowie autor powiada, że sztuka wyrosła nakształt koralu, który z małego narostu pod wodą przetwarza się powoli w skałę, w miarę jak przybywają nowe odnogi. To, co jest nowem w sztuce, nie jest nigdy niczem innem, jeno przeróbką starego. Tak przynajmniej rozumieli nowość dawniejsi, pracując w zgodzie nad sztuką narodową, na podstawie ciągłych tradycji i idei. Venturi zastosował zasady ewolucyi artystycznej, w szerszej zapewne mierze, niż to uczynili jego poprzednicy, gdyż nie tylko śledził rysunek obrazów Matki Boskiej, ale i stopniowanie ich piękności, wyłącznych prawie w sztuce włoskiej, od Katakumb Św. Pryscylli do kopuł katedralnych Odrodzenia. Najstarszem bowiem wyobrażeniem Matki Chrystusa jest fresk w katakumbach Św. Pryscylli, z końca I lub początku II wieku, opisany przez J. Chr. de Rossi (Rzym 1864 roku), w klasycznym jeszcze stylu, może dzieło pogańskiego malarza, a może neofity, który malował z polecenia pobożnego Chrześcianina.

Dzieło podzielone jest na rozdziały, według Życia N. M. Panny, poczynawszy od Narodzin, aż do Wniebowzięcia. Z najstarszych obrazów ważne także są: mozaika w Rawennie z wieku XII i fresk z katakumb SS. Piotra i Marcelina. O trzynaste wieki pierwej, zanim Rafael Sanzio przedstawił florencką Madonnę „della Sedia“, jako piękną karmicielkę, pełną macierzyńskiej miłości dla Boskiego Syna, malarz katakumb Pryscylli wymalował w podobny sposób matronę z nagiem chłopięciem, garnącym się do jej łona; w katakumbach SS. Piotra i Marcelina, N. M. Panna siedzi na katedrze, jako godna matrona, ale straciła słodki wyraz macierzyńskiego przywiązania.

Zajmującym jest rozdział, poświęcony mozaikom rzymskim, wyobrażającym Maryę Pannę, według idei artystycznych bizantyjskich, które—zwłaszcza te, jakie przypisywano ewangeliście Świętemu Łukaszkowi—nie urozmaiciły typu Matki Boskiej. Św. Augustyn twierdzi, że nie było prawdziwego portretu N. M. Panny, a Św. Ambroży, nie umiał jej inaczej opisać, jeno pełną cnót—fi g u r a m p r o b i t a —

t i s, ale w końcu IV i początku V stulecia utworzyło się na Wschodzie podanie, jakoby niektóre obrazy N. Maryi Panny, przechowywane w Jerozolimie, były jej prawdziwymi portretami, malowanemi nie ręką ludzką. Też obrazy później przypisywano Świętemu Łukaszowi, z potrzeby nadania im większej powagi, łącząc je z nazwiskiem historycznym ewangelisty. Po koncylium w Efezie (w roku 431), kiedy kościół zwyciężył herezję Nestoryusza i ogłosił N. Maryę Pannę matką Bożą, zaczęły mnożyć się jej wyobrażenia.

Madonny, zwane Św. Łukasza, przyjęły kształty sztuki greckorzymskiej, naśladowują typ jonicki, regularny i poważny, malowań i rzeźb pogańskich. Dalej przyszedł Giotto, rzeźbiarz Pisano i pojedyncze obrazy, jak na przykład Fra Barnaby z Modeny, znajdujący się w galerji Stödl'a we Frankfurcie nad Menem. Pomiędzy innymi znajdujemy w książce śliczną odbitkę terrakoty Łukasza della Robbia ze zbiorów książąt Lichtensteinów, w Wiedniu. Nietylko Giotto, ale i Fra Angelico, wreszcie Vinci i Rafael, Michał Anioł, Tycjan, Botticelli, Perugino, Lippi, Correggio, Carlo Dolci, wymalowali mnóstwo Madon. Rafael dał nasamprzód swoim umbryjskim Dziewicom urok niepokalanego wdzięku, od sztuki florenckiej zaczerpnął większej dojrzałości kobiecej, którą potem w Rzymie przekształcił na typ silny, idealizując kształty kobiet z Kampanii rzymskiej. Leonardo da Vinci porzucił typ, odziedziczony po swoich poprzednikach, nadając swoim Madonnom piękność razem miękką i majestatyczną, lombardzką.

Śledząc rozwój artystyczny Zwiastowania, Venturi uważa za ostatni i najdoskonalszy jej wyraz obraz Tycjana w katedrze w Treviso.

W całej książce oddycha się powietrzem czystym, pogodą, jaką rzucają powyższe obrazy, jak Madonna di San Sisto (drezdeńska) i Wniebowzięcie pędzla Tycjana (Wenecya). Venturi uchodzi za jednego z najlepszych znawców i krytyków sztuki. Przeczytawszy ją, chętniej idzie się do muzeum, aby się zatrzymać przed jednym z obrazów włoskich twórców ideału Najczystszej Dziewicy.

Każdy z nas, mniej więcej, marzył o podróży do Palestyny, do ojczyzny wiary Chrystusowej, do Świętego Grobu, do tej piątej księgi Ewangelii, jak ją nazwano. Dwoje podróżników włoskich, hr. A. de Gubernatis i neapolitańska nowellistka, współredaktorka gazety „Mattino“, wydali przed kilku miesiącami wspomnienia tej podróży: pierwszy p. t. „In terra Santa“, druga p. t. „Nel Paese di Gesù.“ Oboje autorowie pochodzą z kraju, który, położony bliżej Wschodu, daje łatwiejszą sposobność zwiedzania miejsc uświęconych stopą Chrystusa Pana, z kraju zarazem, do którego przewieziono z Ziemi Świętej (do Pizy) ziemię, aby mieć Campo Santo, cmentarz, z uświęconym prochem palestyńskim. Ale i od nas już od dawnych wieków przedostawali się pątnicy do Jerozolimy. Wreszcie niedawno jeden z włoskich podróżnych, którzy tam byli, przywiózł mi mały półgrostek litewski, z czasów króla Jana Kazimierza, znalezione niedaleko Grobu Chrystusowego.

Jakże odmienne dwie te książki? Hr. Aniol de Gubernatis, profesor sanskrytu i literatury włoskiej w uniwersytecie rzymskim, wyjechał na Konstantynopol do Bejrutu, zrobił wycieczkę na Liban, a z Jaffy pojechał koleją do Jeruzalem, potem przez Betleem, zwiedzając wszystko po drodze, podążył do Jordanu, Martwego Morza; wracając przez Emaus, wsiadł znowu na okręt w Bejrucie i zwiedził konno Galileę, Nazaret, aż do Damaszku.

Matylda Serao odpływa z Neapolu, zwiedza Kair, Piramidy, dojeżdża z Jaffy koleją do Jerozolimy, potem znów z Jaffy, morzem, wkracza do Galilei, aż ku Magdali.

A jakaż różnica w uczuciach! Gubernatis zajęty jest cały czas sobą, co najmniej tyle, ile celem podróży, nie zapomina popisywać się erudycją etnograficzną, filologiczną, historyczną, stosunkami własnymi, chłodno wszystko traktuje, choć dokładnie zbiera notatki, które w gabinecie swoim rozprowadzi na szereg rozpraw uczonych, wydaje wyroki z wielką pewnością siebie, która mu i w Rzymie przyjaciół nie jedna. Nie! to nie turysta dla Palestyny.

Porównywa siebie nawet do Chrystusa, bo, jak powiada „dźwiga krzyż na plecach swoich od lat wielu...“ Nie! to nie pątnik, ale niesympatyczny, dość uczony podróżnik! Kto jedzie do

Palestyny, winien jechać z pokorą, gorącym sercem, namaszczeniem... Życie Chrystusa autor traktuje krytycznie... Dość powiedzieć, że sobotwór Chrystusa Pana znalazł w mitologii indyjskiej, a w Najświętszej Maryi Pannie upatruje przeobrażenie syryjskiej Astarty! Cuda Zbawiciela tłumaczy jako retoryczne, źle zrozumiane, przenosiennie. Przesada racjonalistyczna jest tutaj doprowadzoną do ostateczności.

Więc daleko, bardzo daleko od nadętego profesora do nowelistki z nad niebieskiej zatoki. Pani Serao odbywa pielgrzymkę jak pokorna chrześcianka, żadna miłości, prawdy, światła, z sercem gorącym, w którym bije coś z uczuć Sw. Teresy, widzi kraje wkoło siebie i nad sobą ich grobową żalobę, i tak zwiedziła Jerozolimę, korząc się przed kamieniem Sw. Grobu i całując go we łzach; rozanieliła się przed Żlobem w Betleemie, szła śladami Chrystusa po dolinach Galilei, odżyła widzeniem tej ziemi błogosławionej, jej wspomnieniami, miejscami, przez które przeszła Boska Nauka. Uczuciom odpowiada też gorący, porywający styl.

„W chwili rozdarcia, kiedy mi serce pękało od pożegnania z tą ziemią, kiedy wieża Dawidowa niknęła w oddali, przysięgłam i zrobiłam ślub. Przysięgłam, że dla Jezusa, dla Jego wiary i kraju, błogosławionego i uświęconego życiem i śmiercią, napiszę książkę, nie najartystyczniejszą z moich, ale najwięcej ludzką, nie najpiękniejszą, ale najszczerzą, i przysięgłam, że napiszę ją z pokorą i nadzieją, jako Chrześcianka, dla pokornych i pełnych nadziei Chrześcian...“

Urok książki leży w tej głębokości uczucia, żywości opisów kraju i ludzi, bo Serao umie przelać w innych swoje wzruszenia. Dlatego niektóre rozdziały „W krainie Jezusa“, jak „korząc się“ (Adorando), albo „W nocy“ (Nella notte), przeżyte i pomyślane w „Świątyni Grobu Św.“, albo „Na jeziorze“, lub „Góra Szczęśliwości“ (Il monte delle Beatitudini), wspomnienie z Galilei, należą do najpiękniejszych, najszczytniejszych rzeczy, jakie o Ziemi Świętej napisano.

Jedna z tych fałszywych legend, jakie nieraz dzieje zapisały, a wykołysała literatura, upada znowu, wobec światła, jakie nam przynoszą wiarogodne społeczne dokumenty. Ginie poezya, nikt nie aureola męczeństwa, jakie otaczały nieszczęśliwą Beatrice Cenci, której domniemany portret (nb. fałszywy) w Galeryi ks. Barberinich pędzła Gwida Reniego (według mylnego podania), wyrobił słynnej Rzymiance niezasłużone sympatye i popularność. Profesor Diomedes Rodiani opracował i ogłosił w niewielkiej książeczce owoce najnowszych poszukiwań p. t. „La Storia vera di Beatrice Cenci“, a to z powodu 300 letniej rocznicy jej ścięcia (w d. 11 września 1599). „Prawdziwa historia Beatrice Cenci“ jest może mniej poetyczną, ale za to jeszcze smutniejszą, wobec zbrodni, z którą się łączy skandaliczna awantura rodzinna, nie ta jednak, jaką weszli rozmaici badacze, zakończona karą śmierci pod przęgierzem, ale równie żalсна.

Do rozpowszechnienia błędnych wyobrażeń o całym zajściu przyczynił się najwięcej Franciszek Dominik Guerazzi, kiedy w roku 1853 napisał, z tendencją wymierzoną przeciw papiestwu, romans historyczny, bardzo w swoim czasie czytany, p. t. „Beatrice Cenci“, opowiadanie z XVI wieku. Były przedtem mniejsze opowiadania, a później i inne opowieści, dramaty, te ostatnie opierają się na Guerazzim, przed którym Schelley i Słowacki zajmowali się tragiczną osobą Beatrice. Jednym z pierwszych wogóle, co o niej wspomniał, był w zeszłym wieku Muratori.

Guerazzeo zbijał nasamprzód Filip Scolari, potem Antoni Bertolotti, w dziele „Franciszek Cenci i jego rodzina“; ten ostatni znalazł społeczne dokumenty, których już nie mógł wcielić do wydanego w r. 1864, w Neapolu, późniejszego opracowania „Historji Beatrice Cenci“. Na tych świadectwach zbudował pracę swoją Rodiani.

Pomijamy kilka innych opracowań, bądź to skierowanych przeciw Papiieżowi Klemensowi VIII Aldobrandiniemu, bądź też broniących jego sławy i prawdy dziejowej, choć osobna wzmianka należała by się baronowi Aleksandrowi Hübnerowi, austriackiemu dyplomacie, za dzieło „Sykstus V“, gdzie jednak autor, nie krytycznie, powtarza błędy swych poprzedników.

Według zestawienia, jakie nam daje profesor Rodiani, rzeczy miały się nieco inaczej.

Ojciec Beatrice Cenci, Franciszek, patrycyusz rzymski, naturalny syn monsignora Krzysztofa Cenci i Beatrice Arias, legity-

owanym był przez swego rodzica. Muszę jednak objaśnić, iż tytuł monsignora nie oznaczał wtedy księdza, można było mieć go przy niższych tylko święceniach i chodzić w sukni kapłańskiej, tak, jak i dziś jeszcze można być kardynałem, a nie mieć wyższych święceń. Zarówno Franciszek Cenci, jak i prawie całe, liczne potomstwo, jakie miał z poślubioną w 14 roku życia, w r. 1563, Eryllą Santacroce, są widocznie newropatami, noszą przekleństwo chorobliwości, jak to zaraz zobaczymy.

Po śmierci żony, z którą miał dwanaścioro dzieci, Franciszek oddał się rozpuście i nie zaprzestał jej, pomimo, że się drugi raz ożenił z wdową Lukrecją Velli. Rozwiązłe życie i długi, w jakie popadł z powodu wielkich kar sądowych, zniewoliły go do wydalenia się z Rzymu, zamierzał więc wynieść się do innej prowincyi Włoch, pod Mantuę. Już wtedy był w wojnie z własnymi dziećmi, zwłaszcza kiedy z obawy, iż stracą ojcowiznę, poczyniły kroki, aby przeszkodzić ojcu w sprzedaży majoratu, i sprawę wygrały. Wtedy-to Franciszek Cenci wyprowadził się poza granice państwa papieskiego, do Rocca Petrella, w Abruzzach, własności Maryana Colonna, któremu się wtedy zwierzył, że własne dzieci godzą na jego życie.

Jakoż i wyjechał w r. 1597, zabierając z sobą żonę, a z siedmiorga dzieci, które wtedy żyły, synów: Bernarda i Pawła, oraz córkę, Beatrice. Reszta pozostała w Rzymie, pomiędzy niemi najstarszy syn, Jakób, najwięcej z ojcem pokłócony i wydziedziczony, ten, który zdaje się samoskarżał go o kazirodztwo i pono próbował otruć i zaszytletować. Na wyrodnego syna wygląda. Drugi syn, Krzysztof, karany za gwałty, bójkę, obelgi, zabity później na ulicy w jakiejś brudnej zwadzie, kiedy gonił za ładną Transteweranką. Nie lepszym, a może nawet jeszcze smutniejszym obrazem, był trzeci syn, Roch, także zabity w bóje.

Bernard był ulubieniem ojca, ale i on nie był wolnym od dzieciznych nałogów; najmłodszy zaś, Paweł, chorowity, wmieszany do słynnej zbrodni, dlatego tylko uniknął ręki kata, że umarł na kilka tygodni przed wyrokiem, w więzieniu.

Co do córek — pomijamy inne, aby zająć się Beatrycą. Kiedy jej ojciec został zamordowany, miała dwudziesty drugi rok, chyba więc nie była tym aniołem piękności, gdy pomimo posagu, w przejrzałym już, jak na ówczesne stosunki, wieku, męża nie znalazła. Że nie była niewinną gołębicą, za jaką ją podawano, wykaże się jasno.

W r. 1597 widzimy zatem Franciszka Cenci w Rocca Petrella; tutaj żelazną ręką powstrzymywał wybuchy dzieci, tak, że pożycie rodzinne musiało być poprostu straszne. Zarządzał Petrellą niejaki Olimpiusz Calvetti, niejednokrotny świadek srogości Franciszka wzglę-

dem żony i dzieci, który nawet pomógł Bernardowi i Pawłowi do ucieczki do Rzymu. Tego dokładnie nie wiemy, jak w obu kobietach powstała myśl zgładzenia męża i ojca. Wiadomem jest tylko, że Calvetti, człowiek żonaty, zawiązał stosunek z Beatrice, skutkiem czego Franciszek Cenci wyrobił oddalenie go, a kobiety zamknął w pokojach, co nie przeszkodziło jednak, że Beatrice i Calvetti widywali się potajemnie; wtedy, zdaje się razem z pozostałym w Rzymie najstarszym synem, uknuto plan uśmiercenia starego, zwłaszcza, że Beatrice czuła się być matką. Ona to popchnęła Calvettego do zbrodni, tak, że przybrał sobie niejakiego Marka Catalano, jako współnika, ona poprowadziła morderców, wskazała im pokój, gdzie spał ojciec. Cenci padł nieżywy pod uderzeniem młotka, dostarczonego przez własną córkę, z wiadomością żony, Lukrecyi.

Ubrawszy trupa, mordercy zrzucili go z okna zamku w przepaść, aby nasunąć pozór, jakoby przypadkiem tam wleciał. Działo się to dnia 10 września 1598 roku.

Przez czas jakiś w Rzymie samym nie słychać było o podejrzeniach, ale w Rocca Petrella zaczęły niezwłocznie krążyć wieści, jakoby stary Cenci zginął śmiercią nienaturalną. Zjawilo się w końcu tajne doniesienie i w styczniu 1599 r. mordercy i spółnicy ich byli w ręku sprawiedliwości.

Umarł niebawem Paweł Cenci, Olimpiusz Calvetti został zabity, zdaje się przez nasłanych zbirów, aby nie poczynił zeznań, drugi morderca umarł w więzieniu, przyznawszy się do wszystkiego i opowiedziawszy cały przebieg zbrodni.

Papież Klemens VIII Aldobrandini, po przeprowadzeniu procesu, podpisał tedy wyrok śmierci na wszystkich żyjących uczestników morderstwa. Jedenastego września (tj. w rok po zabójstwie) na placyku przed mostem Św. Aniola kat spełnił swoje zadanie. Jakób Cenci został zabity uderzeniem pałki w głowę, Lukrecyę ścięto, zaś Beatrice oddała ostatnią głowę pod miecz. Dziwić się zresztą nie można, że widok tych strasznych kar poruszył aż do litości tłumy, przyglądające się wykonaniu wyroku, atoli, trzeba wiedzieć, że nikt wtedy nie znał dokładnie prawdy, a Beatrice głośno żałowała za swoje grzechy.

Że Beatrice miała dziecko z Calvettem, wypływa z jej testamentu, wtedy i długo potem jeszcze nieznanego, gdzie w tajemniczych słowach zapisuje „na pewien cel“ 300 skudów, a potem w tajnym kodycyli, już w więzieniu, większą jeszcze kwotę. Z pieniędzy, jakie dziedziczyła, odkłada na specjalny cel 1000 skudów, z tych 500 dla niejakiej Katarzyny de Sanctis, aby wychowywała małe ubogie dziecko, swego pupilla. Było to widocznie dziecko Beatrice, o któ-

rem oprócz trzech kobiet zajmujących się jego wychowaniem, nikt nie wiedział. Wypływało-by stąd, że Beatryce porodziła je w ciągu przerwy pomiędzy 10 września a styczniem, kiedy została uwięziona.

Gdyby ta mała sierota była owocem kazirodztwa między nią a ojcem, jak wielu sądziło, Beatryce była-by tę okoliczność z pewnością wyjawiała na swoje uniewinnienie. Przytem agent księcia Modeny sam odnośnie wyznanie słyszał w więzieniu z ust rzymskiej patrycyszki. W sekretnym kodycylu skazana wyraża życzenie, aby mały pupilek, dopiero w 20 roku życia dowiedział się o swoim pochodzeniu. Co się z nim stało, nie wiadomo.

Ze znanych dotąd dokumentów nie wypływa wcale, aby Franciszek Cenci dopuścił się kazirodczego gwałtu; przecieź adwokaci obrony w procesie nie o tem nie wspominają, a byli-by argument wyzyskali, gdyby było możliwem.

Dobra Cencich zostały skonfiskowane przez Papieża, według przepisu prawa, tylko, że majątki były obdłużone, więc wierzyciele domagali się likwidacyi. Prawdą jest, że bratanek Klemensa VIII, Jan Aldobrandini, kupił dobra Torre Nova na subhaście, ale stąd nie wypływa jeszcze, aby rodzina papieska, jak niektórzy twierdzą, zrabowała familię. O te resztki fortuny pozostali procesowali się jeszcze między sobą.

Niestety, dotąd nie udało się odnaleźć aktów procesu, o którym wiadomo, że się składał z czterech tysięcy kartek. Posiadala je podobno rodzina markizów Sampierich, spadkobierczyni Cencich, są o nich głuche wieści, ale nie wiadomo gdzie się znajdują i czy wogóle się dochowały. Cytowany Bertelotti znalazł pomiędzy innemi w Miscellancach Biblioteki Watykanu rękopis, zawierający niektóre akta i z tych Rodiani nowych szczegółów zaczerpnął. On także znalazł testament Beatrice i to razem z sekretnym kodycylem, w Archiwum Państwowem w Rzymie.

Klemens VIII Aldobrandini jest tym Papieżem, który kościół Św. Stanisława, w ulicy Botteghe oscure, w r. 1593, oddał Polakom, skutkiem czego potem kardynałowie Hozuysz i Radziwiłł, z pomocą funduszów po Annie Jagiellonce i Stefanie Batorym ufundowali przy kościele hospicyum dla pielgrzymów Polaków. Wspominam o tem dla tego, że, jak slysze, dni tego budynku—hospicyum, są policzone, gdyż ma być sprzedane z wolnej ręki.

Ruchliwy minister oświaty, dr G. Bacelli, o którym mam sposobność mówić tutaj niejednokrotnie, wniósł w Izbie Włoskiej projekt prawa, dotyczącego nabywania przez państwo galeryi obrazów i rzeźb książąt Borghese, bez pałacyku i bez parku, znanego pod nazwą willi Borghese. Układ przyszedł do skutku i tylko izba i senat będą musiały przyjąć go i zatwierdzić. Ze się to stanie bez trudności, niema wątpliwości, gdyż państwo zrobiło świetny interes, płacąc za najpiękniejszą prywatną galeryę, jaka wogóle jest, 3 miliony 600 tysięcy lirów, w dziesięciu ratach rocznych, bezprocentowych.

Że rząd włoski zakończył w ten sposób sprawę, ciągnącą się od lat dziesięciu, wychodzi mu na chwałę. Ks. Paweł Borghese (żonaty z księżniczką Apponyi), wyniósłszy się z Rzymu do własnej willi pod Pizą i zostawiwszy majątek obciążony, skutkiem bardzo niefortunnych spekulacji, długami, wynoszącymi około trzydziestu milionów, sprzedał historyczny, rodzinny pałac, najstarszemu synowi, żonatemu z księżniczką Ferrari-Galliera, galeryi zaś, obciążonej serwitutami na rzecz miasta i hipoteką fideikomisową, nie mógł zbyć nikomu innemu, tylko władzy rządowej. Rząd włoski nie mógł sobie życzyć rozproszenia tych zbiorów, boć galerye są skarbem Włoch; one-to przyciągają turystów; nawet Anglicy i Amerykanie, którzy przyjeżdżają tutaj i wpatrzeni w piękne słońce włoskie, rozmyślają nad tem, czyby się nie dało przerobić jego promieni na świece stearynowe, idą zwiedzać galerye i choćby tylko dla sprawdzenia, że przewodnik — Bedäcker, jest sumienny.

Była-by więc chwila, aby skreślić dzieje słynnej galeryi, przechodzącej na własność publiczną, obok galeryi Corsini i kapitollińskiej. W 1833, książę Franciszek Borghese, aby uwiecznić świetność rodu i „przyczynić się o ile możności do chwały ojczyzny“, postanowił podciągnąć pod masę majoracką galeryę obrazów, zawieszonych w jego pałacu i w Kasynie parku, położonego za wzgórzem Pincio, i w tej myśli zwrócił się z formalnem podaniem do kardynała Kamerlenga. Pomiędzy artykułami, regulującymi statut fideikomisu, szlachetny właściciel, przekazując go w dziedzictwie każdorazowemu najstarszemu synowi, spisał wykaz dzieł sztuki, jakie w swoim mniemaniu uważał za najznakomitsze, tj. „Zdjęcie z krzyża“ Rafaela, „Polowanie Dyany“ Domenichina, „Danae“ Correggia, i ustanowił do tego karę, jaką-by, ten z jego potomków zapłacić musiał, który-by jeden z tych obrazów w przyszłości sprzedał. Wysokość kary odstraszyć

musiała każdego, gdyż wynosiła 100 tysięcy skudów (tj. pięćkroćsto-tysięcy lirów od każdego obrazu).

Rząd włoski zniósł w roku 1871 wszystkie majoraty, utrzymał tylko ograniczenia fideikomisowe na zbiorach sztuki, bibliotekach i dotąd obostrzenia te zostały.

Wartość galeryi Borghese zmieniła się zapewne w ostatnich latach, razem z nowszemi ocenami krytyków sztuki, bo zresztą od tego czasu zmian w niej nie było, z wyjątkiem usunięcia t. zw. portretu Cezara Borgii, przypisywanego mylnie Rafaelowi. Co prawda, na to miejsce ostatni właściciel galeryi wstawił cztery obrazy: Lorenza di Credi, Francii, Lorenza Lotto i Fiorenza di Lorenzo. Podstawienie, dokonane przed ośmiu laty, dało powód do hałaśliwych dyskusyj i to, zdaje się, niezasłużenie. Jeśli przedmiot i domniemane ojcostwo obrazu miały niewątpliwie siłę przyciągającą dla turystów, niemniej jednak krytyka była całkiem innego zdania. Jej wyrok brzmiał: ani portret Borgii, ani pędzel Rafaela, ale co najwyżej malarza Bronzina. Wobec statutu rodzinnego, wolno było właścicielowi zrobić zamianę i rząd uznał ją za korzystną, gdyż cztery wymienione wyżej obrazy przedstawiały większą artystyczną wartość.

Co jest charakterycznym, to zmiana w ocenie niektórych obrazów galeryi. Czyż się mógł w r. 1833 spodziewać ks. Franciszek Borghese, gdy układał spis płócien, dla których domagał się grozy kary stutysięcy skudów, że pomiędzy innemi dziełami, znajdzie się takie, za które-by ofarowano kiedyś cenę większą, niż razem wzięte kary za trzy najlepsze jego zdaniem płótna: Rafaela, Correggia, Domenichina? Cena ich nie spadła, ale płótno Domenichina „Polowanie Dyany,“ w swoim czasie uznane za pierwsze arcydzieło epoki, zabrane gwałtem (jak mówi podanie) z pracowni malarza przez kardynała Scypiona Borghesego, zbladło wobec młodzieńczego obrazu Tycjana „Miłość święta i świecka“, prawdziwej perły galeryi, za którą, jak mówią, p. Bode, dyrektor berlińskiej Pinakoteki, przed kilku laty ofiarował dwa miliony lirów!

Z prywatnych galeryi zostaje się więc tylko: zbiór ks. Barbarinich i ks. Doria Pamfili, oraz muzeum rzeźb ks. Torlonii, ukryte przed okiem ciekawych, na Zatybrzu.

Wyprawa naukowa rzymska Akademii umiejętności Krakowskiej opracowuje już czwarty rok materiały średniowieczne, znajdujące się w archiwum watykańskim. Jak wielkie tam spoczywają zasoby materiałów historycznych, bogatych treścią i nowością, niekniętych ręką badacza, niewydanych przez O. A. Theinera w jego „*Monumenta Poloniae et Lithuaniae*“, poucza ciekawe sprawozdanie z poszukiwań ekspedycyi, wydane niedawno przez profesora Władysława Abrahama, dziś rektora lwowskiej wszechnicy.

Archiwum watykańskie obejmuje, prócz dokumentów i aktów oryginalnych, przedewszystkiem różnego rodzaju Regesta, których istotę chcę tutaj wytłómaczyć ze względu, iż o nich coraz częściej się słyszy. Kancelarya papieska w początkach wieków średnich przejęła ustrój, urządzenia i formy kancelaryi cesarzy rzymskiego Imperyum. Z kancelaryi cesarskiej przeszedł też do papieskiej zwyczaj tworzenia Regestów. Regesta były to księgi, do których zapisywano treść każdego aktu, wystawionego przez rzymskich biskupów. Ponieważ interesa papiestwa obejmowały cały świat chrześcijański, a nawet nieraz dalej sięgały, ponieważ nadto tysiące spraw, bądź to kościelnej, bądź politycznej natury, krzyżowało się w Rossyi, przeto łatwo zrozumieć, ile ciekawych nad wszelki wyraz materiałów musiało zachować się właśnie w Regestach, które, jako księgi, trudniej ulegały zniszczeniu, niż same dokumenta, rozproszone po świecie.

Jednak i z Regestów rzymskich najstarsze zaginęły. Mamy naprzykład wiadomości o istnieniu papieskich regestów z czasów papieży Sozima i Celestyna I, a zatem z początków V-ego wieku. Jeszcze w IX wieku znajduje się w archiwum (Lateranu) czternaście tomów Regestów papieża Grzegorza I (rok 590—604), spisanych na papirusie. Z tych pozostały tylko późniejsze wyciągi, wogóle tylko ułamki. Pomiędzy innemi, dochował się tom Regestów papieża Grzegorza Wielkiego z XI-ego stulecia, o tyle nas obchodzący, że w nim znajduje się list tegoż papieża do Bolesława Śmiałego, rzucający ciekawe światło na stosunki polskiego kościoła.

Główne masy zachowanych do dnia dzisiejszego Regestów zaczynają się od Innocentego III, to jest od roku 1198. Obecnie dzielą się te Regesta archiwalne na kilka działów, a mianowicie: na Rege-

sty watykańskie, awiniońskie, lateraneńskie, suplik, brewów i skarbowe.

Tak zwane watykańskie składają się z 2019 tomów i stanowią podstawę archiwum papieskiego. Awiniońskie powstały, oczywiście, w czasie pobytu Papieży we Francyi — jest ich obecnie 347 tomów, które prawie do końca XVIII-ego wieku zostawały w Awinionie i dopiero w roku 1784 do Watykanu były przeniesione.

Regesta lateraneńskie, obejmujące epokę od r. 1389, tj. od Bonifacego IX, do Piusa V, złożone 3,200 tomów, spoczywały do niedawna w pałacu lateraneńskim (najstarszej rezydencji Papieży) i przed niewielu dopiero laty włączono je do archiwum Watykanu.

Regesta suplik, do niedawna prawie nieznanne, powstały z próśb, wnoszonych do Stolicy Apostolskiej; po załatwieniu prośby wpisywano do ksiąg jej treść i odpowiedź, dając nam tem samem dzisiaj sposobność powzięcia mnóstwa ciekawych zapisków biograficznych o osobach, dotąd znanych tylko z imienia.

Zaczynają się one od Klemensa VI, od r. 1342, a sięgają do najnowszych czasów, aż do Grzegorza XVI, i obejmują 7,300 tomów. Wreszcie, akta skarbowe, obejmujące spisy dochodów i rozchodów kuryi, opłaty annuat, dziesięcin, Świętopietrza itd., dostarczają cennych wiadomości do naszych średniowiecznych stosunków.

W ten sposób znaleziono w r. z. spis wszystkich kościołów miejskich i wiejskich, w ogromnej wtedy diecezyi krakowskiej, obejmującej połowę dzisiejszej Galicyi i Królestwa Polskiego, z r. 1304.

Z takich materyałów składa się archiwum watykańskie, a ile ciekawych i cennych rzeczy wyszło na światło dzienne, wykazuje nie tylko sprawozdanie d-ra Władysława Abrahama, ale okaże przedewszystkiem zamierzone przez Akademię umiejętności wielkie wydawnictwo.

Będzie ono nową, niewyczerpaną skarbnicą dla naszych uczonych, którzy zyskają nader szeroką podstawę do badań nie tyle może nad dziejami historycznymi Polski, ile nad historią ustroju społeczeństwa i gospodarstwa krajowego, zwłaszcza w XIV-ym i XV-ym wieku.

Ks. Ludwik Amadeusz Sabaudzki, noszący tytuł ks. Abruzzów, żegluje obecnie, nb. jeśli mu lodowce pozwalają, pod Biegun północny. Z trzech synów, których pozostawił ks. Amadeusz, b. król hiszpański, z pierwszej żony, hrabianki della Cisterna, tj. ks. Aosty, żonatego z ks. Heleną Orleańską, hrabiego Turynu i ks. Abruzzów, ten ostatni jest najinteligentniejszym i przytem zapalonym podróżnikiem.

Świeżo teraz wyszła książka d-ra Filipa Filippi, uczestnika wyprawy „Le spedizione di S. Alt. Reale il Principe Luigi Amedeo di Savoia, Duca dei Abruzzi, al monte di S. Elia“, w Medyolanie, u Hoepflego. Wycieczki górskie są mniej więcej do siebie podobne, ale wyprawa, na górę Św. Eliasza na Alasce wyróżnia się bardzo z powodu nadzwyczajnych trudności, napotkanych w okolicy niemal biegunowej, i dla wspaniałych zjawisk, jakie zauważono. Dość powiedzieć, iż potrzeba było trzydzieści osiem dni, aby się wdrapać na szczyt góry, gdzie księżę zatknął chorągiew włoską, i że śmiali podróżnicy przeszli dwieście kilometrów po lodowcach.

Wydawnictwo, jak wszystkie książki podróżnicze, opatrzone jest w sto kilkadziesiąt rycin i map. Księżę Abruzzów, który sam był nakładcą, miał szlachetną myśl oddania całego zysku z sprzedaży książki na rzecz przewodników alpejskich, gdyż z nich wybiera sobie stałych towarzyszy podróży, jako dzielnych, nieustraszonych junaków.

Nawet w obecnej podróży, pod Biegun, zabrał ich kilku z sobą. Nie wątpię, że jednym z owoców dzisiejszej wyprawy będzie wspaniałe wydawnictwo, szersze nawet zakreślające widnokreśgi, niż podróż do Alaszki.

Turyści archeologowie jeszcze nie wyczerpali dyskusji z powodu odkrycia słupa ze starym archaicznym napisem, pod brukiem Forum Romanum, i Bóg wie, jak długo sprzeczać się będą, bo w gruncie rzeczy nikt go dotąd nie odczytał, jeno są hipotezy, oparte na słowach, które się wydały jako tako zrozumiałemi. Więc słup jest ciągle aktualnością.

Po pożarach, jakie kilka razy Rzym trażyły w ostatnich wiekach Rzeczypospolitej, pozostały u autorów klasycznych tylko zapiski, wzmianki o rozmaitych zniszczonych pomnikach, z podaniem miejsca, gdzie były ustawione.

Miała być na Forum bronzowa Quadryga, poczwórny zaprząg, poświęcony przez Romulusa, po jednym ze zwycięstw, z napisem greckim (?). Niedaleko stał posąg Horacyusza Koklesa, dalej czerniał *Lapis niger* (czarny bruk), obok dwóch lwów kamiennych itd. Jedni mówili, że tutaj Romulus został pochowany, drudzy, może lepiej obeznani z tradycją, odnosili bruk i lwy do jego wychowawcy, Faustulusa. Istniała jeszcze jedna wersja, nawiązująca grobowiec do pobliskiej Kuryi Hostyllinsza. Przy Kuryi miały stać posągi króla Porsenny i Acyusza Nazusa, świątynia dwugłowego Janusa, posąg Wenery kłocacznej (!) i tutaj było owo bagno Kurcyusza, do którego Marcus Curtius wskoczył w r. 362 przed Chrystusem.

Jaką wartość mają te wskazówki? Nikt się do nich nie zapalał, bo nie było widoków, aby ich ślady wróciły na światło dzienne. Teraz jednak, kiedy się dokopano poziomowi pierwotnego Rzymu, sprawa przyszła na porządek dzienny.

Naprzykład, co do tego słupa z napisem, o którym już wspominałem poprzednio, nie została ustalona, ani jego dola, ani przeznaczenie. Przedewszystkiem jest uszkodzonym, następnie napis biegnący od spodu ku górze, potem znowu na dół, ryty w peperynie, głęboko, ale nieudolnie, od prawej ręki na lewą, potem od lewej na prawą, jest archaicznym, więc, gdy jeden z archeologów tłumaczy go jako nakaz zabijania ofiarnych zwierząt w pewne dni miesiąca, drugi dowodzi, iż chodzi tu o zakaz bezczeszczenia świętego miejsca i o uregulowanie przejazdu wozów i przepędzania bydła.

Jako jedno z kryteriów, mających służyć do określenia epoki postawienia słupa, nadaje się spostrzeżenie, że w długości i szerokości obrobione glazy kamienne, służące za podstawy do (domniemanych) lwów, otaczające nasz słup, wykazują miarę stopy t. zw. attyckiej, która jest miarą późniejszą od większej, pierwotnie używanej w Lacjum. Wprawdzie Rzymianie nie przyjęli systemu monetarnego attyckiego przed trzecim wiekiem przed Chrystusem, ale miary mogli mieć pierwiej, i to nie z Grecji wprost, ale od Greków sycylijskich, już w wieku V przed naszą erą. Metrologia klasyczna może w niektórych razach dać poważne wskazówki. Zdaje się więc, że do tego, piątego, wieku przed Chr., odnieść należy najstarszy zabytek języka łacińskiego, a rozbitcie słupa—do napadu Gallów i spalenia Rzymu.

Poszukiwania na Forum trwają dalej. Znaleziono w drugiej stronie pod Palatynem koło łuku Tytusa piękne posadzki, odkopano

część mieszkań Westalek, odkryto posąg jednej z ich księż z wyrzeźbieniem nazwiskiem, według wszelkiego prawdopodobieństwa dlatego, że przeszła na chrześcijańską wiarę i skazana była na *damnatio memoriae*, i dobyto nawet mały skarb złotych monet bizantyjskich z IV i V wieku po Chrystusie.

Kto wie, jakich pamiątek jeszcze się dokopią? Wszakże rozkopanie Palatynm przyniosło najpiękniejsze owoce.

ADAM DAROWSKI.

Wyraz twarzy i mowa oczu.

Któż z nas nie wie, jak potężną bywa mowa twarzy i oczu? Jedno spojrzenie, jeden ruch lica u innej osoby stanowi nieraz o największem szczęściu naszym, lub o ciosie, który łamie nam całe życie. Błagający o ratunek, lub przebaczenie, spogląda z niepokojem na twarz tego, ku któremu wznosi swe dłonie, a jedno skinienie głowy, jedno drgnienie ust, jedno spojrzenie oczu, daje proszącemu prędszą i pewniejszą odpowiedź, aniżeli przemówienie.

Gdy z niepokojem serca wyznajemy cichą miłość ukochanej osobie, spojrzenie nasze i wyraz twarzy przemawia potężniej, niż potok słów najgorętszych. Spotkanie się dwóch spojrzeń bywa nieraz wyznaniem ujętszej miłości.

Matka, czuwająca przy łożu drogiego dziecka, złożonego ciężką chorobą, spogląda z niepokojem na twarz lekarza, przyjaciela domu, i odczytuje na niej często całą grozę położenia.

Gdy kogo znamy, czytamy w jego licach i oczach, jak w księdze otwartej: ból, rozpacz, zwątpienie, zakłopotanie, bojaźń, przestrasz, pogarda, radość, szczęście, rozkosz — wszystkie te stany duszy odzwierciedlają się zazwyczaj bardzo wyraźnie na twarzy i w oczach blizkich nam osób. „Poznaję po twojej twarzy,—mówi kochająca matka do dziecka swego — że cię spotkało coś nieprzyjemnego, że masz jakieś zmartwienie, widzę po twoich oczach, że ci coś dolega, że cierpisz“. Jakże często słyszymy podobne zwroty!

W wyrazie twarzy i spojrzeniu oczu ludzkich tkwić może moc anielska, lub potęga szatańska, czar niebiański, lub siła piekieł! Gdy słyszymy wielkiego mówcę, przemawiającego do tłumów, widzimy snopy iskier, tryskające z jego oczu, a w rysach jego twarzy odbija się, jak w zwierciadle, każda myśl jego, przejawia się w nich natchnienie i potęga jego ducha. Nie dziw też, że zupełnie inaczej odczuwamy słowa mówcy, gdy spoglądamy z uwagą na jego oblicze wówczas, gdy do nas przemawia. To też można być wymownym, jak Demostenes, Cycero lub Skarga, można rozporządzać niezwykłym bogactwem języka, a jednak to wszystko nie da się często porównać ze zwycięską i potężną mową lica, z przesywającą siłą spojrzenia.

Twarz i oczy nasze wyrażają jednak nietylko chwilowy nastrój duszy. Mówimy przecież, że „dobroć i łagodność leży komuś stale na twarzy“, że ktoś „ma słodkie oczy“, mówimy o „intelligentnym wyrazie twarzy“, o „mądrych, przenikliwych oczach“, o „chytrem spojrzeniu“, o „brutalnym wyrazie“, o „głupiej, lalkowatej, bezmyślnej twarzy“, o „twarzy, wzbudzającej zaufanie, cześć i szacunek“, lub o „niebudzącej najmniejszego zaufania“. A jakkolwiek często mylą nas pozory, jakkolwiek za surową i odstręczającą w pierwszej chwili twarzą może się kryć dusza szlachetna i serce podniosłe, jakkolwiek pod osłoną myślącego pozornie oblicza kryć się mogą nieraz mierne zdolności i ciasne, małe poglądy; to jednak o wiele częściej te cechy zewnętrzne nie są mylne, a wyraz twarzy i mowa oczu są wówczas w znacznej mierze odzwierciedleniem umysłu i serca.

Spytajmy teraz, czy nauka jest dziś w stanie, jeśli nie zupełnie, to przynajmniej w części, wytłómaczyć ten dziwny związek? Czy jest jakaś racja fizyologiczna owej zależności, i czy pod tym względem, jak i pod wielu innemi, nie panują pośród naszego ogółu poglądy mylne, ściślej podstawy naukowej nie mające?

Z góry musimy zaznaczyć, że kwestya ta, pomimo, iż zajmowało się nią dość wielu uczonych, jak Piderit, Gratiolet, Jan Müller, Karol Darwin, Duchenne, Spencer, Wundt, Magnus i inni, nie jest jeszcze dotąd w zadawalający sposób rozwiązana, i wymaga wielu dalszych spostrzeżeń i doświadczeń. Nie mniej przeto pod niektórymi względami nauka rozjaśniła już wiele stron owego dziwnego związku pomiędzy mimiką twarzy i wyrazem oczu z jednej, a wewnętrznemi stanami duszy z drugiej strony. Zanim jednak rozpatrzymy dzisiejsze zapatrywania na tę kwestyę, poświęcimy kilka słów niektórym poglądom dawniejszych uczonych, związanym z tem pytaniem.

Otóż nad mimiką fizyognomii zastanawiano się w starożytności, a między innemi zapytywano, która część twarzy odgrywa najważniejszą rolę w wyrazie uczuć. Ponieważ oczy są najpiękniejszymi organami twarzy i nadają jej najwięcej życia, uznano je za najwierniejsze zwierciadło duszy. „*Prefecto in oculis animus habitat —* mówi Pliniusz. — *Ardent, intenduntur, humectant, comivent. Hos cum osculamur, animum ipsum attingere videmur*“. (Dusza mieszka z pewnością w oczach. One błyszczą się, ruszają, łzawią i migają. Gdy je całujemy, zdaje nam się, iż dotykamy się samej duszy).

Pomijając wielu bardzo autorów, którzy pisali o fizygnomii ludzkiej, zwrócimy uwagę tylko na słynne dzieło Jana Kaspra Lavatera, wydane w roku 1807, pod tytułem: „*L'Art de connaître les hommes*“, a rozszerzone następnie przez Moreau w roku 1820. Składało się ono aż z dziesięciu tomów i zawierało setki portretów i sylwetek wielkich ludzi.

Ogromne to dzieło przypominało swoją treścią senniki egipskie, książki o duchach i o przepowiadaniu przyszłości z gwiazd; jest ono pełne bredni i wywodów, nie opartych na żadnych podstawach naukowych, a tysiączne frazesy górnolotne, bez związku obok siebie umieszczone, nadają jakieś szczególne, mistyczne piętno całemu temu dziełu. Pomimo to, a raczej właśnie dlatego, iż takim było, zwróciło ono na siebie uwagę całego ówczesnego wykształconego ogółu, który zwykł się był lubować przeważnie w lekturze niezrozumiałej i mistycznej.

w stylu, pełnym allegoryi, przenośni i patosu. Lavater był między innymi zwolennikiem tak zwanej emanacyi, to jest wyobrażał sobie, że z oczu ludzkich promienieje jakaś materya duchowa, jakiś fluid tajemniczy, który, przenikając do oczu innych ludzi, oddziaływa na ich duszę — przypuszczenie, niemające żadnej podstawy i najzupełniej błędne. Teorią tą tłómaczono bezpośredni wpływ przesywającego spojrzenia, potęgę oka, oddziaływanie przez wzrok jednych ludzi na drugich. Fakt, że oczy wielu zwierząt świecą w ciemności, miał służyć za ważne potwierdzenie teorii emanacyi, bo u tych zwierząt, jak sądzono, ognisty fluid wypływa z oczu, a więc i u ludzi należy przyjąć, mówiono, promieniowanie duchowego fluidu, a zbytecznym jest chyba dodawać, że całe to rozumowanie nie wytrzymuje najmniejszej krytyki.

Dzieło Lavatera wywarło na współczesnych ogromne wrażenie; zdawało się, że nastąpiła nowa era w stosunkach społecznych! Bo skoro z twarzy i oczu można, na podstawie pewnych rzekomo prawideł, wyczytać dokładnie, co kryje się w duszy, stosunki pomiędzy ludźmi muszą być inne, niż dotąd. Zniknie, przypuszczano, obluda, niemożliwe będą pomyłki przy sądzeniu charakterów i zdolności ludzkich. „O wy, książęta, — woła patetycznie Lavater — gdy wybieracie ministrów, przyglądajcie się przedewszystkiem ich nosom!“ Dziś wydaje się nam komiczną taka uwaga, ale wówczas przyjmowano ze czcią i namaszczeniem podobne nawoływania. Lavater pozostawał w korespondencyi z najwybitniejszymi, współczesnymi mu, ludźmi, a każdy tom dzieła jego, poświęcony był innemu panującemu. Cały świat, zwłaszcza ze sfer arystokracji, przygotowywał szkice i sylwetki różnych fizygnomii, i posyłał je wielkiemu „prorokowi“, jak nazywał Lavatera młody wówczas Goethe ¹⁾. Już Lavater twierdził, że ciemne sylwetki głowy lepiej się nadają do rozpoznawania charakterów i zdolności umysłowych, aniżeli wizerunki i portrety twarzy ludzkich, bo w sylwetkach mamy stałe, niezmienne zarysy (kontury) fizygnomiczne. Takie mniemanie mogło już doprowadzić do „frenologii“, owej dziwacznej pseudo - nauki, którą w początkach naszego stulecia głosili dwaj słynni lekarze: Spurzheim i zwłaszcza Gall, a która miała również przez długi czas nader licznych i gorących wielbicieli, jakkolwiek była oparta przeważnie na podstawach zupełnie nienaukowych, była balamutna, i pod wielu bardzo względami graniczyła z szarlataneryą.

¹⁾ Wundt, Essays.

Otóż lekarz i uczony niemiecki, Józef Gall (1758 — 1829) doszedł do wniosku, że istnieje pewien związek pomiędzy budową mózgu a zdolnościami umysłowymi. Z przyjacielem swoim, również lekarzem, Janem Spurzheimem, rozpoczął on badania odnośne, i z początku stał na stanowisku ściśle naukowym, a między innymi wydał wielkie dzieło o anatomii mózgu ludzkiego, ozdobione licznymi rysunkami. Fantazją atoli było twierdzenie Galla, że każdy popęd, każda skłonność i wszelka zdolność umysłowa ma osobne swoje siedlisko w mózgu, niejako specjalny organ mózgowy. A również najzupełniej było bezpodstawnem mniemanie, jakoby silniejszemu rozwojowi pewnych takich poszczególnych organów mózgowych towarzyszyło silniejsze wykształcenie odpowiednich części czaszki, i że, jakoby skutek tego, powstawały na czaszce pewne miejscowe wyniosłości, guzy, nierówności, po których łatwo można poznać, jaki organ, lub jaka zdolność jest silniej rozwinięta u danego osobnika.

Gall odróżniał aż dwadzieścia siedem różnych popędów, czyli zmysłów, którym odpowiadają poszczególne organa w mózgu, na przykład popęd rozrodczy, popęd miłości macierzyńskiej, lub ojcowskiej, popęd przyjaźni, obrony, zmysł morderczy, chytrkości, popęd do kradzieży, zmysł wyniosłości, sławy, przezorności, miejscowości, zmysł mowy, metafizyczny, poetycki, teozoficzny i t. p. Spurzheim przyjmował jeszcze znacznie więcej podobnych popędów, lub zmysłów. Nauka, a raczej pseudo-nauka Galla, głosząca, w jaki sposób z zewnętrznych zarysów czaszki, oraz z różnych wyniosłości i guzów na jej powierzchni można wnosić o charakterze i o uzdolnieniu człowieka, a co więcej, o jego popędach do tego, lub innego rodzaju czynów moralnych — nauka ta nazwaną została przez Galla i jego następców *frenologią*. Nie zasługuje ona jednak bynajmniej, jak rzekliśmy, na nazwę umiejętności, opiera się bowiem na obserwacjach bardzo powierzchownych, lub wprost na twierdzeniach głosłosłownych, subiektywnych, ściślemi spostrzeżeniami wcale nie popartych. Można-by powiedzieć, że echa dawniejszej frenologii zachowały się w części w dzisiejszej nauce Lombrosa i jego zwolenników, zwłaszcza we włoskiej szkole antropologów i kryminalistów, upatrujących między innymi w pewnych nienormalnościach czaszki wrodzony typ zbrodniarza. Wiadomo zaś, że w tych poglądach Lombrosa kryje się tylko bardzo małe jądro prawdy, znaczna zaś większość jego spostrzeżeń okazała się zupełnie błędną, a większość jego wniosków, nie wytrzymującą ścisłej krytyki naukowej, czego dowiodły między innymi nader sumienne i na obfitym materiale statystycznym oparte badania anatomiczne prof. Sernowa.

Ale nas w tej chwili obchodzi nie stały zarys głowy ludzkiej, zależnej od kształtu i budowy czaszki, lecz — wyraz wewnętrznych stanów duchowych, ujawniający się na twarzy i w oczach, to jest w zmiennej mimice fizyognomii, która to mimika uwarunkowana jest przez ruchy różnych grup mięśni, obficie bardzo zaopatrujących twarz ludzką.

Mięśnie twarzy mają położenie powierzchowne, to jest mieszczą się tuż pod skórą i w przeważnej mierze otaczają różne otwory na twarzy, służąc do ich zwięzania, lub rozszerzania, naprzykład otwór ust, nozdrza, otwory powiekowe. Mięśnie, otaczające te otwory, biegną albo okrężnie, pierścieniowato dokola nich, jak naprzykład mięsień okrężny ust, umieszczony w wargach, a powodujący skurczem swoim zaciskanie ust, albo też przytwierdzą się jednym końcem do kości, a drugim do skóry, ograniczając pomienione otwory. Ażeby dać pojęcie o wielkiej obfitości i różnorodności mięśni mimicznych, wymienię niektóre najważniejsze. Tak naprzykład odróżniamy: mięsień okrężny oczodołu, który, kurcząc się, powoduje szczelne zamknięcie otworu powiekowego, czyli silne zmrużanie oka; mięsień brew marszczący; mięsień piramidalny nosa, zniżający przy skurczu skórę pomiędzy brwiami i marszczący ją przeto w kierunku poprzecznym; mięsień, unoszący skrzydła nosa i wargę górną, czyli rozszerzający nozdrza; mięsień poprzeczny nosa; mięsień zniżający skrzydła nosowe, a tem samem zwięzający nozdrza; mięsień, zniżający przegrodę nosową i przyczyniający się wraz z poprzedzającym do zwięzania nozdrzy; mięsień okrężny ust, zwięzający otwór ustny; mięsień unoszący samą wargę górną; mięsień jarzmowy mały i jarzmowy wielki, ciągnący kąt ust ku górze i na zewnątrz, a przez dawnych anatomów zwany mięśniem radości; mięsień śmiechu, ciągnący silnie kąt ust w górę i ku zewnątrz, jak podczas śmiania się. Dalej znajdujemy oddzielną parę mięśni, unoszących kąty ustne na zewnątrz; mięśnie, zniżające kąty ust i nadające fizyognomii wyraz smutku i depressyi. Wreszcie wspomnę o mięśniu, obniżającym wargę dolną, czyli tak zwanym kwadratowym, który obniża wargę dolną i odchyła ją na zewnątrz; kiedy działa on wraz z podskórnym mięśniem szyi, przyczynia się do wyrażenia uczucia przestrawu, lub trwogi, przy którym wargę dolną zostaje między innymi mocno obniżoną, a usta szeroko rozwarłe.

Oprócz twarzowych, i niektóre mięśnie czaszkowe mają ważne znaczenie mimiczne, a z nich najważniejszy jest mięsień czołowy, jak

i inne, parzysty, szeroki, czworoboczny. Kurcząc się, wywołuje on na czole zmarszczki poprzeczne, nadto unosi brwi i przyczynia się także do podnoszenia powiek.

Nie będę w tem miejscu przedstawiał ważniejszych kombinacji ruchów mięśni twarzowych, czynnych przy wyrażaniu tego, lub owego uczucia, i powodujących odpowiednią mimikę. Wszyscy znamy te dziwne ruchy mimiczne, jakkolwiek nie każdy bliżej je analizował pod względem anatomicznym, lub fizyologicznym. Bo i któż, proszę, nie wyczyta na twarzy wyrazu wesołości, smutku, bólu, gniewu, przestachu, namysłu, dumy, pogardy i t. d. Anatomowie i fizyologowie rozbiegali bardzo szczegółowo te wszystkie wyrazy afektów, dowiedzieli się, jakie grupy mięśni są czynne w każdym poszczególnym wypadku, kiedy, gdzie i dla czego tworzą się zmarszczki na czole, kiedy opuszczają się kąty ust, lub podnoszą, kiedy brwi się ściągają, lub stoją ukośnie, kiedy usta się otwierają, lub zaciskają, oczy się podnoszą, spuszcza, szeroko otwierają, lub przymykają? Znakomity fizyolog francuski, Duchenne, drażnił elektrycznością różne okolice twarzy ludzkiej, i w ten sposób wprowadzał w stan czynny, czyli stan skurczu, różne poszczególne grupy mięśni twarzowych, przez co wywoływał sztucznie rozmaite ruchy na twarzy człowieka, podlegającego doświadczeniu, wywoływał na jego licach to wyraz jakby strachu, to gniewu, to wesołości serdecznej, to głębokiego smutku, a wszystko to osiągał jedynie przez skurcz pewnych, określonych grup mięśniowych. Bogato ilustrowany atlas dzieła Duchenne'a zawiera nader liczne fotografie twarzy ludzkich, które były elektryzowane w ten sposób, a spoglądając na nie, jesteśmy najmocniej przekonani, że są to zdjęcia fotograficzne z twarzy osób, któremi rzeczywiście miały pewne silne afekta.

Co się tycze roli, jaką odgrywają oczy w mimice twarzy, to w tym względzie możliwe są dwie ewentualności. A mianowicie: albo zmiany w wyrazie spojrzenia pochodzą od samej gałki ocznej, albo też gałka, czyli właściwe oko odgrywa tu rolę bardzo podrzędną, a nawet żadnego, nie ma znaczenia, a główna rola przypada w udziale mięśniom gałki ocznej i innym sąsiednim, dodatkowym częściom oka, jak powiekom, brwiom i t. p. Otóż, gdy dawniej przypisywano wielkie znaczenie mimiczne samym gałkom ocznym, to dzisiaj wiemy, że, przeciwnie, największą doniosłość mimiczną ma muskulatura oczu i powiek. Zwolennicy pierwszego poglądu twierdzili, że naprzykład znany blask oczu u człowieka, mocno czemś uradowanego, lub wielce uszczęśliwionego, pochodzi ze „spotęgowanego naprężenia“ gałek ocznych. Ale dla fizyologa i okulisty objaśnienie takie nie wytrzyma je żadnej krytyki, wiadomo bowiem na podstawie nader ścisłych

i szczegółowych badań, że szybka zmiana w stopniu naprężenia gałki ocznej jest niemożliwa, dopóki oko znajduje się w stanie zdrowia. Jeżeli zmienia się jej naprężenie, to wskutek zmian parcia śródocznego w wypadkach patologicznych. A gdyby naprzykład w chwilach radości, lub gniewu, naprężenie gałki tak się wzmagalo, że oko miało-by wskutek tego silniej błyszczeć, to musiało-by temu towarzyszyć bardzo znaczne osłabienie zdolności widzenia, co, jak wiemy, nie miewa jednak wówczas miejsca. Zresztą, jest jeszcze inny, bardzo ważny i dobitny dowód, przemawiający przeciwko temu, aby przy spotęgowaniu się naprężenia gałek ocznych oczy miały wskazywać wyraz radości, wesołości, lub wogóle jakiegoś podniecenia. A mianowicie, w pewnej, bardzo ciężkiej chorobie oczu, zwanej jaskrą (glaucoma), wzrasta nadzwyczajnie ciśnienie wewnątrz gałki ocznej, wzmagają się przeto naprężenie ścian gałki, a jednak oczy takich nieszczęśliwych chorych nie błyszczą nigdy radością. Przeciwnie, na twarzy tych chorych maluje się najczęściej głęboki smutek i depressya, bo grozi im widmo ślepoty. A była-by to istna ironia, gdyby ci nieszczęśliwi ludzie, stojący u progu wiecznej nocy, mieli wyraz twarzy, ujawniający bezustanną radość i wesołość. Przyroda łączy często dziwne przeciwieństwa, ale podobnie okrutnego zestawienia uczucia grozy i cierpienia z wyrazem wesołości i radości nie napotykamy w niej nigdzie.

Gdy miota nami uczucie szczęścia, radości, gniewu, wogóle gdy jesteśmy podnieceni, oczy nasze błyszczą, a trafnie mówi Arystofanes o rozzłoszczonym Aeschylusie, że ma spojrzenie „byka“. Gdy, przeciwnie, ciężki smutek przygniata nam serce, oko jest przygasłe, matowe! Jakaż tego przyczyna, skoro nie zależy to od zmiany samej gałki ocznej, od różnic w jej naprężeniu, jak to wyżej zaznaczyliśmy. Otóż przedewszystkiem pochodzi to od ruchu powiek, zwłaszcza powieki górnej. W chwilach ogólnego podniecenia organizmu, naprzykład radości, lub gniewu, wszystkie mięśnie, a przedewszystkiem mimiczne, podlegają większemu naprężeniu pod wpływem ogólnego podniecenia układu nerwowego. Między innymi kurczą się wtedy silnie mięśnie, podnoszące powiekę górną i obniżające dolną, szczelina międzypowiekowa rozszerza się, a wskutek tego znaczniesza część przedniej powierzchni gałki ocznej staje się widoczną. Ponieważ zaś rogówka oka razem ze zrosłą z nią spojówką jest lśniąca i daje blask zwierciadlany, im większa przeto część jej powierzchni jest odsłonięta, tem blask oka silniejszy. Oto przyczyna, dla której przy uczuciu radości, gniewu i wogóle wszelkiego silniejszego podniecenia oczy nasze lśnią żywym ogniem. Nadto przy silnem rozwarciu oka, przy mocnem wzniesieniu powieki górnej, następuje podrażnienie

gruczołu łzowego i obfitsze łez wydzielanie. Spróbujmy mocno otworzyć oczy i z wysiłkiem wzniesić powiekę górną, wstrzymując się przez chwilę od mrugania, a oto wkrótce zacznie się łzawienie. Przy mocno otwartych oczach następuje zatem obfitsze wydzielanie łez, wskutek czego zwilża się powierzchnia spojówki, a to powoduje znaczniejsze jej błyszczenie — stąd także większy blask oczu, towarzyszący afektom, które podniecająco działają na ustrój. Wreszcie, trzecia jeszcze okoliczność postromna odgrywa tu pewną rolę fizyognomiczną, którą często przypisujemy niesłusznie samemu oku. A mianowicie, gdy górna powieka silnie się podnosi, brwi zostają przez to z konieczności nieco wzniesione i przybierają postać nieco zaokrągloną, łukowatą. Ta ostatnia okoliczność powoduje, że oko, jako całość, wydaje nam się wówczas większem, bo przywykliśmy uważać oko i jego oprawę wraz z brwiami za jedną całość fizyognomiczną. Jakże często mówimy. „radość błyszczy mu w oczach“, albo: „z radości, lub zdziwienia, mało mu oczy nie wyskoczyły“, lub: „mało mu oczy na wierzch nie wyszły“, a te ostatnie wyrażenia opisowe stosują się właśnie do stanu fizyognomicznego, w którym powieki są rozwarte, a brwi podniesione, jak gdyby rzekomo pod wpływem parcia gałki ocznej. Jeszcze silniejsze rozwarcie oczu i znaczniejsze wzniesienie brwi do góry, któremu towarzyszy nadto poprzeczne zmarszczenie czoła i szerokie otworzenie ust — oto charakterystyczny wyraz twarzy człowieka przełkniętego, lub przestraszonego; ale do kwestyi tej niżej powrócimy.

Z drugiej atoli strony te wszystkie stany duszy, które są natury łagodniejszej, które nie podniecają i nie pobudzają naszego układu nerwowego, lecz obniżają niejako jego napięcie, a zwłaszcza stany smutku, lub zmartwienia, działające przygnębiająco, deprymująco na duszę naszą — stany te, powtarzłem, powodują obniżenie napięcia układu mięśniowego, stąd ciało nasze wówczas niejako upada, omdlewa. Jakże cudownie wyraził Krudowski w swoim, pełnem artyzmu, „Zejściu z Golgoty“, owo wiotkie osłabienie mięśni i omdlewające z ciężkiego bólu pochylenie ciała w postaciach niewieścich, z góry zstępujących.

Otóż, stosownie do ogólnego obniżenia podniety mięśniowej, i powieka górna opada, a wraz z nią i brwi się nieco opuszczają. Brew zwiesza się mniej lub więcej głęoko ponad okiem, rzucając na nie cień i przysłaniając je w znacznym stopniu, a zwierciadło rogówki, które i tak już, w skutek obniżenia się powieki górnej, zmniejszyło swą powierzchnię i przeto mniej żywo błyszczy, zaciemnia się jeszcze bardziej przez ów cień, rzucany od brwi; wyraz oczu staje się tedy smutny, ponury, martwy. „Jakież smutek, jakie przygnębiecie bije mu

z oczu“ — mówimy często o człowieku, dotkniętym ciężkiem zmartwie-
niem; „oko jego straciło dawny blask, jakby przygasło“. W wypad-
kach wielkiego bardzo przygnębienia, brwi, opuszczając się ku doło-
wi, zbliżają się jednocześnie ku linii środkowej, to jest ku nosowi, co
szczególniej doskonale występuje u dzieci, silnie urażonych w swojej
ambicji i mocno zadąsanych, a to ściągnięcie brwi wywołuje pionowe
(podłużne) fałdy na skórze czola ponad grzbietem nosa; fałdy te rzu-
cają również pewien cień na oczy, nadający im dziwnie przykry wyraz.
Tak więc rozpatrzone wyżej przykłady dosadnie, sędzę, przekonały
nas, że to, co błędnie uważamy przy afektach radości, wesołości, strach-
u, smutku, zadąsania i t. p. za mimiczne objawy w samych oczach,
jest w gruncie rzeczy uwarunkowane wyłącznie przez czynności
mięśni mimicznych twarzy, przedewszystkiem zaś mięśni, podnoszących
i obniżających powieki, oraz brwi. Na okoliczność tę zwrócił był
trafnie uwagę znany okulista wrocławski, prof. H. Magnus.

Wreszcie dla fizyognomiki oczu ma ważne znaczenie jeszcze
pewna grupa mięśni, o której dotąd nie mówiliśmy. A mianowicie,
mam na myśli mięśnie, poruszające gałkę oczną. Gałka oka posiada
cztery mięśnie proste, zwane: górnym, dolnym, zewnętrznym i we-
wnętrznym, oraz dwa ukośne: górny i dolny. Jeżeli kurczy się mię-
sień górny, gałka podnosi się do góry, gdy ulega skurczowi dolny,
gałka oczna opuszcza się; skurcz mięśnia wewnętrznego powoduje
ruch jej ku wewnętrznemu kąтови oka, gdy natomiast przez działanie
zewnętrznego mięśnia prostego zwraca się ona ku zewnętrznemu ką-
towi oka; wreszcie mięśnie ukośne: górny i dolny, powodują, kurcząc
się, ruch gałki nieco ku górze, lub na dół, ale jednocześnie „ku sobie“,
albo „od siebie“. Otóż przy wszystkich uczuciach, którym towarzyszy
stan podniecenia, przy afektach radości, gniewu, przełknięcia i t. p.,
gałki oczne poruszają się ustawicznie, wykonywają szybkie ruchy to
w tym, to w owym kierunku. Ale nie tylko przy spotęgowanem pod-
nieceniu ducha zdrowego, normalnego, spostrzegamy taki zwiększony
ruch oczu (H. Magnus). Wzmaga się też on widocznie przy pewnych
stanach psycho - patologicznych, towarzyszy niektórym cierpieniom
umysłowym. A zarówno też ludzie normalni, ale z natury niespokojni,
mają tę dziwną właściwość rzucania oczyma. Już w przypowieściach
Salomona czytamy: „Mędrzec ma spojrzenie rozumne, a człowiek głu-
pi rzuca oczyma w tę, lub ową stronę“.

• Zresztą, nie zawsze silne i podniecające afekta potęgują ruchli-
wość gałek ocznych. Przy uczuciu bardzo wielkiego przerażenia, lub
osłupienia, oczy nasze są nieruchome, wryte, jakby oszklone. Pochod-
zi zaś to stąd, że instynktownie wlepiamy wówczas wzrok nasz

w przedmiot przerażenia, lub podziwu, nie mogąc się od niego ani na chwilę oderwać.

Jeżeli jednak w ogólności afekta podniecające potęgują ruchliwość oczu, to przeciwnie, uczucia łagodne, lub wzbudzające w nas smutek, albo żal ciężki, obniżają, jak rzekliśmy, napięcie systemu nerwowego i mięśniowego, a tem samem osłabiają też działalność mięśni oka. Wskutek tego zaś nie tylko powieka górna opuszcza się i widzialną część błyszczącej powierzchni gałki ocznej maleje, ale nadto i ruchy gałki zostają sprowadzone do minimum, co oczom nadaje wyraz martwoty, smutku, przygnębienia.

Ze wszystkiego, co powiedzieliśmy wyżej, wynika, oczywiście, że wszelki wyraz twarzy i wszelka mowa oczu — to wynik działania różnorodnych grup mięśni specjalnych, w które tak bardzo obfitują gałki oczu, oraz twarz nasza.

A teraz pozostaje jeszcze do omówienia inna kwestya przedmiotu, a mianowicie: jaka jest przyczyna owej mimiki lica i oczu? Po części podałem już wyżej pewne fizyologiczne objaśnienie owych ruchów mięśniowych, zaznaczając, że są one jednym z objawów podniecenia, lub obniżenia czynności systemu nerwowego, któremu towarzyszy spotęgowanie, lub osłabienie działalności mięśni, a przede wszystkim mięśni mimicznych, bardzo wrażliwych pod tym względem. Ale są jeszcze i inne, niemniej ważne, przyczyny omawianych zjawisk.

A mianowicie: znany jest fakt psycho-fizyologiczny (W. Wundt), że pewne uczucia i wyobrażenia pewnych czuć zmysłowych ściśle się z sobą wiążą. Tak na przykład uczucie estetycznego, lub etycznego zadowolenia łączy się często z wyobrażeniem zmysłowego uczucia przyjemnego, uczucie zaś przykre — z wyobrażeniem uczucia nieprzyjemnego. Przecież używamy często w mowie takich wyrażen, jak „słodka dobroć“, „gorzkie wyrzuty sumienia“, „ciężki smutek“, „dolce far niente“, „czarna niewdzięczność“, lub „dictum acerbum“. Podobne zestawienia wyrazów są, ściśle biorąc, nielogiczne, bo jakże wyrzūt może być gorzkim, a bezczynność dla leniucha słodką. Słodkim może być w rzeczywistości cukier, lub sacharyna, gorzkim piołun, chinina, zółć, lub inne ciało. Jeżeli jednak w języku wszystkich ludów napotykamy bardzo liczne zestawienia podobne, to jest to właśnie wynikiem bez-

wiednie poznanego przez nas faktu psycho-fizyologicznego, że przy pewnych przyjemnych, lub przykrych uczuciach znajdujemy się w stanie, podobnym do tego, jak gdybyśmy doznawali przyjemnych, lub przykrych czuć zmysłowych. Jeżeli mówimy o ciężkiej doli, to zdaje nam się, że nas rzeczywiście coś przygniata, że nam coś cięży okropnie; gdy mówimy o czarnej rozpacz, to nam się zdaje, że już istotnie słońce dla nas nie świeci, i że noc ponura nas otacza.

Ale oto nasze najwyższe organa zmysłowe: narządy wzroku, słuchu, smaku i powonienia mieszczą się na głowie, a każdy z nich posiada własny swój aparat mięśniowy, który z jednej strony dopomaga danemu organowi zmysłowemu do należytego odbierania wrażeń, z drugiej zaś służy do zabezpieczania go od szkodliwych wpływów zewnętrznych. Tycze się to przedewszystkiem oka, którego mięśnie odgrywają ważną rolę w fizyologii widzenia, a nadto służą do ochrony oczu, bo przypomnijmy sobie choćby tylko fakt silnego, odruchowego zamykania oka, gdy nieco za jasny promień światła je razi, lub gdy jakieś ciało obce zbliża się zanadto do tego delikatnego, kunsztownego, a tak drogiego nam organu. Ruchy te, a raczej odruchy, które można-by nazwać samoochroneni, samozachowawczemi, powstając przy podrażnieniu jednego narządu zmysłowego, występują też często w innych narządach sąsiednich przez prawo kojarzenia się odruchów. Tak naprzykład, gdy bierzemy do ust coś bardzo kwaśnego, spluwamy odruchowo, a jeżeli ze względów estetycznych tamujemy dowolnie ten odruch, krzywimy się w każdym razie mimowoli w ten sposób, jakbyśmy do splunięcia się przygotowywali, nadto zaciskamy usta i zęby, chroniąc się niejako odruchowo od nowej dawki przykrego bodźca; a prócz tego, jednocześnie mrużymy często szczelnie oczy, jak gdyby chroniąc je od przykrego jakiegoś bodźca świetlnego.

Różne ruchy mięśniowe naszych narządów zmysłowych odczuwamy doskonale, dzięki obecności w mięśniach zakończeń nerwowych (zmysł mięśniowy), zawiadamiających nas o stopniu naprężenia tych-że mięśni. Tak więc, pewne ruchy mięśniowe i odpowiednie czucia mięśniowe są ściśle związane z pewnemi wrażeniami wzrokowemi, smakowemi, lub węchowemi ¹⁾. Związek ten jest tak ścisły, że często-kroć zaledwie jesteśmy w stanie oddzielić i odgraniczyć jedno od drugich. Jak ścisłą jest zależność pomiędzy ruchami mięśni mimicznych, a pewnemi czuciami zmysłowemi, dowodzą tego bardzo liczne fakta fizyologiczne. Oto naprzykład, gdy umiejętnie wykonamy ruch mi-

¹⁾ O słuchowych nie wspominamy, albowiem aparat mięśniowy ucha jest u człowieka bardzo słabo rozwinięty.

miczny, podobny do tego, jaki powstaje bezwiednie (odruchowo) przy zetknięciu się języka naszego z czemś przykrem, gorzkim w smaku, to jest gdy ściągniemy silnie usta, wierzchołek języka przyciśniemy do podniebienia i tylnej powierzchni śiekaczy, a twarz skrzywimy—uczujemy natychmiast istotnie przykry, gorzkawy smak w ustach. Oto siła skojarzenia motoryczno - psychicznego. Albo weźmy naprzykład pod uwagę inny ruch mimiczny, który każdy z nas może łatwiej wykonać dowolnie. Wiadomo mianowicie, że, spoglądając na światło niemile nas rażące, wykonywamy mimowoli pewne ruchy (samoochronne), w celu zabezpieczenia się od tego światła: mrużymy oczy i marszczymy silnie skórę na czole po nad nosem, w fałdy pionowe. Ale oto spójrzmy na światło lampy pokojowej, która dotąd weale nas nie raziła, i wykonajmy przytem powyższy ruch mimiczny: zmrużmy oko i sfaldujemy skórę na czole w zmarszczki pionowe, a przekonamy się, że światło to będzie nas teraz razić, doznamy jakiegoś przykrego wrażenia świetlnego. Tu znowu napotykamy związek pewnego określonego ruchu mimicznego, z pewnem określonym uczuciem zmysłowym (wzrokowem).

Tak więc uczucia zmysłowe ściśle się wiążą z ruchami mimicznymi. Wyżej atoli widzieliśmy, że uczucia zmysłowe łączą się też ściśle z uczuciami, że język nasz obfituje przeto we wspomniane wyżej wyrażenia: „ciężki żal“, „gorzki wyrzut“ i t. p. Otóż, jeżeli zjawisku *a* towarzyszy stale zjawisko *b*, a zjawisku *b*—*c*, to rzecz naturalna, że, ilekroć wystąpi *c*, musi też pojawić się *a*. Innemi słowy, pewne ruchy mimiczne towarzyszą pewnym uczuciom zmysłowym, a z pewnymi uczuciami zmysłowymi łączą się odpowiednie uczucia. Gdy więc znajdujemy się w pewnym szczególnym nastroju psychicznym, towarzyszą mu też określone ruchy mimiczne. Gdy doznajemy uczuć bardzo przykrych, naprzykład uczucia wstrętu, lub odrazy, usta nasze mimowoli przybierają taką postać, jak wówczas, kiedy gorzka, lub kwaśna substancya dotyka naszego języka; ściągamy tedy odruchowo usta, czło marszczy się w fałdy pionowe ponad nosem, a nadto powieki się obniżają (jak gdyby dla zabezpieczenia się od przykrego światła). Oto mimika człowieka, targanego uczuciem bardzo przykrem. A język nasz ma świetne wyrażenia, ilustrujące ów związek, jak naprzykład: „ten człowiek ma bardzo kwaśną, lub skwaszoną minę“, albo: „gorycz maluje mu się na twarzy“ i t. p. Przeciwnie, przy uczuciach radosnych otwieramy usta, rozszerzamy skrzydła nosowe, szeroko otwieramy oczy, jak wówczas, gdy coś dobrego smakujemy, gdy napawamy się przyjemną wonią, albo spoglądamy na piękny i miły krajobraz!

Dla zillustrowania owej współzależności ruchów mimicznych, czuć i uczuć, rozpatrzmy jeszcze przykład następujący. Oto, zdający egzamina siedzi przed profesorem i ma odpowiedzieć na zadane sobie trudne pytanie, na które nie łatwo jednak znajduje odpowiedź. Obserwujmy mimikę jego. Najprzód zacznie on poruszać oczyma, zwróci je ku górze, skieruje w bok, spuści na dół, wpatrując się za każdym razem pilnie, jak gdyby w pewien punkt stały. Dlaczego wykonywa on takie ruchy? Oto szuka w umyśle odpowiedzi, a ta czynność psychiczna kojarzy się z wyobrażeniem jakiegoś szukania zmysłowego; uczeń wodzi tedy bezwiednie oczyma to w tym, to w owym kierunku, jak gdyby chciał znaleźć w ten sposób poszukiwany przedmiot. Gdy to nie pomaga, a profesor zaczyna się niecierpliwić, uczeń doznaje przykrego uczucia, zdaje mu się przeto, że mu coś fizycznie dokuca, że go coś drażni, lub niepokoi, i instynktownie sięga ręką do czoła, trze je silnie dłonią, jak gdyby usuwając jakąś zawadę, podobnie jak człowiek z ludu, będący w kłopotie moralnym, skrobie się w głowę, szukając w tem ulgi. Pocierając czoło, marszczy je jednocześnie w fałdach pionowych, przymyka oczy, przysłania je nawet dłonią, jak gdyby szukając ulgi przed rażącym światłem, wreszcie krzywi się, jak gdyby coś kwaśnego drażniło jego usta. Słowem, doznając moralnej przykrości, wskutek niemożności odpowiedzenia na zadane pytanie, wykonywa on szereg różnorodnych ruchów mimicznych, jakby dla pozbycia się rozmaitych przykrości fizycznych, otrzymywanych zazwyczaj drogą zmysłową.

Ruchy mimiczne są tedy wywoływane przez wyobrażenia zmysłowe, pozostające w ścisłym związku z wewnętrznymi nastrojami duchowymi. Owej ścisłej współzależności jednych od drugich dowodzi fakt, że na odwrót, przez dowolne wykonywanie pewnych mimicznych ruchów nietylko możemy wywoływać u siebie pewne złudzenia zmysłowe, ale nadto wzbudzać pewne odpowiednie uczucia, pewne nastroje duchowe. Można-by przytoczyć bardzo wiele takich przykładów. Jakże łatwo — gdy chcemy — możemy wpaść w gniew istotny. Znałem pewnego zwierzchnika, który umiał na zawołanie wpaść w gniew szalony. Gdy podwładny urzędnik coś zawinił, przełożony postanawiał okazać mu swoje oburzenie w pewnej chwili stosownej. W upatrzonym tedy z góry czasie (najczęściej podczas obecności różnych innych podwładnych w biurze), jakkolwiek bezpośrednio przedtem najspokojniej rozmawiał, chmurzył czoło, marszczył brwi, wysuwał naprzód szczękę dolną, pokazując szeregi zębów, zaciskał pięści, uderzając niemi o stół, szybko chodził po pokoju, tupał nogami, a potęgując głos w niezwykły sposób, wpadał stopniowo w coraz to silniejszy gniew, który miotał nim coraz potężniej, budząc postrach

w otoczeniu. Przez stosowną zatem mimikę, i wogóle przez odpowiednie ruchy mięśniowe, wywoływał w sobie ów człowiek stan rzeczywistego podniecenia psychicznego. Znają dobrze te sposoby artyści dramatyczni, umiejący wywoływać w sobie najwyższy patos, któremu towarzyszy blednienie twarzy, lub obfite łez przelewanie, a to wyłącznie tylko przez bardzo umiejętne modulowanie głosu i dokładne naśladowanie tych wszystkich ruchów mimicznych i ruchów całego ciała, jakie towarzyszą zwykle bezwiednie odpowiedniemu nastrojowi ducha. Podobnie też postępują tak zwane płaczki, wynajmowane na pogrzebach u wielu ludów wschodnich. Kobiety te zaczynają głośno krzyczeć, naśladując szlochanie i zawodzenie niewiast, rzeczywiście nieszczęściem dotkniętych, zalamują ręce, rwą się za włosy, a tak wpadają rzeczywiście w rozpacz, chociaż nieboszczyk, którego tak serdecznie za pieniądze oplakują, mógł im być najzupełniej obojętny.

Oprócz rozpatrzonych poprzednio, a najważniejszych, naszym zdaniem, przyczyn ruchów mimicznych twarzy i oczu, a mianowicie: 1-o bezpośredniego wpływu podniecenia, lub depressyi układu nerwowego, oraz 2-o związku ruchów pewnych mięśni z uczuciami zmysłowymi i nastrojami psychicznymi—istnieją jeszcze niektóre inne przyczyny mimiki. Jedną z nich jest ruch twarzy, rąk i nawet całego ciała wówczas, gdy, będąc nastrojeni wesoło, smutno, lub gniewliwie, wypowiadamy się z naszych uczuć przed innymi, i mimowoli, a często zupełnie świadomie, staramy się illustrować gestykulacją namacalnie tok naszych myśli, czyli obrazowo je przedstawiać. Wreszcie w wielu wypadkach miewa też zastosowanie zasada tak zwanego przeciwstawienia, czyli antytezy, na którą zwrócił był uwagę K. Darwin. Polega ona na tem, że jeżeli przy pewnym afekcie wykonywamy ruchy mimiczne wskutek jednej z powyższych przyczyn, to często przy afekcie wprost przeciwnym wykonywamy bezwiednie ruchy mimiczne, zupełnie przeciwne tamtym, jak gdyby manifestując instynktownie w ten sposób przeciwieństwo afektu. Dla zillustrowania tej zasady przytoczę przykład, wzięty ze świata zwierzęcego, bo wiadomo, że i zwierzęta mają swoją mowę mimiczną. Dwa nasze pospolite zwierzęta domowe: pies i kot, wyrażają w sposób wprost przeciwny uczucie swej przyjaźni względem człowieka. Gdy pies „się lasi“, czolga się po ziemi, a spuszczone ogonem wywija ustawicznie w prawo i w lewo; kot, przeciwnie, objawia swe pieszczoty względem człowieka w ten sposób, że wypręża ciało, nogi prosto trzyma, a ogon pionowo i sztywno ku górze wznosi. Skąd-że taka różnica w wyrazie tego samego afektu? Otóż jest to przeciwstawienie (antyteza) względem wyrazu wprost przeciwnego uczucia, a mianowicie uczucia nieprzyjaznego zamiaru, przy którym znowu inaczej zachowuje się kot i pies,

w związku z odmiennym trybem życia. Pies napastuje zdobycz jawnie, a więc przybiera instynktownie postać groźną, jako najbardziej przestraszającą wroga: wypręża ciało, szczeka donośnie, ogon podnosi. Kot, przeciwnie, napada zdobycz podstępnie, zniemacka się na nią rzuca, a więc musi się do niej cichutko i ostrożnie zbliżyć: czołga się przeto przy samej ziemi, ogon na dół spuszcza, i tak powoli w nieprzyjaznym zamiarze do przyszłej swej ofiary się zbliża. Gdy zaś przeciwnie, kot i pies wyrażają przyjazne usposobienie, ciało ich wykonywa ruchy wprost odienne, niż podczas napadania wroga, a przeto napotykamy wprost odwrotne ruchowe objawy tej sympatii u obu tych naszych zwierząt. Ruchy, towarzyszące zamiarom wrogim, jako korzystne dla obu zwierząt, mogły się wyrobić drogą doboru naturalnego (K. Darwin), ruchy zaś, towarzyszące zamiarom przyjacielskim, powstać mogły wskutek antytezy, to jest kojarzenia się przeciwnych wyrazów uczuć z wprost przeciwnymi uczuciami.

Dotąd mówiliśmy o wyrazie twarzy i mowie oczu przy pewnych chwilowych nastrojach duszy. Na zakończenie musimy jeszcze zapytać: czy twarz i oczy są stałym odzwierciedleniem duszy? Często mówimy o inteligentnym, lub bezmyślnym wyrazie twarzy, o „mądrych, myślących oczach“, o oczach smętnych, bystrych, lub lalkowatych. Jakkolwiek często mylą nas pozory w tym względzie, to jednak w większości wypadków istnieje pewien związek pomiędzy wyrazem twarzy i oczu, a inteligencją i charakterem ludzkim. Ze stanowiska fizjologicznego związek ten wytłómaczyć sobie można w sposób następujący:

Gdy bardzo często wykonywamy pewne ruchy mimiczne, odpowiednie grupy mięśni przez częstą czynność lepiej się rozwijają, wprawiają doskonale do swojej funkcji i znajdują się w stanie silniejszego, stałego napięcia; nadto częste, lokalne fałdowanie skóry wywołuje zmarszczki w pewnych określonych okolicach.

Otóż, rzecz naturalna, że skoro dana osoba, podlegając bardzo często pewnego rodzaju afektowi, wykonywa odpowiedni ruch mimiczny, tenże nadaje twarzy pewien stały wyraz. Stąd ludzie o usposobieniu pustem, pobudzaniem naprzykład często do wesołości, mają wyraz twarzy, ujawniający zawsze dobry humor; spojrzenie ich jest

niespokojne, z przedmiotu na przedmiot, podobnie jak i myśl ich, przeskakujące, brew do góry wzniesiona, oko szeroko otwarte, czoło bez zmarszczek pionowych ponad nasadą nosa, lecz często ze słabemi fałdami poprzecznymi, a w ustach grymas, podobny do tego, jaki wykonywamy, spoglądając na coś komicznego. Przeciwnie, ludzie o usposobieniu mrukliwym, często i byle czem się irytujący i zgryźliwi, mają wyraz twarzy przykry, czoło nachmurzone wskutek wystąpienia zmarszczek pionowych ponad nosem, a w ustach stale grymas, nieco podobny do tego, jaki wykonywamy przy afektach przykrych, lub wtedy, gdy uczuwamy smak gorzki, albo kwaśny, lub gdy spoglądamy na coś odrażającego.

Jeszcze słówko o stałym wyrazie oczu. Powiedzieliśmy już wyżej, że przy afektach podniecających nasz ustrój nerwowy, powieka górna podnosi się, a powierzchnia oka więcej się obnaża. Naodwrot, afektom natury łagodnej, lub deprymującej towarzyszy obniżenie powieki górnej. Stąd, w skutek wprawienia się odpowiednich grup mięśniowych do pewnych czynności, osobniki o bardzo żywym nastroju ducha mają zwykle oczy szeroko otwarte, natomiast osobniki o usposobieniu łagodnem, spokojnem — powieki niżej spuszczone (oznaka skromności).

Jeszcze bardziej zasługują na uwagę ruchy gałki ocznej. U osobników silnie krótkowzrocznych, badany przedmiot musi być bardzo zbliżony do oczu, a wskutek tego gałki oczne tak się wtedy wykręcają, że źrenice zbliżają się ku linii środkowej, to jest ku wewnętrznym kątom oczodołów (H. Magnus). Gdy więc, vice versa, kto jest silnie krótkowzroczny i oczy ma często zwrócone ku wewnętrznym kątom oczodołów, wydaje nam się, że spogląda on tylko na najbliższe otoczenie, i że go tylko obchodzi i interesuje to, co tycze się jego własnej osoby i najbliższego jego otoczenia; twarz taka ma przeto dla nas coś mdłego, martwego, sennego ¹⁾, jakkolwiek w rzeczywistości dany osobnik może mieć usposobienie bardzo żywe i interesować się jak najszerszemi sprawami. W tym więc razie pozory mogą nas bardzo łudzić. Naodwrot, dalekowidz, mogący dobrze zdaleka obserwować przedmioty, trzymając najczęściej gałki oczne nieco rozbieżnie, to jest źrenice jego są bardziej zbliżone ku zewnętrznym kątom oczodołów (H. Magnus). Spojrzenie takie nazywamy przeszywają-

¹⁾ Gdy krótkowidz zdejmuje okulary, jego gałki oczne zbiegają się silnie ku linii środkowej, i przypomnijmy sobie, jak mdłym i sennym wydaje nam się wówczas spojrzenie tego, kogo dotychczas widywaliśmy tylko w okularach.

cem, bo nam się zdaje, że patrzący śledzi nas pilnie i spostrzega zdaleka każdy szczegół, słowem, że nic nie uchodzi jego wzrokowi. Ludzie nerwowi obawiają się takiego spojrzenia przeszywającego, i może poniekąd słusznie, w niektórych przynajmniej wypadkach.

Nakoniec ludzie, oddający się bardzo wiele rozmyślaniom i zadumie, spoglądają często w jak najdalszą przestrzeń, nie zatrzymując wzroku na żadnym specjalnym przedmiocie, a źrenice ich rozbiegają się przeto silnie, zbliżając się bardzo wyraźnie do zewnętrznych kątów oczodolów. Dlatego też takie mocno i wybitnie rozbieżne oczy wskazują na zadumę, zamyślenie, mają w sobie coś nadziemskiego, niebiańskiego. U Madonny Rafaela widzimy oczy, przedstawione wybitnie rozbieżnie, i stąd znakomity efekt owej cudownej zadumy. To samo można zauważyć na obrazach wielu innych malarzy.

Widzimy zatem, że w znacznej mierze pewne stałe ruchy mimiczne twarzy i pewien stały rodzaj spojrzenia — mogą być wyrazem pewnych stałych nastrojów ducha, usposobień. Widzieliśmy jednak, że niekiedy pozory nas łudzą w tej mierze. Do takich błędnych, a bardzo rozpowszechnionych mniemań należy i to, że ludzie mocno zyzujący są często uważani za fałszywych. Przy zycie osi optyczne obu gałek ocznych nie są jednocześnie skierowane na ten sam przedmiot. Stąd, spoglądając na zyzującego, nie wiemy, na co on właściwie patrzy, co budzi w nas niezadowolenie, nieufność i łatwość posądzenia o nieszczerę postępowanie. Natomiast do pewnego stopnia usprawiedliwioną być może nieufność nasza względem osób, które, nie zyzując, mają jednak zwyczaj niepatrzenia nam podczas rozmowy prosto w oczy, lecz zwracania wzroku w inną zupełnie stronę.

DR JÓZEF NUSSBAUM.

RICK I ROCK.

P O W I E Ś C.

I.

Wawrzyniec Baran, późniejszy Lorenzo Zuccoli, lub Laurent Barane, albo Barański, czasem po prostu Baran, (dla którego cała Europa, od Konstantynopola do Londynu i od Palermo do Sztokholmu, nie była zbyt obszernem polem do popisu), przyszedł na świat w Warszawie, w suterenie małego domku, należącego do powroźnika Millera, przy ulicy Sowiej. Dzieciak wyczekiwany był przez matkę, jako wielkie szczęście i szczególna łaska Opatrzności. Dzielna to była kobieta ta Barańska i, choć w prostym stanie, rozumu jej nie brakło. (Barańską ją nazywano powszechnie na Powiślu, jedni bo nieświadomi byli prawdziwego jej nazwiska, inni przez poważanie, jakie pracowite kobiecisko umiało sobie zarobić u ludzi). Trudniła się praniem i do wielu bardzo porządných domów stała była wzywana, — do

rzeźniczki Łoińskiej naprzykład, do pani rewirowej Boberkowej, do samej gospodyni domu, powroźniczki Millerowej, do pani Biedrzyckiej, która miała restaurację, i wielu innych. Ceniono ją, bo skóry na rękach przy balii nie żalowała, bielizna z pod jej prania wychodziła czyściutka, jak ze sklepu, prasowała uważnie, nigdy nic nie przypaliwszy, umiała nakrochmalić do sztywności gors koszuli męskiej i falbanę u spodnicy pięknie wyrurkować, i obejść się delikatnie z firankami; a choć tak biegła w swoim fachu, nie drożyła się, fumów nie okazywała, szła do roboty odrazu, brała, co jej dawano, i nie krzywiła się zbyt wyrażnie, gdy otrzymała kolację skąpą, lub obiad źle okraszony. Znano ją przytem z wielkiej pobożności: wpisana była do szkaplerza Najświętszej Panny, w święta chodziła na summy i niespory, w adwencie zrywała się przed świtem na roraty, postu nigdy nie złała, nawet w chorobie, a czasem, przy balii, potrafiła przemówić tak pięknie, płynnie i podniosłe, że prawie jakby ksiądz na ambonie. Rządna przytem była bardzo, zawsze trzeźwa, zawsze czysta, zawsze spokojna.

Tylko się jej w małżeńskim stanie nie powiodło. Nie w pierwszej młodości poszła za męża, a to dla tego, że jedno kochanie długie a nieszczęśliwe wiele jej lat zjadło; potem znowu długo nic nie chciała słyszeć o mężczyznach i unikała nawet z nimi rozmowy ponad to, co było konieczne. Aż naraz podobał się jej strasznie furman, Baran.

Dlaczego on się jej tak strasznie podobał? Chyba dlatego, że był całkiem inny, niż ona, pod każdym względem. Ona była kobiecina szczupła, nieduża, jasna; on, chłopisko ogromne, tęgą jak wół, silny jak koń, czerwony jak rak, lawy pod nim trzeszczały, gdy siadał; ona cicha, pracowita, porządna, on hultaj ostatni, zawałdroga, próżniaczysko i pijak; miejsce co miesiąc zmieniał, wszędzie mu było źle, a już najmniej dwa razy na miesiąc w cyrkułe nocował.

Ostrzegali ją ludzie,—napróżno. Tak się w nim zaślepiała, że jedno samo dobre widziała.

Dopiero po ślubie otworzyły się jej oczy, jak już było po wszystkim.

Żyli z sobą niedługo, niecałe cztery lata,— a i co to było za życie, — jedna obraza boska. Baran ani na utrzymanie jej nie dawał, ani dobrem słowem nie uszanował, ani nawet wiary jej nie dochowywał. Po ślubie nie usatkwował się ani trochę i miejsca nigdzie zagrzezał; raz dostał miejsce doskonale w browarze — wypędzili go za awanturowanie się; drugi raz Barańska sama wychodziła mu miejsce przy fabryce: tu jeszcze gorzej, bo wypędzili go za złodziejstwo (a dobrze, że się to na wypędzeniu skończyło, bo mogło być gorzej).

Od tych czasów Barańska go już znieawidziła.

Aż raz, jak pojechał gdzieś miejsce szukać, tak i przepadł. Czy dostał miejsce, czy nie? Żyje, czy nie żyje? Nic nie wiadomo. Przepadł, jak ten kamień w wodzie.

Gadała Barańska do ludzi, co ją o niego zaczepiali:

— Wróci, toć wróci. Takie ziółko nie zaginie, nie.

Tymczasem zginął.

Kiedy już miesiące upłynęły, kumy ją czasem pocieszać chciały.

— Co wy też! — odpowiadała im prosto z mostu — a toć chwala Najwyższemu niech będzie, że mnie od tego huncwota oswobodził. Codzień się modłę, aby się jeno nie odnalazł.

Ta i owa przez głupią babską ciekawość wyciągnąć chciała coś z Barańskiej:

— Czy naprawdę zginął? Czy nie masz od niego żadnego listu, żadnej wieści, nijakiego znaku.

— Nie a nie, — odpowiadała gniewnie Barańska. — Może ta gnije gdzie we więzieniu, a może już go i powiesili.

Zła była, że ją o niego pytają; rada była wcale nie myśleć o galganie.

Galgan jednak pozostawił po sobie pamiątkę...

Mieli przedtem z sobą Barańscy dwie córki. Obie rychło im pomierały. Jedna ledwo że na świat przyszła, i zaraz trzeba ją było na Powązki zanieść. Druga roczku nie doczekała.

Rozpaczała po nich okrutnie Barańska, bo miała serce, pełne matczynej czułości.

— To za twoje szelmowstwa, ty, łotrze, tak nas Pan Bóg karze! — mówiła do męża, zanosząc się od płaczu.

I kiedy pierwszy ból minął, usiłowała przerobić go, nawrócić, do opamiętania nakłonić. Rozmawiała z nim długo i podniosłe, groziła ogniem piekielnym na całą wieczność, obiecywała uciechy niebieskie i kompanię aniołów. Ale to szkoda było sobie gębę psuć do takiego bydlaka. Słucha, słucha, mileczy — a potem idzie prosto do szynku.

Poczuwszy w sobie raz jeszcze błogosławieństwo Boże, napelniła się Barańska szczęściem.

— Żeby tak syn, Panienko Przenajświętsza!

Jakże-by go kochała! Jakby na niego chuchała! Jakby go w bojaźni Bożej wychowywała.

Jakie bo to życie samotnej kobiecie na świecie? O kim myśleć? do kogo serce przywiązać? Dla kogo się troskać i kłopotać? Dla kogo ręce aż po łokcie urabiać?

Ale była zarazem Barańska pełną strachu i niepokoju. Czarna myśl chodziła po jej rozpozgodzonej duszy, jak burzowa chmura po

niebie. A jeżeli i z tego jej ostatniego a jedyne go nie przeznaczonem jest pociechy się dochować? Jeżeli i to przyjdzie w trumienkę włożyć, jak dawnych dwoje, a na Powązki zawieźć, zanim „mamo“ do niej zaszczebiocze? Arko przymierza! Wieżo z kości słoniowej!

Aż w głowie jej powstał dnia jednego plan, który, niby słońce jasne swoje promienie na ziemię, tak spuścił nadzieję, radość i wiele dobrych myśli na jej dni. Ot, co Barańska zrobi! Jeżeli to będzie syn istotnie, to zanieś go do kościoła i połóż na ołtarzu, i ofiaruje świętemu Franciszkowi, aby go miał w mocy i opiece swojej, od złej przygody strzegł, nad dzieciństwem jego czuwał, łaskę dla niego w niebie zjednywał. I włoży Barańska na swego syna habit zakonny, brązowy, z kapturkiem, spadającym na plecy, w biodrach białym sznurkiem przepasany, ze zwieszonemi ku ziemi węzłami, taki sam, jaki nosi święty Franciszek na obrazach kościelnych, — i przez lat siedem chłopiec innego ubrania nie dostanie.

Byle chował się.

Tak sobie postanowiła.

A kiedy się z myślą tą już oswoiła, pewnego razu przyszła do niej inna, nowa, jasna i piękna, która olśniła jej duszę.

Podczas summy to było u Świętego Krzyża.

Ksiądz przy ołtarzu stał, ludzie pobożnie się modlili z pochyłonemi czołami, a na organach brzmiała modlitwa, pieśń, pełna głosów miękkich, a rzewnych, a rozczulających, a wchodzących do samej głębi człowieczego serca; zmieniały się te głosy, organy grały raz ciszej, to głośniej, raz grubiej, to cienie, raz prędzej, to wolniej, — a dusza Barańskiej, w głosy te zasluchana, zamodlona i zatopiona, uczyniła się miękka i gorąca, jak lza.

I zdawało jej się, że po raz pierwszy słyszy granie tak cudne, — i dziwiła się, że ręce grzesznego człowieka mogą podnieść modlitwę tak uroczystą, tak wielką, tak pełną nieba i świętości.

I wtedy pomyślała sobie, że gdyby Opatrzność zesłała jej syna tym razem, a święty Franciszek uchował go w zdrowiu, — to o jedno by się jeno śmiała Matce Boskiej naprzykrzać, o to, aby syn jej mógł się na organistę wychować, i w taki piękny sposób chodzić około chwały Bożej.

Jej syn? Organistą?

A godną-że ty się czujesz, kobieto, takiej szczególnej łaski niebieskiej?

Nie, nie czuje się Barańska jej godną, ale przez modlitwę, przez suszenie w piątki przez cały Post Wielki i przez Nowennę coroczną spodziewa się godną uczynić.

Modliła się też o łaskę nieba gorąco, gorąco.

I uprosiła sobie syna.

W czasie właściwym bowiem zjawił się w suterenie przy ulicy Sowiej, w domu powroźnika Millera, chłopak, a jędrny był i tłusty na podziw.

Chrzcziny Barańska wyprawiała sute, z dużą obfitością jadła (upieczono całą ćwiartkę cielęciny) i napoju, bo zdaleka na tę uroczystość się przygotowywała. Chłopcu dano imię jego dziadka, a ojca Barańskiej, o którym wspomnienie nosiła kobieta w duszy zawsze żywe, bo człowiek był porządny i pobożny. Na chrzestnych zaś uprosiła sobie nie byle kogo, bo kumem jej został pan Zaszczyński, malarz i kaligraf, kumą zaś pani Dzięcielińska, osoba wielce wymowna i właścicielka magla wiedeńskiego na rogu Bednarskiej.

Barańska nie posiadała się z radości, uśmiech z jej twarzy nie schodził, ścisła wszystkich, kto do jej łóżka podszedł, i marzenie swoje wbijała sobie coraz mocniej w głowę.

Organista!..

Przychodziło jej wprawdzie na myśl, że to nie jest taka łatwa sztuka chłopca biednej wyrobniczy wyprowadzić na sługę kościoła, że to nauki potrzeba, i duże koszta przyjdziełożyć.

Ale opanowała jej duszę teraz gołębia pogoda.

„Biedna ja jestem wyrobnicza, to prawda, — mówiła sobie — ale zarobić potrafię, i odłożyć potrafię, i grosz do grosza zebrać. Nie przepiję, nie przemarnuję.

„A przytem od czegóż dobrzy ludzie na świecie...

„Toć pomogą...

Dobrzy ludzie!

Poczęła wierzyć od tej chwili w dobrych ludzi, choć ich dotychczas nigdy jeszcze nie spotkała.

W tydzień po tych sutych chrzcinach, na których goście ubawili się dokumentnie, wstała Barańska z łóżka, ogarnęła się, dzieciaka w chustkę wełnianą owinęła, i pierwsze zaraz, słabe jeszcze kroki, poniosły ją do Świętego Krzyża, intency dopełnić.

II.

Przyjętą została widocznie ofiara Barańskiej, bo chłopak chował się zdrów, jak rydz, ciała mu przybywało prędko, silny był, bo jak co zacisnął w pięście, to trudno mu było odebrać, i nic mu nigdy nie szkodziło, — przez całą zimę żeby choć raz kaszlnął, — ani razu.

Po matce wziął oczy blade-niebieskie, po ojcu zaś mocne kości i szerokie usta, które trzymał zawsze otwarte, bo, natury będąc widocznie wesołej, śmiał się do wszystkich i do wszystkiego, do matki, do bab, do grzechotki, do własnej nogi i do ściany.

Chodzić zaczął prędko.

Mowa tylko przychodziła mu wolno i z trudem widocznym.

Inne dzieci w trzecim roczku wypaplą już wszystko, co im potrzeba, a on jedno tylko potrafi: otworzyć szeroko usta i powiedzieć:

— Maaa...

I nawet tego „maaa“ już drugi raz nie powtórzy, żeby się „ma-ma“ zrobiło.

Barańska, która na własne oczy tyle nie daje baczności, ile na każde poruszenie jedynaka, skarży się czasem leciuchno na jego małą rozmowność przed ludźmi.

— To i lepiej, że nie będzie wyszczekany, — pocieszyła ją pani Boberkowa, która od dwunastu już lat stale bierze Barańską do wielkiego prania. — Kto dużo miele ozorem, ten mało rękami.

Pani Dziecielińska zaś, chrzestna matka chłopca, powiedziała jej:

— A toć nie bójcie się, moja kumo, nagada się jeszcze dosyć w zyciu, nagada, ojoj!

Lżej się po tych słowach zrobiło na sercu zaniepokojonej matce. Jakoż chłopak niemową nie został.

Powoli, powoli, ale słów mu przybywało i doskonale umiał zawołać:

— Mamo, jeść!..

Albo:

— Mamo, ja chcę jeszcze!..

Kiedy zaś pani Swidrzyńska, obecna przy tem, zrobiła uwagę matce i chłopcu, że:

— Nie mówi się „chcę“, ale „proszę“.

Chłopak posłusznie wołał przez jakiś czas:

— Mamo, ja proszę jeszcze!

Ale potem zapomniał o tej przypadkowej lekcji dobrego wychowania i skrócił sobie fatygę, wołając po prostu:

— Jeszcze!

Matka dawała mu jeszcze i jeszcze, a Wawrzek, dostawszy mocnych zębów, nigdy nie dawał im długo próżnować. Apetyt miał doskonały i głębę pyzaty.

Choć w sztuce mówienia zrobił z czasem duże postępy, nie zapowiadał jednak maleć pyskacza, co mu tak pochwaliła była pani Boberkowa, żona rewirowego. Język mu się płatał, gdy przyszło coś dłużej opowiedzieć, a jeżeli chłopca spotkała gdzie, zdaleka od oka macierzyńskiego, jaka przygoda, gdy mu naprzykład guza porządne go nabito, albo rozerwano habit, można było Wawrzka przez pół dnia pytać, i nic się nie dowiedzieć.

A przegód chłopakowi nie brakło.

Wprawdzie Barańska rada była trzymać go ustawicznie przy swojej spodnicy, ale chłopak wołał z łobuziakami po Powiślu latać. Matka mu niby tego zabraniała, na podwórze co najwyżej wychodzić pozwalała, a już, broń, Boże, nad Wisłę; przykazywała też, aby kamieniami się nie ciskał, szczególnie zaś nie zadawał się ze znanym urwisem, Majorkiem, który, choć mały jeszcze pędrak, nikogo się już nie bał: ani ojca, ani matki, ani stójkowego, i wielu już dobrze dał się we znaki.

Zmiarkował jednak Wawrzek rychło, że, pomimo zakazów i nakazów matczynych, może robić, co mu się żywnie podoba, i korzystał szeroko z wolności. Nad Wisłę chodził, ile mu się podobało, ba! na Pragę się nawet parę razy zapuścił, do Parku Aleksandryjskiego, aby się z chłopakami wykąpać w wodzie i wytarzać w gorącym piasku.

Barańska, jak się o tem dowiedziała, aż ręce z przerażenia jakby do ukrzyżowania otworzyła:

— Jezu Chryste! — zawołała nieludzkim głosem. — Chłopak, co ty wyrabiasz! A toć ty-byś mógł utonąć!

I długo się uspokoić nie mogła, choć jej kuma jedna przekładała, iż ponieważ było to po świętym Janie i woda została ochrzczone, nie-przezpieczeństwo nie jest tak straszne.

Surowo mimo to zapowiedziała Wawrzkowi, że, choć nigdy jeszcze różgą nie dostał, nie miną go jednak wnyki, jeżeli się poważy raz jeszcze na Wisłę spojrzeć.

Zląkł się chłopak tego. Ale taką miał naturę, że, jak mu łobuziak który powiedział:

— Te... chodź!

To szedł zaraz i o nie nie pytał.

Kiedy więc zebrała się kupka urwisów i ułożyli sobie:

— Pójdźmy się kąpać!

Poszedł z nimi się kąpać. Matka zaś, dowiedziawszy się znowu o tem, znowu nagadała się strasznie, i nagroziła, ale obiecanych wyników nie sprawiła.

Z Majorkiem Wawrzek oczywiście zadawał się ciągle. Była bo to dusza chłopaków z całego Powiśla; prał on ich, co prawda, ile wlaźło, ale opiekował się nimi, prowadził ich po całym mieście, jak kogut kury, i zawsze coś nowego wymyślił. Na Wawrzka miał zaś oko bardziej, niż na innych, bo chłopak, który matki nie słuchał nic a nic, przyjmował każde słowo Majorka, jak świętość, i przytem wcale nie chował urazy za sprawionego sobie kopsa, choćby po nim przez tydzień nosił siniaki pod swoim brązowym habitem; wydawało mu się to jakoś rzeczą naturalną. Zadaleko niewątpliwie posunął-by się ten, kto-by twierdził, że Wawrzek kopsa lubił, faktem jednak było, że go nie unikał.

A gdzie on za Majorkiem nie laził!

Nie spotkał-byś go na Sowiej ulicy, ani na Browarnej, ani na Furmańskiej, ani nawet na Dobrej, — chyba że deszcz padał. W dzień pogodny, jeżeli nie był nad Wisłą, na Solcu, lub na Pradze, to szukać go było-by trzeba gdzie daleko na górze miasta, w Botanice, albo na Lesznie, ba! na Czystem, na Woli, na Powązkach.

Matka go często cały dzień nie widziała.

Przylatał wieczorem, o zmroku, zadyszany, spocony, brudny, często oberwany, i zaraz od progu:

— Mamo, jeść!.. — wołał.

Matka naprzód rozprawić się z nim musi:

— Gdzieżeś-to był?

Chłopak nie.

— Z Majorkiem pewno?..

Chłopak nie.

Dużo rzeczy Majorek Wawrzka nauczył, ale klamać go nie mógł nauczyć.

Pokrzyczy więc matka trochę, sentencję jaką moralną powie:

— Pamiętaj, chłopak, że kto nie słucha ojca, matki, ten będzie słuchał psiej skóry.

Potem ukroi mu chleba, masłem nasmaruje, a potem umyje, ucałuje, uściska, pacierz z nim zmówi, ułoży w łóżeczku i przeżegna na dobranoc.

Radzono Barańskiej nie raz jeden, aby chłopca do ochrony oddała. Nie chciała, bo wolała mieć chłopca ciągle przy sobie. Ale kiedy spostrzegła się w końcu, że chłopak i tak nigdy przy niej nie siedzi, a jeszcze kiedy zdarzyło się raz, że przyszedł do domu z głową rozciętą, jakby mu ją kto siekierą rozszczępił, z krwią zakrzepłą na włosach (a przyszedł, jakby nigdy nie, z najspokojniejszą miną), zrozumiała, jak dobre były to rady, i oddała chłopca do ochrony.

Winszowała też sobie tego długo.

Chłopakowi i opiekę przyzwoitą tam dano, i obiad, i liter go uczono, a co więcej, raz na tydzień przychodził ksiądz, i naprzód chłopców, a potem dziewcząt pacierza słuchał, tym zaś, co umieli pacierz aż do „Wierzę w Boga“, katechizm wykladał.

Bała się z początku Barańska, czy usiedzi chłopak w ochronie, czy go łobuzy nie wyciągną na bruk.

Ale nie. Chłopak najspokojniej co rano do ochrony się wybierał, wcale go pędzić nie było trzeba, i rychło o Majorku zapomniał.

Raz przyszedł chłopiec z ochrony i zawołał:

Mamo, a, b, c,
Chleba chce,
Syra nie pozuce
Bo sie dobrze uce.

Rozczuliła się na to Barańska, aż jej łzy w oczach się pokazały, kazała mu powtórzyć:

— Jakże to, Wawrzusiu, jakże to?

Przycisnęła go do piersi i dała trzygroszniaka na cukierki.

— Ucz się, moje dziecko, — mówiła potem do niego, nos głośno z tej rzewności ucierając, — ucz, bo twoja matka chce cię na wielkiego człowieka wyprowadzić.

Z abecadłem jednak Wawrzusiowi nie szło zbyt sporo.

Co niedziela otwierała Barańska książkę od nabożeństwa, i drutem od robienia pończoch wskazywała na karcie:

— Jaka to litera?

Wawrzusiu czasem zgadł, częściej nie.

Tak zimę całą abecadła się uczył, i jeszcze nie umiał paru dużych i wielu małych liter.

Znowu się zmartwiła Barańska.

— A jeżeli chłopak nie ma głowy do nauk?

Zdawała zaś sobie Barańska dobrze sprawę z tego, że do stanu organisty trzeba mieć głowę nie od parady.

Nie wydając się ze swoją myślą,—którą nosiła głęboko w duszy i nawet przed najzaufanyszymi słówka nigdy o niej nie pisnęła — poczęła z kumami o ochronie i o abecadle gawędzić (jako że od ludzi zawsze się czegoś pożytecznego dowiedzieć można).

Jedna kuma pocieszyła ją opowiadaniem o chłopaku rzeźniczki, który dwa lata już chodzi do ochrony, i często smarowania w domu od ojca dostaje za to, że ma taką tępą głowę,—a mimo to ani rusz nie może się abecadła nauczyć. Jeszcze jak przyjdzie po kolei, to jako tako, ale na wrywki...

Inna kuma pokiwała głową.

— Moiściewy,—rzekła—a co to teraz na świecie kto komu zrobi bez pieniędzy. Żle chyba. Wiadomo... za tani grosz psi mięso jedzą...

Wzięła to Barańska do serca i zaraz na drugi dzień poszła do pani z ochrony dwa złote jej zanieść. Ale pani z ochrony nie przyjęła dwóch złotych.

Skonfundowała się Barańska i coprędzej wyjęła rubla, jedyne-go, jaki miała, i na stole go rozłożyła.

Ale pani z ochrony nie przyjęła i rubla. Pogadala jeno łaskawie z Barańską, pochwaliła ją za tę chęć kształcenia syna, powiedziała, że teraz tylko jedna nauka na świecie znaczy, i obiecała zwrócić baczniejszą uwagę na Wawrusia.

— To jest dobre dziecko, — powiedziała o nim.

A Barańskiej jakby kto na sercu zagrał jaką słodką piosenkę.

Jakoż dotrzymała pani z ochrony obietnicy, bo Wawrusz w dwa tygodnie potem do syllabizowania przystąpił.

Przez cały ten czas, przez dwa lata, stary Baran nie dał o sobie znaku życia: ktoś coś tam bąknął kiedyś, że w Łodzi był podobno, w fabryce, i że stamtąd mieli go namówić za morze, do Ameryki. Podobne to było do prawdy, bo zawsze był to duch niespokojny, zmianę miejsca lubiący. Ale pewności nie było żadnej.

Zaszczyński raz poradził jej, żeby zameldowała w cyrkule, jako jej mąż od tyłu lat zaginął.

— Abo to w policyi nie wiedzą o tem?—rzekła.

— Juści wiedzą,—odrzekł Zaszczyński—ale tak, to go odszukają i dadzą wam znać, jako że jest tu i tu.

Wzruszyła na to Barańska ramionami.

— I co mi po tem, mój kumie. Abo mi to tak źle, abo mi lepiej będzie?

Wspominała go rzadko. Bywało czasem, że Wawrzek udźwignie faskę z mokrą bielizną, aż się inne kobiety zadziwią, iż mały taki mocny.

Barańska śmieje się z radości i powiada:

— O, siłacz będzie! Po ojcu wziął moc.

I szepcze sobie w duchu:

„Byle nic innego nie wziął po tym nicdobrego.

Wawrzek wiedział, że miał ojca, wiedział, że ten ojciec dawno gdzieś daleko poszedł, i wiedział jeszcze, że ojciec jego to był siłacz nad siłacze.

Raz, czy dwa, zapytał o niego:

— Mamo, a kiedy tata przyjdzie?

— Niedługo, niedługusieńko, — odpowiadała matka. — Tylko co go nie widać. Idź-że, wyjrzyj za bramę, może już idzie.

I rozważała sobie:

„Musi przepaść, bo przecie odezwał-by się bez tyle lat.

„A niech ta!

„Nikogo mi nie potrzeba, sama dam sobie radę, sama wychowam chłopca.

„I zadziwią się jeszcze ludzie, a pootwierają szeroko gęby, jak im kiedy zagra przesłicznie na organach ku Boskiej chwale.

Dotychczas wszystko szło pomyślnie; chłopak rósł zdrowo, aż i dorósł do wieku, ślubem przepisanego, kiedy trzeba mu było zdjąć habit, a włożyć kapotkę i spodni.

Barańska patrzyła na niego z czułością i zaufaniem, i szeptała sobie:

„Pokieruję ja cię na ludzi...

III.

Co innego przecież napisanem było w wyrokach Opatrzności.

Na jesieni, pewnego dnia dżdżystego, wietrznego, ponurego, — Wawrzek miał w tym czasie osiem lat ukończonych -- dostała Barańska klucia w piersiach.

Na razie powiedziała sobie:

— Eh! nic!

Ale klucie się wzmagało, tak, że musiała od balii odstąpić.

Zaraz jej bańki poradzono.

Ręką machnęła.

— Przejdzie samo do jutra.

Przeprosiła i poszła do domu, choć to było jeszcze kawał do wieczora.

Na drugi dzień przecież nie zrobiło się jej lepiej.

Poprosiła, żeby ją wysmarowano. Nic.

Zaraz też ją złe myśli obsiadły, i poczęła z niepokojem spoglądać na jedynaka.

Zdecydowała się i na bańki, ale już widać było, że czarną myśl miała w głowie.

Co chwila się ogląda, co parę minut woła:

— Wawrzus!

Do ochrony mu już pójść nie pozwoliła.

Chciał po obiedzie na podwórze wylecieć. Powiedziała mu płacziwym głosem:

— A toć-że mnie nie opuszczaj, dziecko kochane.

Nie pomogły i bańki, choć jej obstawiono calutką pierś i boki.

Nad wieczorem lzy puściły jej się z oczu, niby deszczowa woda z rynien.

Zaczęła jęczeć i narzekać:

— Jak ja, nieboga, cię tu ostawię... Kto się zajmie sierotą, kto cię przytuli... Nikogo nie masz na świecie, tylko mnie jedną... Dolaż moja, dola.

Kumy poczęły gderać na nią:

— Co wy też?!

— Głowę sobie po próżnicy nabijacie niepotrzebnymi myślami, tylko...

— Jutro do balii staniecie, a najdalej po jutrze. Popamiętacie moje słowa.

Barańska nie dała się pocieszyć.

— Oj, nie stanę ja już do balii, nie.

I znówu płacze i kładzie rękę na głowie jedynaka, który ogłupiałym wzrokiem wodzi dokoła.

Nazajutrz rano żadnego polepszenia nie masz.

Zaczęła teraz Barańska na męża pomstować okrutnie.

— Niepoń, huncwot! Nie będzie on chwały niebieskiej oglądał. Żeby się nie zatroszczyć, żeby nie zapytać. Tyle lat, tyle lat...

I zanosi się od płaczu.

— Komu ja tę okruszynę zostawię, nieboga, komu?

Po obiedzie nic — ani płacze, ani pomstuje, ani narzeka, gada tylko coś do siebie, gada.

Przysłuchali się ludzie: od rzeczy całkiem gada.
Jedno tylko słowo wyraźne raz po raz wraca jej na usta: „organista“...

— Księdza chyba prosi,— domyśliła się któraś z kum.

Ima, pocziwa, poleciała do parafii.

Przyszedł ksiądz, ale chorej wypowiadać nie mógł, bo już zupełnie od zmysłów odeszła, namaścił ją więc tylko olejami i modlitwy odmówił.

A dnia trzeciego dobrzy ludzie odprowadzili ją na wieczny odpoczynek za powąskowskie rogatki.

IV.

I został Wawrzek sierotą.

Matka na Powązkach, ojciec sam Bóg wie tylko gdzie, naokoło ludzie obcy wszystko.

A tu zima ciągnie.

Ci, u których w suterenie matka mieszkała, zabrali sobie jej łóżko, pościel, bieliznę, odzienie i tę trochę sprzętów, co miała. Za komorne niby, czy za co... za głupi był Wawrzek, aby mu ta mówić o tem.

Ale mu przynajmniej pozwolono przychodzić do sutereny na noc i przesywać się w kąciuku.

We dnie do ochrony chodził, gdzie ciepło było i gdzie w południe dawano mu pełną miseczkę gorącej zupy.

I tak jakoś szło.

Ale od Nowego Roku ci ludzie, co mu w kąciuku sypiać pozwolili, przeprowadzili się gdzieś na Waliców.

A Wawrzek pozostał na Sowiej.

Nowa baba, co się do sutereny wprowadziła, won go wyгнаła. Po sieniach więc nocował.

Schudł, nieboże, zmizerniał, wpadły mu niedawno pyzate policzki, a gęba jakby się większa jeszcze zrobiła. Szyja mu grubo brudem narosła, ubranie się oberwało, oczy podsiniały.

Zresztą, nie wyglądał zmartwiony, ani nieszczęśliwy, tylko głodny i ogłupiały.

Czasem go która baba z litości pożywiła, kawał chleba mu wsunęła, albo jaką starą koszulinę podarowała.

Ale litość ludzka jest krótka.

Chłopak zaś niezaradny był dziwnie, nie sobie pomódz nie potrafił, — cała jego siła była w wytrzymałości.

Jedno, co mu raz w głowinie zaświtało, było to :

„Do ojca!

Poszedł więc do jednej baby, którą pamiętał, że często się z matką jego zadawała, — o ojca pytać.

Baba żałośnie na niego popatrzyła, zawołała do izby, kazała się rozebrać, wyszorowała mu szyję i głowę mydłem z gorącą wodą, wyczesala łeb gęstym grzebieniem, dała zupy, kawałek mięsa, ogromny pac chleba, i wyprawila, nie powiedziawszy, gdzie jest ojciec.

Więc już się tem więcej nie martwił.

Tak przeżył zimę i kawał wiosny.

Aż dnia jednego szczęście samo do niego przyszło.

Włócząc się po ulicach miasta, jak błędny pies, bez planu i bez celu, spotkał znajomą sobie, choć dawno już niewidzianą twarz.

— Teee! — zawołał.

— A co? — zapytał zaczepiony.

Wawrzek długą chwilę zastanowił się nad tem, co odpowiedzieć.

— Ja cię znam, — rzekł wreszcie.

— Znasz mnie?

— Znam.

— A skąd?

— Z Sowiej. Ty jesteś Majorek.

— A ty kto jesteś?

— A Wawrzek.

— Co za Wawrzek.

— Wawrzek Barański.

— Od praczki?

— Od praczki.

— A gdzie masz długą kapotę? Gdzie masz kapturek? Gdzie masz ogórki?..

— Nie mam.

— Nie masz?

— Nie mam.

— A gdzieś podział?

— Nie wiem.

— Nie poznałem cię, brachu, takiś duży.

— I ty jesteś duży.

— O, ja jestem większy od ciebie.

— Ba!

— A co ty robisz?

- A nie.
- A gdzie mieszkasz?
- A nigdzie.
- Nie u matki?
- Matka mi umarła.
- Umarła... A dawno?
- Na jesień.
- Na jesień... A nie masz ciotki?
- Nie mam.
- Ani wuja?
- Nie.
- Nikogo nie masz?
- Nikogo.
- Toś ty sirota?
- A sirota.

Majorek popatrzył na niego z podełba przez dłuższą chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, coś w głowie ważył.

- I nic nie robisz?
- Nic.
- Włóczyś się tak z kąta w kąt?
- Tak...

Majorek po ramieniu poklepał go ostro.

- Ty się, brachu, nic nie bój!..

Wawrzek bąknął:

- Ja się nie boję.
- Wiesz ty, gdzie jest Włodzimierska?
- Wiem.
- A wiesz, gdzie jest cyrk Salomondra?
- Nie.

— To jest na Włodzimierskiej. A wiesz ty, gdzie ja teraz jestem?

- Nie wiem.
- Ja, brachu, jestem ci w cyrku.
- W cyrku?
- W cyrku Salomondra. A wiesz, co ja robię?
- No?
- Ja ci tera sztuki pokazuje.

Wawrzek spojrział z podziwem na Majora. Pokazywanie sztuk widział on nieraz, bo pajace wędrowni zaglądali czasem na Powiśle, i bywało, że nawet na podwórzu domu powroźnika Millera, przy So-wiej ulicy, rozłożyli swój dywan. Jak wszystkie chłopaki, tak i Wawrzek uważał ludzi, którzy umieją włożyć głowę pomiędzy nogi i cho-

dzić na dłoniach, za istoty najszcześniejsze i najdoskonalsze, za kwiat ludzkości.

Zaświeciły się więc Wawrzkowi oczy na to, co od Majoroka usłyszał.

A nie zdziwił się temu wcale, — bo uważał oddawna Majoroka za istotę, zdolną do największych czynów.

Po chwili milczenia zapytał:

— I ty potrafisz tak koziołki fikać.

— Jakbyś wiedział, frajerze. Żebym chciał, to-bym bez tę kamienicę fiknął.

Wawrzek oniemiał z podziwu.

Majorek tymczasem nachylił się nad Wawrzkiem, i poufale a w pół tajemniczo objął go ramieniem za szyję.

— Słuchaj, brachu, ja ci pedam, ty się nic nie bój. Przyjdź jutro na Włodzimierską, do cyrku Salomondra. Ja powiem, że ty jesteś mój brat, to i ciebie przyjmą. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— A przyjdiesz?

— Przyjdę.

— Jutro rano.

— Dobrze.

Puścił jego szyję i obejrzał go uważnie.

— Ty, brachu, idź teraz do domu, zreperuj sobie portki, umyj się czyściutko, jak szkło, a jutro to tylko zapytaj: gdzie tu jest pan Majorok? Zara ci pokażą, bo mnie tam wszyscy znają.

Uszczęśliwiony Wawrzek już tylko głową kiwnął.

Tymczasem Majorek nabral jakichś dziwnych podejrzeń. Począł Wawrzkowi patrzeć w oczy bystro.

— Przyjdiesz? — zapytał jeszcze.

— Przyjdę.

— Jutro rano...

— Wiem.

Majorek pokazał mu pięść.

— Pamiętaj, obiecałeś, — rzekł groźnie do ogłupiałego tym tonem chłopaka, — a jakbyś nie przyszedł, to-bym ci wszystkie zęby z mordy powybił, co do jednego.

— Ale przyjdę, — zapewnił go najszczerzej, jak mógł, Wawrzek.

Majorek wziął go za rękę.

— No, przysięgnij się, — rzekł.

— Na co?

— Na Boga.

Wawrzek zaprzysiął się [na Boga, uderzając się pięścią w piersi...

Mimo to Majorek powiedział mu jeszcze na odchodnem:

— Pamiętaj! Bo ja cię wszędzie znajdę! Przede mną się nie schowasz! Ty mnie znasz.

V.

Ulica Włodzimierska w owych czasach była pusta, odludna, niezabudowana i nie zamieszкана; wzdłuż trotuarów ciągnęły się place, jedne oparkanione, inne nie, pozarastałe dziką trawą i chwastami. Na jednym z tych placów stał budynek duży, drewniany, prowizoryczny, z okrągłą kopułą; pokrytą czarną, smołowcową papą, z obszernym, szerokim przedsionkiem, nad którym rozciągnięto płótno z pomalowanymi głowami końskimi i napisem „Cyrk Salamońskiego“. Liczne wejścia i kilka kolorowych dużych afiszów ożywiało tę brzydką, niezgrabną budę.

Stała ona tu sama, jakby za miastem, puste place mając z prawej strony, z lewej strony, za sobą i przed sobą po drugiej stronie ulicy.

Wawrzek był tu już ledwie słońce wstało. Rano, bo rano. Spać nie mógł tej nocy, choć sobie wyszukał doskonały nocleg, pomiędzy deskami w składzie drzewa na Dobrej. Portek sobie nie zreparował, bo nie miał czem, a choćby i miał, to-by nie potrafił. Ale ranną rosą wypucował się, jak umiał.

Cyrk znalazł łatwo, ale wejść do niego nie śmiał.

Stanął więc przy parkanie opodal i czekał cierpliwie.

Czekał tak długo, aż chłopaki różne zaczęły w tę stronę ściągając i na około cyrku w małe i większe kupki się rozstawiać. Jedni grali w ciupy, drudzy się mocowali, inni nie, tylko rozmawiali.

Paru z nich spostrzegło Wawrzka i podeszli do niego.

— Ty tu czego?—zapytał jeden z nich groźnie.

Wawrzek nic.

— Poczęstuj go Kaźmierzem—poradził inny.

Tamten zaczął się oglądać po ziemi, szukając kamienia.

— A co ty nie umiesz otworzyć pyska?—zapytał inny.

— Umie—odpowiedział pokornie Wawrzek.

— No, to gadaj, czego tu szukasz?

— Majorka.

— Majorka? A po co?

— Kaźmierzem go!

— On mi kazał przyjść.

Jeden z chłopaków jak nie wytnie Wawrzka z tyłu niespodzianie w ucho—aż mu czapka zleciała na ziemię.

Schylił się po nią Wawrzek przeciotko

— He, mam Kaźmirza!—odsuńcie się!—zakomenderował inny.

Ale jeden z chłopaków stanął w obronie Wawrzka.

— Nie, nie—rzekł—jak jemu Majorek kazał przyjść, to wy jemu lepiej dajcie pokój.

Popatrzyły chłopaki na Wawrzka i odstąpiły go.

A on dalej czekał.

Aż tu i Majorek idzie.

Podszedł zaraz do niego.

— Przyszedłeś?—zapytał Majorek.

— Przyszedłem.

— To dobrze.

Obejrzał go od dołu do góry.

— Portek nie zreparowałeś? Kazałem ci przecie.

— Nie miałem czym.

— Nie umyłeś się!?

— Umyłem.

Pomruczał Majorek, zaprowadził go pomiędzy chłopaków, wybrał jednego, kazał mu pożyczyć Wawrzkowi portek, sam pożyczył mu swojej własnej czapki i tak ogarniętego zaprowadził do cyrku, do jakiegoś czarnego pana.

Czarny krzyknął na Majorka, że już ma dosyć chłopców, ale Majorek nderzył w prośby, powiedział, że to jest jego brat; więc czarny, żeby się odczepić, machnął ręką i zapisał Wawrzka na liście.

Majorek wyprowadził Wawrzka na ulicę.

— Widzisz—rzekł mu—przyjęli cię do cyrku; będziesz występował, dadzą ci takie śliczne ubranie, jakiego w życiu nie widziałeś. A ja cię biorę na mój wikt. Masz tu na dziś dwie ulęgałki. A teraz czekaj i rób, co ci każe.

Do chłopaków Majorek krzyknął:

— Wara od niego, bo to mój brat!

Chłopaki spojrzały na Wawrzka z uszanowaniem; ten, co mu pożyczył portek, przypomniiał o oddaniu z taką pokorą, jakby o łaskę prosił, a ten, co chciał Wawrzka niedawno „kaźmierzem“ poczęstować, przystąpił teraz do niego z uśmiechem i zrobił słodką wymówkę:

— Czemuś, brachu, tego odrazu nie powiedział.

Zaczął się odtąd dla Wawrzka inne życie.

Cyrk Salamońskiego przygotowywał wielką, publiczności warszawskiej nieznaną, pantomimę, osnutą na tle znanej bajki i zatytułowaną: „Kopciuszek, czyli czarodziejski pantofelek“. W tym celu zebrano z ulicy setkę bez mała łobuzów i z tuzin dziewczynek, aby udawali rycerzy, szambelanów, paziów, zbójów i damy dworu.

Czarny miał nad nimi komendę. On ich przyjmował, zapisywał, oceniał, rozdawał role i musztrował co dzień po parę godzin, na arenie cyrkowej.

Najsprytniejszym chłopcom dano rolę zbójów.

Wszyscy się do tego rwali, bo zbójom dano duże sekate tekturowe pałki, któremi się wywijano nad głową, papierowe sztylety srebrną farbą pomalowane, do zatknięcia za pas, i długie buty.

Majorek został dowódcą rozbójników.

Mniej sprytnym kazano udawać dworzan. Uczono ich chodzić w takt, przystawać co kilka kroków, kłaniać się trójgraniastym kapeluszem, podnosić ten kapelusz do góry i wykręcać się na obcasie wokół.

Najgłupszy byli paziami.

Tym kazano tylko nie deptać sobie po piętach, stać spokojnie, gęby nie rozdziawiać i nie rozglądać się dookoła.

Wawrzek został zaliczony do paziów.

Dano mu istotnie tak piękne ubranie, jakie chyba tylko na malowidłach widział: bluzkę zieloną z białymi bufami, krótkie, ale bardzo szerokie spodnie, długie, czarne, aż za kolana pończochy, trzewiki ze stalową klamrą i piękną czapkę z pawiem piórkiem.

Uszczęśliwiony był tem okrutnie i trudno mu było od uśmiechu się wstrzymać.

Czarny musiał mu po kilka razy na próbie przypominać:

— Zamknąć gębę.

A i na przedstawieniu nakazywał to samo surowem spojrzeniem.

W noc, kiedy już skończyło się wesele, na którym szczęśliwy Kopciuszek wychodzi za mąż za królewicza, każdy z dworzan, rycerzów, paziów i zbójów był obowiązany szaty swoje, starannie je złożonywszy, Czarnemu oddać.

Wtedy otrzymywał dziesiątkę.

Jeden tylko paź królewski, choć wiernie służbę swoją pełnił, coraz rzadziej pozwalając sobie w obliczu dworu na rozdziawianie gęby — zapłaty nie otrzymywał.

Był to Wawrzek.

Po pieniądze zgłaszał się zawsze do Czarnego Majorek, który dostawał co wieczór dwie dziesiątki: jedną „za siebie“, a drugą „za brata“.

Czarny płacił obojętnie; jemu było wszystko jedno.

Wawrzek zaś ani pary z ust nie wypuścił.

Miał za to Majorek oko na niego. Darował mu swoją starą czapkę i prawie codziennie dawał mu coś do jedzenia: to wiśni parę, to ogryzek od gruszki, to skórkę chleba, raz nawet dał mu całą czapkę nie-dojrzałego agrestu.

Zresztą postępował z nim ostro:

Mówił do niego zawsze groźnie, z namarszczonymi brwiami, z zaciśniętą pięścią.

Żeby zaś Wawrzkowi nie przyszło na myśl postawienie się kaniem, przyczepiał się do niego Majorek o byle co od czasu do czasu, i przynajmniej raz na tydzień ucziwego mu wyprawiał kopsa.

Nie było to jednak rzeczą konieczną, bo Wawrzek o buncie ani zamarzył.

Rad był chłopak, że gdzieś przy czemś wisi. Nie oddalał się od cyrku, we dnie kręcił się dokoła budy, w nocy spał tu, z głową o drewnianą ścianę opartą. Oswoili się z nim cyrkowi posługacze i parobcy i poczęli go na posyłki używać. Przynosił im papierosy z dystrybucyi, piwo z szynku, wędzonkę od rzeźnika; potem kazano mu buty czyścić, brudy wylewać, przynosić świeżej wody dla psów i małą, zamiatać przejścia.

A za to, jeżeli który z posługaczy czego nie dojadł lub nie dopił, to już było święcie Wawrzkowe.

W końcu, kiedy sprawdzili, że chłopak papierosów nie pali, pozwolili mu nocować w stajniach.

Wcale mu było teraz dobrze.

VI.

W cyrku Salamońskiego znalazł jeszcze Wawrzek przyjaciela, prawdziwego przyjaciela.

Był to chłopiec mały, szczupły i słaby, ale roztropny i sprytny. W pantominie on to szedł pierwszy na czele dworzan, a tak się kłaniał i tańczył, jak może żaden inny.

Pewnego razu, kiedy przedstawienie się skończyło, zbliżył się on ukradkiem do Wawrzka i zapytał:

— To ty tu sypiasz?

— A tu.

— To tu można nocować?

Wawrzek nie wiedział, co mu na to odpowiedzieć, a ponieważ czuł, że coś odpowiedzieć trzeba, odpowiedział więc to, co mu przyszło najłatwiej:

— Można.

— A to ja tu zanocuję z tobą.

Wawrzek nie na to.

Chłopak ukrył się zręcznie w cieniu, kiedy posługacze przechodzili, a potem wśliznął się do Wawrzkowego kąta.

— Jak tobie na imię?

— Wawrzek.

— A mnie Józiek.

Wawrzek zapytał go:

— Ty sierota jesteś?

— Nie.

— A nie masz gdzie nocować?

— Ja mam, ale mieszkam daleko i nie chciało mi się na noc chodzić do domu.

— Daleko?

— Daleko. Za Pragę jeszcze, het!..

Nazajutrz pomógł Józiek Wawrzkowi buty poczyścić służbie.

A potem przyznał mu się do wszystkiego.

Nie mieszka on za Pragę, nie. Mieszka na Żelaznej. Ale ojciec ożenił się niedawno z macochą i macocha co dzień to coś na Józka poskarży. Ojciec więc zrobił się teraz zły i za byle co go bije. Więc Józiek uciekł z domu.

Ma on jednak we Włocławku dziadka i babkę, rodziców mamy, więc sobie uskłada na bilet i pojedzie do nich.

A tam ci mu będzie dobrze dopiero, bo go dziadek i babka bardzo kochają.

Opowiedziawszy swoje nieszczęście, wypytał Józiek i Wawrzka o jego dzieje.

Tylko, że Wawrzek wymowny nie był i jedno z drugim prawie nic mu nie opowiedział.

— To ty sierota jesteś?— wyrozumiał Józiek.

— A sierota.

— Nikogo nie masz?

- A nikogo.
- Brata jednego tylko?
- I brata także nie mam.
- A Majorok? to nie jest twój brat?
- Nie.
- Patrzaj! A bez co on za ciebie pieniądze bierze?
- A tak...
- A daje ci co z tego?
- Nie.
- Nigdy?
- Nigdy.
- Ani grosza?
- Ani grosza.
- To ty, głupi, powiedz Czarnemu, to on tobie będzie dawał dziesiątkę.
- Boję się.
- Czego?
- Majoroka.
- No co, zbije cię. To niech zbije. To raz. A ty pieniądze będziesz brał ciągle.

Ogromnie go Józiek namawiał do tego. Ale Wawrzek nie śmiał.

Więc Józiek powiada:

— To ja powiem.

Wawrzek nic.

Poszedł Józiek i powiedział.

Tego wieczora Czarny wypłacił Majorkowi dziesiątkę, a kiedy ten jeszcze rękę niezamkniętą trzymał, odgarnął go Czarny, nic nie mówiąc, mocno na bok, na Wawrzka kiwnął i wetknął mu dziesiątkę w łapę.

Majorek spojrzał na Wawrzka, jak wściekły wilk.

— To tak! to tak! to tak!—wołał—No, poczekaj! poczekaj! popamiętasz ty mnie, ty złodzieju!

Józiek pocieszał Wawrzka w kącie:

— Nic się nie bój! Co on ci zrobi?!

Wawrzek odpowiadał mu:

— Ja się nie boję.

Ale się bał.

Myślał, że jeżeli wpadnie kiedy Majorkowi w ręce, gdzie na odludnej ulicy, to ten go żywcem nie puści.

Strzegł się też okrutnie, aby się z nim nie spotkać.

Tymczasem raz, kiedy leciał do dystrybucyi, posłany po papierosy, najniespodziewaniej wleciał na Majorka na samym rogu Świętokrzyskiej.

Struchlał.

A tymczasem Majorek nie mu nie zrobił. Nawet mu kopsa nie sprawił.

Dla Józka miał Wawrzek wdzięczność i robił, co ten mu kazał. Latał też na posyłki tak dobrze dla niego, jak i dla cyrkowych parobków.

Teraz, kiedy dawano mu jeszcze (do tego co nie dojedzono i nie-dopito) co dzień dziesiątkę, całutką dziesiątkę, dola Wawrzkowa poprawiła się ogromnie. Za radą Józka sprawił sobie w niedzielę na Sewerynowie nowe buty za dwa złote i chodził w nich po świecie bardzo siebie pewny, z półotwartą zawsze z uciechy gębą i ze śmiejącemi się ciągle oczyma.

VII.

Ani Wawrzek, ani Józiek, w tak wczesnych latach własnemu przemysłowi na wychowanie oddani, nie spodziewali się w cyrku, tak, ni stąd ni z owąd, znaleźć opiekuna.

Nie zawsze ten tylko znajduje, kto szuka. Tak i chłopcy trafili na opiekuna, wcale nie poszukując.

Było to ku schyłkowi cyrkowego sezonu. Salamoński za tydzień wyjeżdżał z Warszawy, a tymczasem ogłaszał na afiszach „wielkie, świetne, pożegnalne, nieodwołalnie ostatnie przedstawienie“.

Józiek się strasznie martwił. Co on będzie robił, jak cyrk zamkna? Do domu nie wróci za nic.

Bo i do kogo?

Do macochy...

Albo do ojca, który go na leśne jabłko zbije za to, że uciekł...

Nie, nie...

Do Włocławka tymczasem ani marzenia jechać. Józiek miał oszczędzać na bilet. I dużo oszczędził? Cztery grosze. Wszystko wydawał, czy było potrzeba, czy nie.

Mówił nieraz do Wawrzka:

— Co my zrobimy, jak cyrk zamkna?

Wawrzek nie na to odpowiedzieć nie umiał. Co on zrobi? Nie myślał o tem nigdy.

Otóż pewnego razu podszedł do nich stary klaun, z pomarszczoną twarzą, uśmiechnął się do nich, pogłaskał jednego i drugiego, i łamanym językiem zapytał parę razy:

— Dobrze? Dobrze?

Józiek domyślił co on gada, jako sprytniejszy, i jako śmielszy odpowiedział:

— Dobrze.

Stary klaun znowu ich pogłaskał i dał po czterdziestówce każdemu.

Chłopacy ogłupieli z radości.

— Co on się pytał?—szepnął Wawrzek.

— On się pytał, czy nam dobrze w cyrku—objaśnił go z pewną miną Józiek.

Obadwaj chłopcy znali tego klauna.

Widywali go na cyrkowej arenie, jak rzucał się niby opętany, jak skakał, wrzeszczał, figle wyprawiał, z gębą osypaną mąką, w szerokich portkach w różnokolorowe łaty. I widywali go na korytarzach cyrku, w stroju zwykłym, jak chodził powoli, przygarbiony, ponury, odęty, jak nasuwał krzaczaste brwi nad przenikliwemi czarnemi oczyma tak jakoś groźnie.

Oni się nawet trochę go bali.

Ale teraz, o! teraz co innego.

— Ten ci jest najlepszy ze wszystkich — powiadali sobie o nim.

Nazajutrz stary błazen znowu do chłopaków przystąpił

— Dobrze?! Dobrze?!

Odkrzyknęli mu teraz obadwaj śmiałym głosem:

— Dobrze!

On znowu:

— Dobrze!? Dobrze!?

Oni znowu:

— Dobrze!

I jeszcze raz dał im po czterdziestówce!

Na drugi dzień wyprowadził ich z cyrku na miasto, poszedł z nimi do żyda, kupił jednemu i drugiemu kompletne ubranie: surducik, kamizelkę, spodnie, pasek, czapkę z daszkiem i buty; a potem zawiózł ich dorożką do restauracyi, gdzie kazał im jeść, ile tylko wlezie.

Chłopey, którzy oddawna nie wiedzieli, co to znaczy najęść się do syta, weinali aż im się uszy trzęsły, a stary klaun uśmiechał się do nich i pytał od czasu do czasu:

— Dobrze?! Dobrze?!

Odpowiadali mu z całą głębią przekonania.

— O! dobrze!

Po przedstawieniu znowu kiwnął na nich, zaprowadził ich do swego mieszkania i kazał spać na kanapie.

Chłopcom się zdawało, że to sam Anioł stróż wstąpił w ciało starego błazna cyrkowego.

W trzy dni potem cyrk Salamońskiego został zamknięty, a stary klaun powióził chłopców na kolej, wsadził ich do wagonu i wywiózł z Warszawy. Pokazał im przytem na migi, aby nic do siebie nie gadali. I on nic do nich nie gadał. I tak jechali całą noc. Kiedy się rozwidniło, poznał Józiek po mowie ludzi, którzy z nimi jechali, że są już w obcym kraju.

Stary klaun teraz dopiero uśmiechnął się do nich, jak dawniej, i zapytał:

— Dobrze?! Dobrze?!

Wawrzek odpowiedział śmiało:

— Dobrze!

Józiek, nawpół markotny, powtórzył za nim mniej pewnie:

Doobrze!

...I jechali tak długo, długo...

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W sprawie emigracji włościańskiej w Brazylii.

Przed kilku laty, powróciwszy z drugiej mojej podróży za Ocean, podałem na kartach „Biblioteki Warszawskiej“ pierwsze autentyczne wiadomości o losach emigrantów polskich, zagnanych przez agentów Hamburgskiego Towarzystwa żeglugi do brazylijskich lasów w latach 1891—92. Informacje bowiem, zgromadzone przez p. Dygasińskiego podczas sześciotygodniowego pobytu w stanie S-ta Catharina, które swojego czasu tyle narobiły wrzawy, dalekimi były od dokładności; kilkutygodniowa znów wyprawa ks. Chełmickiego i p. Glinki, podjęta w celu stłumienia ruchu emigracyjnego przez sprowadzenie napowrót do kraju kilkuset „odstrasających przykładów“, z samego założenia swego musiała przedstawiać stan rzeczy w barwach najczarniejszych. Zresztą, zbyt krótki pobyt na miejscu (p. Glinka był jedynie w okolicach Rio de Janeiro, a ks. Chełmicki bawił za-

ledwie kilka dni w Curitybie, poświęciwszy swój czas głównie zbadaniu stosunków, panujących na plantacjach kawowych w Sant-Paulo i w centralnych przytułkach emigranckich) nie dozwolił im ocenić wszechstronnie położenia i przejść z emigrantami przez wszystkie etapy ich ciernistej drogi, od chwili wylądowania w Rio, aż do stanowczego osiedlenia wśród puszczy.

Książki pp. Dygasińskiego i ks. Chełmickiego o Brazylii osiągnęły cel swój, którym było stłumienie gorączki emigracyjnej; posiadają, jak należało oczekiwać po piórach tak wytrawnych, znaczną wartość literacką; ale spokojnej, rzeczowej oceny ruchu przesiedleńczego, jego przyczyn i środków zaradczych przeciwko niemu, naprózno-by kto tam szukał. Obaj autorowie stoją na stanowisku bezwzględnej negacyi, żądając bezwarunkowego stłumienia żywiołowego ruchu, którego nawet bagnety i kule karabinów wojskowych powstrzymać nie były w stanie, i upatrując w ruchu tym, mającym bardzo zawile przyczyny natury społecznej i ekonomicznej — jedynie czynnik sztucznej agitacyi Towarzystw przewozowych w Bremie i Hamburgu.

Co prawda, pogląd ten w owym czasie był tak popularnym, że nieliczni jego przeciwnicy, odezwać się nie mieli odwagi. Trzeźwa ocena faktów nastąpiła u nas dopiero w parę lat później, kiedy emigracya utraciła swój charakter gorączkowy i popłynęła spokojniejszym łożyskiem, w prasie zaś zaczęły się zrzadka odzywać obiektywniejsze głosy poważnych ekonomistów o rzeczywistych przyczynach ruchu przesiedleńczego wśród naszych włościan, i sposobach racjonalnego leczenia tej choroby społecznej.

I.

W roku 1892, udając się na dłuższą podróż do Ameryki Południowej, poświęciłem cztery miesiące czasu na poznanie wszystkich okolic brazylijskiego stanu Parana, w których wychodźców naszych osiedlono, i byłem świadkiem założenia rozległej sieci kolonii rolniczych, które dzisiaj dorobiły się już niezależnego bytu, a nawet pewnej zamożności. Sprawozdania moje z tej wyprawy, słusznie, czy niesłusznie, wyrobiły mi w kraju opinię rzeczoznawcy spraw emigracyj-

nych, czemu mam do zawdzięczenia, oprócz wielu osobistych przykrości, także ostatnią wyprawę moją do kolonii polskich, w charakterze specjalnego delegata galicyjskiego rządu krajowego.

Od szeregu lat sprawą emigracyi włościańskiej, poruszoną przez d-ra Stanisława Klobukowskiego na drugim zjeździe ekonomistów i prawników polskich we Lwowie, zajmowało się gorliwie kółko ludzi dobrej woli, zgromadzonych około „Gazety handlowo-geograficznej”, pisma, wydawanego dla idei, przez kilku zapaleńców, którzy stawiają wyżej dobro publiczne nad osobistą wygodę, i walczącego do dnia dzisiejszego ze stałym deficytem, Grono to, zawiązawszy się w „Polskie Towarzystwo Handlowo - geograficzne”, usiłuje dotąd na niewdzięcznym gruncie galicyjskim, nieposiadającym ani handlu, ani przemysłu, stworzyć ruch eksportowo - importowy do kolonii amerykańskich, jak dotychczas bezskutecznie. Z szerokiego zakresu czynności tego Towarzystwa, pozostających dotychczas, dla braku środków do ich wykonania, na papierze—jeden dział tylko rozwinął nadzwyczaj ruchliwą i skuteczną akcyę: dział emigracyjny, który sobie wytknął za cel rozciągnięcie opieki nad tłumem wychodźstwem polskim, zarówno w kraju, jak za granicą.

Redakcyja „Gazety Handlowo - geograficznej”, siłą rzeczy, stała się biurem informacyjnem, a członkowie jej bywali podczas ostatniej gorączki emigracyjnej wprost obłożeni przez tłumy włościan, zwłaszcza Rusinów, dopytujących się o szczegóły zamorskiego szczęścia. Wtedy powstała niespodzianie „filia lwowska austriackiej filii Towarzystwa imienia św. Rafała do opieki nad niemiecko-katolickimi wychodźcami”. Centralny zarząd owego Towarzystwa mieści się w Berlinie, generalnym sekretarzem jest poseł do parlamentu niemieckiego, p. Cahenzly, prezesem filii austriackiej książę Schwarzenberg w Wiedniu, od obu więc powyższych dygnitarzy trudno, zaiste, było się spodziewać skutecznej pomocy czynnej dla wychodźców polskich, wyzyskiwanych przez hamburskich i wiedeńskich oszustów.

Na czele owej filii filii i t. d., stanął kuzyn namiestnika i marszałek powiatu Przemyskiego, hr. Potulicki, w skład zarządu zaś weszli pomiędzy innymi: ks. Paweł Sapięha, znany ekonomista prof. Tadeusz Pilat, członek wydziału krajowego E. Jędrzejowicz, poseł dr Wielowiejski, kilku wyższych duchownych obu obrzędów i t. d.

Pierwsze zaraz dni istnienia nowego Towarzystwa zaczęły wykazywać, iż podjęto pracę nad siły. Wyczytawszy w dziennikach ogłoszenie o zawiązaniu Towarzystwa opieki nad wychodźcami, kandydaci na emigrantów—a były ich tysiące—literalnie zarzu-

cili je prośbami o informacje, których nieobeznani dostatecznie ze sprawą członkowie komitetu udzielić nie byli w stanie.

Po paru miesiącach wahania postanowiono wreszcie wejść w porozumienie z Towarzystwem handlowo-geograficznem, i w tym celu komitet Towarzystwa św. Rafała zaprosił prezesa Towarzystwa, hr. Tadeusza Dzieduszyckiego, i mnie, w roli rzeczoznawcy, na posiedzenie, na którem, pomimo ostrzegających przedstawień z mojej strony, postanowiono nie tylko udzielać informacji i ułatwić emigrantom wyrobienie pasportu, ale wprost zająć się bezpośrednio ich ekspedycją. Przewidywałem, że się to źle skończyć może, ale, wybrany do komitetu, od obywatelskiej pracy usuwać się nie chciałem.

W marcu 1895 roku, lwowski komitet św. Rafała wysłał mnie do Włoch, w celu zbadania pokątnych dróg, jakimi emigranci galicyjscy do Brazylii uciekali, i wywiedzenia się prawdy u źródła o ulgach przewozowych, udzielanych jakoby emigrantom przez konsulát brazylijski w Genui.

Okazało się, iż dwie główne agencje emigracyjne: niejakiego Sylvio Nodari i Gergoleta, mieściły się w Udine, skąd przez bardzo sprytnie zorganizowane podagentury wywiedziawszy się o nazwiskach nieraz wszystkich włościan w rozmaitych gminach, rozsyłano im prospekty, a za opłaceniem małej zaliczki—okrętowe karty wolnej jazdy przez Genuę do Rio Janeiro.

Przy uprzejmej pomocy generalnego konsula austro-węgierskiego, radcy Scherera, zebrałem szybko potrzebne mi informacje układowe i uzyskałem przyrzeczenie, iż na każdy okręt, odpływający z Genui, wszystkie karty wolnej jazdy, przeznaczone dla wychodźców galicyjskich, będą odsyłane pod adresem komitetu św. Rafała do Lwowa in blanco. Z powrotem wstąpiłem do Turynu, gdzie, zaopatrzone w list polecający ks. arcybiskupa Morawskiego, uprosiłem generała zakonu oo. Salezjanów, posiadających liczny nowicyat polski, o wydelegowanie zakonnika, Polaka, do Genui, w roli tłumacza, gdyż Polaków, stale tam mieszkających, niema wcale, a w konsulacie austriackim nie było literalnie nikogo, kto-by się z wychodźcami galicyjskimi rozmówić potrafił. W tydzień później ks. I. Duda zamieszkał w klasztorze salezyjańskim w Sampier d'arena pod Genuą, zgłosiwszy swoje usługi w konsulacie austriackim, jako tłumacz w razie potrzeby, a ks. Trawiński odjechał z transportem wychodźców galicyjskich do Rio Janeiro.

Rad z pomyslnego załatwienia poleconych mi czynności, powróciwszy do Lwowa, złożyłem raport obszerny na piśmie Wydziałowi krajowemu, a ustnie na dłuższej audyencyi hr. K. Badeniemu.

Przez czas jakiś istotnie blankiety na przejazd bezpłatny nadchodziły regularnie do Lwowa, a komitet św. Rafała rozdawał je najuboższym wychodźcom, którym miejscowe starostwo wystawiło świadectwo, iż nie posiadają żadnych środków do życia, a cały ich majątek zaledwie na przejazd do Genui wystarcza. Partye takie, liczące 30 — 40 rodzin, ekspedowano ze Lwowa z odpowiednim intelligentnym przewodnikiem (księdzem, lub nauczycielem ludowym), z całym aparatem przemówień, błogosławieństw i t. p., co dawało agentom emigracyjnym wyborne pole do agitacji — tłumaczyli bowiem ciemnym tłumom włościańskim, że cesarz sam kazal emigrować za morze, gdzie kupił dla galicyjskich chłopów grunta, a św. Rafał we własnej osobie (byli tacy, co przed sądem zeznawali, że do niego chodzili do Lwowa) jest patronem emigrantów. Jakim był stosunek liczbowy emigrantów jawnych i potajemnych, wskazuje okoliczność, iż przez ręce komitetu św. Rafała, pomimo rozdawnictwa bezpłatnych biletów, przeszło ogółem 2,000 ludzi, gdy w tym samym czasie wyemigrowało z kraju ubocznemi drogami przeszło 30,000!

Bądź co bądź, jednak działalność Towarzystwa św. Rafała, wysoce humanitarna, króra setki wychodźców ochroniła od wyzysku i nadużyć agentów podczas drogi i na miejscu, w Brazylii, — została spaczona objęciem zupełnie niewłaściwej funkcji biura spedycyjnego emigrantów, czemu od początku byłem przeciwny, lecz mię nie chcieli usłuchać.

Biuro spedycyjne, nawet przez rozdawnictwo biletów wolnej jazdy za morze nie było w stanie ufnosci chłopa galicyjskiego pozyskać, natomiast ogłoszenia i plakaty, wywieszane w starostwach, wywoływały skutek wprost przeciwny, niż zamierzano: do komitetu udawało się stosunkowo niewiele, gdy dziesiątki tysięcy ludzi, przyjmując urzędowe ogłoszenie o emigracji za „rozkaz cesarski“, niewykonywany przez wrogich cesarzowi panów, uciekały potajemnie do Uline, Hamburga i Bremy, po dawnemu stając się pastwą pijawek - agentów emigracyjnych.

Tymczasem jednak sprawa emigracji stała się przedmiotem poważnych studyów. W dniu 7 lutego 1895 roku powziął sejm krajowy, na wniosek posła Merunowicza, następującą rezolucyę:

„Kommissya petycyjna nie podziela zdania, jakoby tylko przeszkadzanie emigracji miało stanowić jedyny obowiązek i wyłączny cel akcji kraju wobec ludowego ruchu emigracyjnego. Emigracya ma bowiem wiele innych stron, z któremi roztropnie liczyć się na-

leży, zarówno ze stanowiska interesów społecznych, jak i narodowych.

„Mianowicie, gdy nie jest w mocy naszej ruch wychodźczy powstrzymać, z tego stanu rzeczy wynika dla kraju obowiązek i potrzeba,

„Najpierw: rozciągnąć opiekę nad wychodźcami, ażeby ich ochronić od wyzysku przez agentów emigracyjnych, i prądem emigracyjnym kierować według obmyślanego należyście planu, w sposób, korzystny zarówno dla emigrantów, jak i dla kraju macierzystego.

„Powtóre: zorganizować, na wzór wszystkich narodów oświeconych, stałe stosunki wzajemności między krajem macierzystym a koloniami, przedewszystkiem w kierunku handlowym.

„Wobec terazniejszej siły liczebnej kolonii polskich w Ameryce, jak nie mniej wobec faktu, że niema nadziei, iżby ruch emigracyjny pomiędzy ludem w najbliższej przyszłości ustał, a nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie on raczej wzmagał się, nie słabnął, zdaniem kommissyi petycyjnej, kwestya emigracyjna, poruszona w petycyi Towarzystwa handlowo-geograficznego, jest w tej chwili aktualną. I w tem przeświadczeniu, w myśl wyłuszczonych tu poglądów, kommissya wnosi:

„Wysoki Sejm uchwalić raczy:

I. „Petycyę Polskiego Towarzystwa handlowo-geograficznego we Lwowie w sprawie emigracyi włościan do Brazylii odstępuje się Wydziałowi krajowemu z poleceniem, ażeby w porozumieniu z c.-k. Rządem zebrał przedewszystkiem, o ile możności, dokładne informacje o powodach, rozmiarach, kierunku i organizacyi wychodźstwa we wszystkich okolicach kraju, gdzie ruch emigracyjny istnieje.

II. „Wydział krajowy zbada, jakimi środkami można-by skutecznie wpłynąć na powstrzymanie ruchu emigracyjnego, naprzykład przez kolonizacyę wewnętrzną, nastęrczanie ludności sposobności do zarobków, i t. p. środkami.

III. „Jeżeli zarządzone dochodzenia wykażą nadużycia, lub szkodliwe niewłaściwości w urządzaniu ekspedycyi wychodźców, obmyśli Wydział krajowy w porozumieniu z c. - k. Rządem odpowiednie środki ochronne, dla przeszkodzenia tego rodzaju nadużyciom agentów emigracyjnych.

IV. „Wydział krajowy wejdzie w rokowanie z c.-k. Rządem co do ewentualnego zapewnienia wychodźcom galicyjskich w Brazylii odpowiedniej opieki konsularnej.

V. „Wydział krajowy zbada: czy i w jakim kierunku mogłyby być nawiązane stosunki handlowe z koloniami polskimi i rusińskimi w Ameryce z korzyścią dla przemysłu krajowego“.

Uchwały powyższe galicyjskiego Sejmu pozostają po dzień dzisiejszy w znacznej swej części pogrzebane w archiwum.

W wykonaniu punktu IV rezolucyi wyręczyło Wydział krajowy znowuż „Towarzystwo handlowo-geograficzne“, przeprowadziwszy na własną rękę rokowania z rządem austro-węgierskim o zapewnienie emigrantom galicyjskim odpowiedniej opieki konsularnej. W jesieni 1894 roku Towarzystwo wspomniane wniosło na ręce posła Szczepanowskiego memoriał do delegacyi wspólnych, domagający się utworzenia konsulatu austro-węgierskiego w Curitybie, z zaznaczeniem, iż, ponieważ przeważną większość emigrantów austriackich w Brazylii stanowią Polacy, konsul, tam zamianowany, powinien posiadać język polski. Memoriał przyjęto bardzo życzliwie, hr. Kaluoky zażądał od Towarzystwa handlowo-geograficznego bliższych jeszcze informacyi, poczem ułożony przeze mnie memoriał przesłano, celem sprawdzenia, do ambasady w Rio Janeiro, a po dwuletnich staraniach i korespondencyi, w roku 1896 otwarto w Curitybie zawodowy konsul austro-węgierski, z całkowitym personelem polskim, a nadto, hr. A. Gólurowski, żywo zainteresowany tą sprawą, zamianował w Genui i Rio Janeiro wicekonsulów, władających językiem polskim, z wyraźnem zastrzeżeniem, iż konsulaty te przedewszystkiem opieką nad emigrantami polskimi zajmować się powinny.

W wykonaniu powyżej przytoczonej uchwały sejmowej, galicyjski Wydział krajowy w czerwcu 1896 roku zwrócił się do mnie z prośbą, ażebym, jako najlepiej znający stosunki brazylijskie, udał się ponownie w towarzystwie księdza I. Wolańskiego, jako delegata Rusinów, do kolonii, dla dokładnego zbadania ich stanu obecnego i przedstawienia odpowiednich wniosków, w celu uregulowania prądu wychodźczego z Galicyi.

Podróż nasza, trwająca osiem miesięcy, dzwoliła nam zwiedzić bardzo dokładnie zarówno wszystkie kolonie polskie i rusińskie w stanie Parana, a jak i dawniejsze osady w stanach przyległych, daty zaś, zgromadzone podczas tej wyprawy, przedstawione w sprawozdaniu urzędowem VI departamentu Wydziału krajowego Sejmowi galicyjskiemu na sessyi 1897 roku, stanowią podstawę niniejszego artykułu. Daty późniejsze czerpałem głównie ze sprawozdań austro-węgierskiego konsula w Curitybie, który w lipcu roku 1899,

bawiąc na urlopie w okolicach Cieszyna, był przez dni parę moim gościem we Lwowie i wygłosił z upoważnienia ministerjum na posiedzeniu Towarzystwa handlowo - geograficznego wyczerpujący odczyt o stosunkach, panujących obecnie w koloniach polskich stanu Parana.

II.

Zanim przystąpię do szczegółów, przedewszystkiem zastrzedz się muszę od ewentualnych nieporozumień. Mówiąc o emigracyi włościańskiej, mam na myśli zawsze tylko emigracyę normalną — odpływ nadmiaru ludności, czy to włościan bezrolnych, czy robotników, pozbawionych zajęcia, nie zaś emigracyjne gorączki, które są objawem, wywołanym sztucznie, chociaż, niestety, nigdzie może na świecie grunt do wywołania podobnych epidemii emigracyjnych nie jest podatniejszym, niż u nas. Łada wieść sensacyjna, zrzęcznie puszczona w obieg przez agentów emigracyjnych, pod osłoną tajemnicy i zakazanego owocu, wystarcza, aby mniejszy, lub większy pożar wzniecić. Środkiem zaradczym była-by, mojem zdaniem, jedynie zupełna jawność postępowania, utworzenie jawnych, zostających pod ścisłą kontrolą rządową, biur informacyjnych dla emigrantów i odebranie emigracyi tem samem jej największego w oczach naszego ludu uroku — uroku owocu zakazanego.

Aby zrozumieć genezę gorączek emigracyjnych, należy sobie uprzytomnić, iż przy emigracyi, tak samo, jak w handlu, istnieją: podaż i popyt towaru, którym są w tym razie ręce robocze. Jedne kraje, a my jesteśmy w ich liczbie, posiadają nadmiar rąk roboczych, lub, co na jedno wychodzi, elementa, niezadowolone ze swego położenia ekonomicznego, lub politycznego, i tem samem skłonne do opuszczenia kraju przy zdarzonej sposobności; inne — mało zaludnione, potrzebują za jakąbądź cenę rąk roboczych do eksploatacyi bogactw naturalnych swego kraju. Dawniej kupowano w tym celu czarnych niewolników, lub łapano dzikich Indyan po lasach; dzisiaj, po zniesieniu niewolnictwa, sprowadza się ręce robocze pod bardziej cywilizowaną postacią zakontraktowanych robotników, lub kolonistów. Systemu tego trzymają się nie tylko półdzikie republiki amery-

kańskie, ale i wysoce cywilizowane narody, jak Francya (na Antylach), Niemcy (wyspy Samoa), Anglicy (kolonie australskie).

Krajów, potrzebujących immigracyi sił roboczych z za granicy, jest wiele, a w każdym z nich od czasu do czasu przychodzą do steru władzy rządy, popierające sztucznemi środkami emigracyę z Europy, bądź to przez udzielanie bezpłatnych, lub niżonych przejazdów, bądź przez ułatwienia przy osiedleniu, bezpłatne rozdawnictwo gruntów, lub wydawanie przywilejów na kolonizacyę niezaludnionych obszarów przedsiębiorstwom prywatnym. Krajami takimi są dzisiaj Brazylia i Kanada, wczoraj były w tem położeniu: Argentyna, Australia i Chili, jutro może się to stać w Meksyku, lub Kongo.

Skoro jakiegokolwiek państwo egzotyczne pragnie ściągnąć do siebie immigracyę europejską i odpowiednie na cel ten fundusze wyznaczy, drukuje się we wszystkich językach w setkach tysięcy egzemplarzy rozsyłane wszędzie reklamy, i ustanawia w krajach, posiadających elementa, do emigracyi skłonne, agentów, ofiarujących emigrantowi, wzamian za podpisanie mniej lub więcej korzystnego dla przedsiębiorcy kontraktu, przejazd bezpłatny, lub korzystny zarobek.

W krajach, gdzie agitacya emigracyjna jest dozwoloną, jak we Włoszech, Szwajcaryi, Francyi, lub Niemczech, nad agenturami emigracyjnymi czuwa miejscowa policya, mimo to jednak dzieją się liczne oszustwa, uchodzące bezkarnie, ofiarą bowiem padają zazwyczaj cudzoziemcy, nieumiejący się rozmówić, ani wiedzący, dokąd się udać na skargę.

Przytoczę jeden tylko jaskrawy przykład, jaki widziałem w Genewie. W konsulacie austriackim zastałem starego Rusina, z którym od dwóch godzin usiłował się bezskutecznie rozmówić woźny, Dalmatyńczyk, twierdzący, że zna wszystkie języki słowiańskie. Konsul, Niemiec, i obecny przytem Włoch, dyrektor genueńskiej policyi, nie żęń, oczywiście, wydobyć nie mogli. Okazało się, iż starzec emigrował do Brazylji z liczną rodziną, znajdującą się w aresztach policyjnych za włóczęgowstwo, a to z tego powodu, że agent, który ich przywiózł, zagabiwszy im pieniądze i dokumenta podrózne, pozostawił ich na bruku, wsadziwszy innych ich towarzyszy na okręt. Ponieważ Rusin nazwiska agenta, oczywiście, nie znał, ścigać go było trudno. Dzięki jednak sprężystości policyi genueńskiej, wytresowanej dobrze w nadzorze nad agentami emigracyjnymi, po wydobyciu z chłopca potrzebnych zeznań, w godzinę, już agent siedział pod kluczem; biedni emi-

grancie jednak, zmuszeni czekać bez żadnych środków do życia dwa tygodnie w obcym mieście na następny okręt, byli-by pomarli z głodu, gdyby ich, po uprzednim zapytaniu, czy to ich honorowi nie ubliża, nie wsadzono na czas ten do aresztów policyjnych, w ten bowiem jedynie sposób konsulnat miał możność pokryć koszta ich utrzymania.

Nadużyć podobnych ofiarą padają, jak zaznaczyłem, wyłącznie cudzoziemcy; dlatego też w Austrii jedynym sposobem ich uniknięcia było-by skierowanie ruchu wychodźczego na Tryest, i zmuszenie suto subwencyonowanej kompanii austro - węgierskiej, „Lloydu“, do utrzymywania na linii amerykańskiej nie tylko frachtowych, ale i osobowych parowców.

Nie sądzę, aby jawność postępowania wpłynęła na zwiększenie ruchu emigracyjnego. Tajenie umyślne dodatnich, a rzeczywiście stwierdzonych stron emigracyi, osiąga bowiem tylko ten skutek, iż podkopuje do reszty i tak już bardzo zachwiane zaufanie ludu do inteligencyi, ogłoszenie zaś tych faktów dodatnich w świetle przeróżnych szczegółów ujemnych, o których rozumnie mileżą reklamy agentów, będzie dostatecznym hamulcem, który ludzi rozsądnych od lekkomyślnego pozbywania się ojcowizny i opuszczenia kraju, gdzie mają spokojny kawałek chleba, powstrzyma. Natomiast ani szaleńców, ani nędzarzy, nie mających nic do stracenia i gotowych dla kawałka chleba iść na kraj świata, nie powstrzymają najostrzejsze przepisy policyjne, jak to zresztą doświadczenia, poczynione w Galicyi, dowodnie wykazały.

W rządzie krajów, ściągających do siebie emigrację europejską, Brazylia od lat kilkunastu zajmuje jedno z pierwszych miejsc, a cyfra rocznej tamże immigracyi ze wszystkich krajów Europy wynosi przeciętnie w kilku latach ostatnich około 100,000, wzrastając z każdym rokiem, przyczem jednak zauważyć należy, iż główną masę wychodźców stanowią Włosi, przybywający na czasowy zarobek.

Do roku 1873 liczba emigrantów do Brazylii nie dochodziła nigdy do 20,000 rocznie, potem wzrasta stale do roku 1887, gdy dosięga liczby 54,000, odtąd zaś podskakuje nagle. W roku 1888 przybyło 131,745, w roku 1891, po ogłoszeniu znanego dekretu rządu prowizorycznego — 218,939.

Podług przynależności państwowej, przybywało rocznie (przeciętnie z dziesięciu lat):

Niemców	2,140
Francuzów	478
Austryaków	819 (przed rokiem 1892).
Hiszpanów	5,175
Portugalczyków	20,997
Włochów	28,633

W ostatnich latach nastąpił zwrot w tym ruchu, mianowicie niepomierne napływy emigrantów włoskich: w roku 1881 przybyło emigrantów 116,561, gdy w roku 1882 tylko 10,562. Dalej zaznaczyć należy powolny, lecz stały wzrost imigracji niemieckiej i austro-węgierskiej, oraz pojawienie się na widowni nowego zupełnie elementu — emigrantów polskich, którzy w przeciągu lat kilku opanowali prawie bezludny przedtem płaskowyż stanów Parana i Śt. Catharina.

Oczywiście, nie wszystkie stany olbrzymiej rzeczypospolitej korzystają w równej mierze z tego napływu, jak też i nie wszystkie wogóle dla europejskich osadników są odpowiedniami.

Jednym z pierwszych aktów rządowych młodej rzeczypospolitej po obaleniu cesarstwa, był dekret prowizorycznego rządu, nadający daleko idące przywileje emigrantom europejskim, zapewniający im bezpłatny przejazd przez morze, utrzymanie na koszt rządowy do pierwszego żniwa, oraz swobodę wyboru miejsca osiedlenia. Dekret ten, dzisiaj już zniesiony, wszystkie agencje emigracyjne podają, jako zachętę do emigracji.

W związku z powyższym dekretem generała Deodoro da Fonseca, zawarł rząd brazylijski z niejakim Fioritą w Genui kontrakt o dostawę w przeciągu lat dziesięciu jednego miliona emigrantów — rolników z rozmaitych krajów Europy. Kontrakt ten, który był powodem pamiętnych u nas gorączek emigracyjnych, przed upływem terminu, bo w dniu 1 stycznia 1897 roku, został rozwiązany, a odtąd rząd federalny nie udziela już ani kart wolnej jazdy, ani wreszcie jakichkolwiek ułatwień emigrantom nie czyni, pozostawiając dalszą kolonizację niezajętych obszarów rządowi poszczególnych stanów, lub przedsiębiorstwom prywatnym.

Wywołało to wśród emigrantów wielkie zamieszanie: agenci bowiem, werbujący kolonistów, lub robotników plantacyjnych do stanów S. Paulo, Minas Geraes, lub Espiritu Santo, okłamywali wychodźców, pokazując im już skasowany dekret emigracyjny rządu federalnego,

zapewniający im swobodę wyboru miejsca osiedlenia, a następnie, pobrawszy za nich zaliczki, wysadzali na ląd w Santos, lub Victorii, przymusowo odstawiając na miejsce przeznaczenia do plantacyi kawowych.

Trzy stany południowe, do których się ludność nasza wyłącznie udaje, przyjmują tylko kolonistów, przybyłych na koszt własny. Jedyną ulgą, jaką im w Paranie konsulatat austriacki wyrobił, jest przewóz bezpłatny z portu w Paranagua do Curityby, a stamtąd na miejsce osiedlenia, dowolnie obrane.

Do wiosny 1896 roku, to jest dopóki wychodźcom do stanu Parana udzielano jeszcze biletów wolnej jazdy, cały ruch emigracyjny z Galicyi kierował się na Genuę, dopiero później ruch ten zmienił się na Hamburg, Bremę i Antwerpię.

Droga na Hamburg jest najkorzystniejszą, gdyż jedynie statki hamburskie dochodzą bezpośrednio do portów południowej Brazylii: wszystkie inne linie dochodzą tylko do Santos, gdzie w zabójczym klimacie trzeba się przesiadać na okręt brazylijski.

Szczegóły transportu emigrantów do Hamburga i przejazd morzem, jako zbyt znane, pomijam.

Z wyjątkiem trzech stanów południowych, Brazylija cała leży w strefie międzyzwrotnikowej, zajmując olbrzymie obszary po obu stronach równika. Obszary te wszakże są w znacznej części bądź wcale nieznane, bądź niezamieszkane, bądź wreszcie wcale dla Europejczyków niemożliwe do zamieszkania z powodu zabójczego klimatu, a wewnątrz kraju nadto jeszcze jest, z powodu istnienia wojowniczych szczepów indyjskich, niedostępne, i wiele jeszcze ofiar ludzkich wymaga, zanim otwartem dla europejskich przybyszów zostanie. Stosunki z temi okolicami wewnątrz kraju ograniczają się do handlu surowcami produktami leśnymi, których dostarczają Indianie, lub półdzicy mieszkańcy puszcy (c a b o c o s).

Pomimo międzyzwrotnikowego położenia, klimat większości zamieszkanycy okolic Brazylii jest o wiele łagodniejszym, niżby sądzić można, z powodu znacznego wyniesienia ponad poziom morza. Wzdłuż wybrzeży Atlantyku od ujścia Amazonki, aż po równiny stepu Rio Grande do Sul ciągnie się jednolity mur skał granitowych, tworzących krawędź płaskowyżu, spadającego nieznacznie ku Zachodowi.

Płaskowyż wschodnio - brazylijski wzniesionym jest od 600 — 1,000 metrów ponad poziom morza, a pojedyncze szczyty i pasma górskie, rozrzucone po jego powierzchni, zwłaszcza w stanach S. Paulo i Minas Geraes, dochodzą do poważnej wysokości 2—3,000 metrów.

Ważka smuga niskiego pomorza posiada, oczywiście, wszędzie klimat tropikalny.

Wobec braku ścisłych spostrzeżeń meteorologicznych, które jedynie dorywczo na nielicznych miejscach są prowadzone, najlepszą podstawą do oceny klimatu Brazylii w rozmaitych miejscach jest roślinność leśna i rośliny uprawne danego regionu.

Brazylijscy geografowie wyróżniają trzy pasy klimatyczne: gorący, umiarkowany i zimny, co w pojęciu naszym należy tłómaczyć: równikowy, podzwrotnikowy i umiarkowany ciepły.

Pierwszy z tych pasów cechują: palma kokosowa, chlebowiec (*Artocarpus incisifolia*), mango (*mangifera indica*), a z roślin uprawnych: wanilia i kakao. Pas ten obejmuje wszystkie stany północne aż po Rio Janeiro, oraz smugę niskiego pomorza jeszcze dalej na Południe do Santos.

Pas drugi, podzwrotnikowy, odznacza się brakiem trzech drzew powyżej wymienionych, zresztą inne rośliny posiada wspólne ze strefą gorącą. Jednem z cechujących drzew tego regionu jest drzewo bawelniczne (*bombax*). Rośliny uprawne wspólne ze strefą gorącą, oprócz kakao i wanilii, a mianowicie: bawelna, trzcina cukrowa, banany, kawa. Strefa ta obejmuje stany: Rio Janeiro, Espiritu Santo, północną część stanu Minas Geraes, cały stan S. Paulo, dolinę rzeki Paranapanema i jej dopływów, wreszcie wysoką smugę pomorza od Santos do Porto Allegre.

Strefa trzecia, umiarkowana, odpowiada klimatowi południowej Europy i w części Algieru, stosownie do wzniesienia nad poziom morza: jest to strefa zbóż europejskich, i podzieloną być może na dwie części: w cieplejszej dochodzi ryż i górską odmiana trzciny cukrowej, w zimniejszej — żyto, pszenica, jęczmień, tatarska, kukurydza, tytoń, wino i t. d. Strefa ta obejmuje cały stan Parana, z wyjątkiem gorącej doliny Paranapanemy i górnej Parany, oraz wąskiej smugi pomorza, północną część stanu Rio Grande do Sul aż po linię kolei z Porto Allegre do Uruguayana, pasma górskie w południowej części tego stanu, oraz górską, zachodnią część stanu St. Catharina. Tutaj należą również pasma górskie w stanach S. Paulo i Minas Geraes, wzniesione powyżej 1,200 metrów nad poziom morza.

Dla wychodźców naszych jedynie strefa umiarkowana posiada warunki klimatu i gleby odpowiednie. Rząd niemiecki, w roku 1896, po dokładnem zbadaniu stosunków brazylijskich, cofnął oddawna obowiązujący z akaz emigrowania do Brazylii, z warunkiem jednak, aby wychodźcy niemieccy udawali się wyłącznie do trzech prowincji południowych, to jest tych właśnie, które zaliczyłem do strefy umiarkowanej.

Strefa umiarkowana posiada i tę jeszcze dla emigrantów naszych wyższość, iż niema w niej wielkich plantatorów (*fazendeiros*), lecz większość ludności osiadłej tworzą koloniści europejscy, pomiędzy którymi Polacy dzisiaj już przeważną stanowią liczbę.

Zacznijmy przegląd kolonii polskich w Brazylii od Północy.

W stanie S. Paulo istnieje jedna tylko polska osada w górach Serra do Mar, w okręgu San Bernardo, pomiędzy Santos i S. Paulo, jest nią Rio Pequeno i Capivary, położone na wysokości około 1,000 metrów.

Jakkolwiek ciepłota roczna jest niemal tą samą, co w Curitybie (przeciętnie roczne $+ 17^{\circ}$ C. maximum w styczniu $+ 32^{\circ}$ w cieniu, minimum w lipcu $+ 2^{\circ}$ C.); ujemną stronę tej kolonii stanowi nadmierna wilgoć: opad roczny wynosi tutaj 3,700 mm., zatem o połowę więcej, aniżeli w nadmorskiem Santos, a trzy razy więcej, niż w odległym zaledwie o mil kilka, ale leżącym poza górami, S. Paulo.

Okolica cała porośła dziewiczym lasem, którego eksploatacya stanowi główny zarobek osiedlonych tutaj kolonistów polskich, których urzędowy wykaz w roku 1895 podaje na 594 dusz; z wyjątkiem czternastu Litwinów, oraz kilkunastu rodzin galicyjskich, wszyscy pochodzą z Królestwa Polskiego.

Poza obrębem wspomnianej kolonii w stanie S. Paulo, Polaków spotykamy jedynie w stolicy stanu, gdzie jest ich podobno do 2,000 — zatrudnionych w fabrykach i warsztatach. W głębi kraju, po plantacyach kawowych, Polacy się nie utrzymali, pomimo dobrych zresztą zarobków. Całkowitą masę ludności roboczej stanowią tam Włosi. Dopiero po kilku latach osiedlenia pozbywają się nasi koloniści wstępu do zarobków na plantacyach kawowych, które są wcale znaczne, nawet uwzględnwszy panującą drożyznę. I tak naprzykład na plantacyach Sta Eudoxia, w okręgu Araquara, widziałem robotników plantacyjnych, tak zwanych tam „kolonistów“, którzy, oprócz mieszkania i ogrodu, zarabiali rocznie 1,800 milrejsów. Widziałem tam robotników, którzy po pięcioletnim pobycie w plantacyi powracali do Włoch z okrągłą sumką 6 — 9,000 franków, zaoszczędzonych z pracy. Parobek, zatrudniony czasowo, dostaje 75 — 80 franków miesięcznie, wikt i mieszkanie, woźnica i palacze przy maszynach o 10^o więcej, rzemieślnicy, zatrudnieni w fabryce, 4 — 6 franków dziennie, maszynista 400 franków miesięcznie i mieszkanie i t. d. Dzisiaj wielu przedsiębiorczych kolonistów naszych z Rio Pequeno wychodzi już na czasowe zarobki do wielkich plantatorów, wiedząc z doświadczenia, że mali właściciele, przy obecnych cenach kawy, bankrutują, i płacić robotnikom nie mają z czego. Pomimo szalonego spadku cen kawy, która kosztuje dzisiaj na plantacyi przeciętnie około 1 franka za ki-

logram — plantatorzy zarabiają jeszcze na niej do 30^o/_o rocznie. Kto jednak prowadzi interes kredytem banków kawowych, dających zaliczki na 36^o/_o rocznie, oczywiście, bakrutować musi.

III.

Punktem ciężkości polskiego osadnictwa w Brazylii stał się stan Parana, o którym obszerniej nieco pomówić zamierzam.

Stan ten zajmuje obszar 221,319 wiorst kwadratowych, jest przeto mało co mniejszym od całych Włoch. Na olbrzymim tym obszarze liczono w roku 1888 zaledwie 187,548 mieszkańców, czyli 0,847 na wiorstę kwadratową. Później napływ emigrantów polskich cyfrę tę prawie podwoił, dzisiaj liczą w przybliżeniu w całym stanie około 300,000 ludności, z czego czwartą część stanowią koloniści polscy; urzędowe statystyki w tej mierze na żadną nie zasługują wiarę, nikt bowiem poważnej kontroli nad ruchem ludnościowym nie prowadzi, a osobiście się przekonałem, iż na wielu niegdyś niemieckich i włoskich koloniach, zwłaszcza w okolicy Ponta Grossa, dzisiaj przeważnie, lub wyłącznie, Polacy siedzą. W spisach urzędowych jako Polacy figurują wyłącznie wychodźcy z Królestwa Polskiego — wychodźcy polscy z Cesarstwa umieszczeni są w jednej rubryce z Niemcami z nad Wołgi i Łotyszami, jako Rosyjanie; Galicyanie, przybyli drogą na Genuę, zapisani w rubryce Austryaków, razem z Włochami z Trentynu; wychodźcy zaś polscy z Prus zachodnich i Szląska figurują w rubryce Niemców.

Stosunki topograficzne stanu Parana są podobne, jak w stanie S. Paulo. Nasamprzód tedy mamy wazki pas gorącego pomorza na stoku gór Serra do Mar, spadających stromo ku morzu. Głównymi osadami tego regionu są portowe miasteczka Paranagua i Antonina, oraz Miasteczko Morretes. Zatoka Paranaguajska jest jednym z najlepszych portów naturalnych Ameryki Południowej, obszarem swym i korzystnem położeniem rywalizować może ze słynną zatoką Rio de Janeiro. Co ważniejsza, jest to ostatnia z dobrych przystani brazylijskich, dostępnych dla wielkich okrętów zaatlantyckich, jakeimi są: Pernambuco, Bahia, Rio Janeiro i Santos; jako położona najdalej na Południe, posiada najlepsze warunki zdrowotne. Wszystkie, dalej na Południe wysunięte przystanie, jak S. Francisco, Desterro, Laguna, Rio

Grande do Sul, są dostępne jedynie dla drobnych statków nadbrzeżnego kabotażu z powodu niebezpiecznych raf i mieliżn, a najważniejszy dzisiaj, dzięki zaludnieniu okolicy przez Niemców i Włochów, port handlowy południowej Brazylii, Porto Allegre, jest niedostępnym nawet dla małych okrętów brazylijskiego Lloyd'u, i towary w Rio Grande do Sul przeladowywać potrzeba. To też dzisiaj statki zatlantyczne stają w Santos, skąd idą bezpośrednio do Montevideo, w żadnym innym porcie się nie zatrzymując. Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, iż budująca się obecnie w Paranie sieć kolejowa i coraz dalsze posuwanie się ku granicom Parany bogatych plantacyi kawowych w S. Paulo przerzuci punkt ciężkości handlowej z zapowietrzonego gniazda żółtej febry — Santos, do odległego zaledwie o kilka godzin drogi, a położonego w zdrowej okolicy i znacznie dogodniejszego portu w Paranaguá. Dodajmy jeszcze, że fracht kolejowy do Santos jest bajecznie wygórowany z powodu, iż kolej ta nie jest normalną, lecz linową, co znacznie ruch towarowy utrudnia, a grasująca peryodycznie w Santos epidemia żółtej febry tysiące ofiar ludzkich pochłania.

Dotychczas port Paranaguajski, z powodu mało rozwiniętego handlu z Europą, odwiedzany jest jedynie przez osobowe parowce hamburskie, oraz kupieckie okręty angielskie i niemieckie; w porcie tym, zasłoniętym od morza górami, obszernym i zacisznym, wygodnie pomieścić-by się mogły największe eskadry mocarstw morskich.

W okolicy Paranaguá istnieją jedynie kolonie włoskie; uprawiają tutaj ryż, banany, pomarańcze, trzcinę cukrową, kawę, maniok, bataty.

Z Paranaguá i Antoniny wyborna kolej górską, jedno z arcydzieł sztuki inżynierskiej, prowadzi do odległej o sześć godzin drogi Curityby.

Po przebyciu pasma gór Serra do Mar, wzniesionego na 1,200 metrów nad poziom morza, wkraczamy w drugi region — płaskowyż, wzniesiony około 1,000 metrów nad poziom morza, pokryty lasami araukaryi i rozległymi łąkami. Liczni tutaj koloniści europejscy, przeważnie Polacy i Włosi, uprawiają żyto, pszenicę, jęczmień, kartofle, kukurydzę, tytuń, wino i owocowe drzewa południowej Europy. Klimat tego regionu umiarkowany, największe upały nie przewyższają $+32^{\circ}$ C. w cieniu, najniższa temperatura z lat kilkunastu wynosi $+2.4^{\circ}$ C, — raz na lat kilkanaście termometr spada poniżej zera, i zdarzają się, jak naprzykład w roku 1893, krótkotrwałe śniegi.

W pobliżu Curityby bierze początek rzeka Iguassú, jedna z najważniejszych arteryi komunikacyjnych stanu, splawna na przestrzeni przeszło sześćdziesięciu mil geograficznych. Od Zachodu równinę

Curityby ogranicza pasmo, a właściwie wysoki taras, *Serrinha*, wzniesiony na 1,200 metrów, skąd ku Zachodowi i Północy wkraczamy w region skalistego stepu, stanowiącego dalszy ciąg *Campos Geraes*, na którym Brazylianie wypasają tabuny bydła i koni.

Plaskowyż *Campos Geraes* spada stopniowo ku Zachodowi, a począwszy od miasteczek *Palmira* i *Cupim* pojawiają się coraz liczniej lasy szpilkowe i liściaste, aż do podnóża gór *Serra da Esperança*, najwyższych w stanie, bo dochodzących do 1,300 metrów wysokości. Rozległe stepy okolic miasta *Guarapuava*, posiadająca znacznie lepszą, aniżeli *Campos Geraes*, glebę, ciągną się od *Serra da Esperança* dalej ku Zachodowi: wkraczamy tutaj w region żyznych, czerwonych glin (*terra roxa*). Granicę tej urodzajnej smugi, sięgającej, o ile wiadomo, aż do brzegów *Parany*, przekroczyły kolonie galicyjskie nad rzekami *Iguassu* i *Ivaity*, cały zaś obszar, położony dalej ku Zachodowi, ku dolinie *Parany*, jest najzupełniej nieznanym, i od czasu wygnania Jezuitów całkowicie opuszczony. Stopniowo plaskowyż spada aż do 150 metrów wysokości, wchodząc w region gorący, zdalny do uprawy kawy, bawełny i t. p.

Na całym obszarze plaskowyżu roślinami uprawnymi są zboża i warzywa europejskie: żyto, pszenica, jęczmień, owies, tatarka, kukurydza, kartofle, tytoń, wino, brzoskwinie, a z roślin krajowych: maniok, słodkie bataty, czarna fasola, orzechy ziemne, iguame; natomiast nie dochodzą wcale banany, ryż dojrzewa tylko w głębszych dolinach, a pomarańcze są drobne i kwaśne, jak w Lombardyi i na *Rivierze włoskiej*.

Ilu jest emigrantów polskich w Paranie, nawet w przybliżeniu obliczyć niepodobna, wykazy urzędowe bowiem uwzględniają jedynie imigrantów wprost z Europy przybyłych, gdy natomiast spotkałem bardzo wielu kolonistów, którzy, po rozmaitych przejściach, z innych stanów rzeczypospolitej, drogą lądową, lub wodną, tutaj przybyli. Obliczam ich najskromniej na podstawie dat urzędowych: do roku 1889 liczono kolonistów polskich w całym stanie 12,000; w latach 1890 — 91 przybyło 15,000 wychodźców z Królestwa Polskiego i Litwy, w latach 1895 — 96 35,000 Galicyan. Urzędowe daty brazylijskie zatem podają liczbę Polaków w stanie Parana na 52,000; liczba ta jest atoli w rzeczywistości znacznie wyższą i śmiało na 70—80,000 przyjętą być może.

Historja kolonizacyi polskiej w Paranie jest w krótkości następująca:

W roku 1868 przybyło szesnaście rodzin Szlązaków do portu *Itajahy* w stanie *Sta Catharina*. Kompania kolonizacyjna hamburska osadziła ich na kolonii *Brusque*, na gorącym pomorzu, skąd poprze-

dnio osiedleni koloniści irlandzcy uciekli. Po wielu trudnościach i staraniach, które się aż o cesarza, Dom Pedra, oparły, udało się p. Zaporskiemu i ks. Zielińskiemu przesiedlić tych ludzi do sąsiedniego stanu Parana, gdzie warunki klimatyczne były odpowiedniejsze. Magistrat Curityby, podówczas liczej i malutkiej miłościny, odciętej od świata niedostępnymi górami Serra do Mar, wydzielił im po kilka morgów gruntu i dał zarobek przy robocie drogi.

W roku 1873 przybyły do Curityby sześćdziesiąt cztery rodziny polskie z Prus zachodnich, i założyły kolonię A branchez na przedmieściu stolicy. W roku 1876 przyszło kilka tysięcy wychodźców polskich z Prus i Galicyi: osiedlono ich również w pobliżu stolicy na koloniach: S. Ignacio, Orleans, Dom Pedro, Reviere, Dona Augusta, Thomas Coelho, S. Candida. Kompleks ten otrzymał nazwę okręgu: Nova Polonia.

W latach 1885, 1886, 1887 założono nowy szereg osad polskich w pobliżu Curityby, były to: Antonio Prado, Presidente Farria, Zacharias, Muricy, Inspector Carvalho, Accioli, Joao Alfredo, S. Lourenço, Christina, Alice.

Inne osady polskie powstały w tym samym czasie w okolicach miast Ponta Grossa i Castro; są to: Guarana, Tacuary, Rio Verde, Emilia, Adelaída, Butuquara, Floresta, Itaiacoca, Mohema, Tibagy, Santa Leopoldina, S. Clara. W latach 1890—92 przybyli emigranci z Płockiego i Kujaw utworzyli szereg osad w dolinie rzek Iguassú i Rio Negro, a mianowicie: S. Barbara, Cantagallo, Rio dos Patos, Agua branca (zabranka), S. Matheus, Rio Claro, Barrafeia, Lucena.

Emigrantów galicyjskich z lat 1895—97 osadzono dalej jeszcze wzdłuż Iguassú i Rio Negro: w Rio Claro, Porto Uniao, Alberto Abreu, Antonio Candido, Iaugada, Chopim, Lucena, Aqua Amarella (Antonio Olyntho); dalej w dolinie rzeki Iva hy (Prudentopolis), w górach Serra do Mar (Castelhanos) i w okolicy Thomas Coelho (Ypiranga).

System kolonizacyi brazylijskiego rządu polegał na tem, iż, wytknąwszy na mapie linie, odpowiadające bądź rzekom spławnym, bądź projektowanej sieci dróg żelaznych, lub kołowych, osiedla się emigrantów na tych liniach, wrzynających się coraz głębiej w lasy, a to w ten sposób, iż co kilka mil drogi tworzą się na linii głównej punkty węzłowe, stające się zawiązkami miast, z których znowuż takie same linie proste, osadzone kolonistami, wycinają się promienisto w głąb lasów, aż do połączenia z liniami kolonizacyjnymi osad przyległych.

System ten biegunowo jest przeciwnym systemowi północno - amerykańskich koncessyi kolejowych, gdzie nasamprzód budują kolej, a następnie osiedlają kolonistów. Tutaj odwrotnie: nasamprzód się okolicę zaludnia, a dopiero w miarę jej zaludnienia i wzrostu zamożności, powstają coraz lepsze środki komunikacyjne: zamiast ścieżek dla mułów — drogi kołowe i koleje; zamiast łodzi wiosłowych — parowce holownicze i osobowe.

Skutkiem tego systemu kolonizacyi, sieć kolejowa Parany, dzisiaj posiadająca już blisko sześćset wiorst długości, stała się punktem wyjścia grup kolonialnych, rzadką wprawdzie, ale związaną w jedną całość siatką, opanowującą stopniowo coraz większe obszary lasów dziewiczych, a pozostałe, zrazu wśród siatki tej niezajęte, oczka wielkich posiadłości prywatnych — szybko znikają wskutek parcelacyi, dokonywanej przez samych właścicieli, lub drobne przedsiębiorstwa kolonizacyjne. Materiałem osadniczym są dzisiaj wyłącznie Polacy i Rusini galicyjscy, dawniej osiedleni Niemcy nadwołżańscy i Włosi wyprzedają się i wynoszą do miast, lub do stanów sąsiednich, nie mogąc wytrzymać na roli konkurencyi z tak łakomym na ziemię żywołem, jakim jest chłop polski.

Rzuciwszy okiem na mapę, przekonamy się, iż zwarta sieć kolonii polskich opasuje dzisiaj w sześciomilowym promieniu stolicy stanu — Curytyby, cały szereg osad wyłącznie polskich, ciągnie się wzdłuż prawego brzegu Iguassú na całej przestrzeni jej splawności, od początku kolei w Porto Laraugairas, aż do końca żeglugi w Porto Uniao; dalej widzimy je wszędzie wzdłuż nowobudującej się kolei z Ponta Grossa do Porto Uniao, i na projektowanym dalszem przedłużeniu tej linii ku Południowi, wzdłuż kołowej drogi z Porto Uniao do Palmas, wreszcie kilkutyśięczną osadę galicyjską mamy na kresach dotychczasowej kolonizacyi — na początku żyznej i bogatej doliny rzeki Ivahy, oraz 6,000 — na pograniczu stanu S. Catharina na terytoryum indyjskich rezerwacyi w Lucenie.

Żywiół niemiecki skoncentrował się prawie wyłącznie po miastach, gdzie ujął w swoje ręce handel i przemysł. Włosi są skoncentrowani, oprócz pomorza, w dwu tylko miejscach: około Campo Largo i Palmeira, a liczba ich z każdym rokiem się zmniejsza; koncentrują się oni w stanie S. Paulo, dzisiaj całkowicie już przez Włochów opanowanym, lub w równie zwłoszonej Argentynie.

Dzieje, jakie przechodzili emigranci za czasów funkcjonowania urzędów kolonizacyjnych, jako zbyt znane, pominąć mogę milczeniem, dzisiaj bowiem urzędy te należą już do przeszłości, i warunki osiedlenia są zupełnie inne, aniżeli jeszcze przed trzema laty. Wiele ofiar wyzysku i własnego niedołęstwa zapelnilo emientarze brazylijskie, to

jednak, co pracą i krwią swoją stworzyli ci, którzy przetrwali piekło emigracyjnych gorączek, stanowi temat nie tyle może nadający się do rozczulających opowieści i rozdzierania szat nad niedolą wychodźców — ile ciekawy przyczynek do poznania żywotnej siły i energii kolonizacyjnej naszego chłopca, o którą—byśmy ich w kraju własnym nigdy nie posadzili.

Przebywszy pierwsze, mniej lub więcej ciężkie początki, zazwyczaj już w drugim roku po przybyciu każdy osadnik ma utrzymanie zapewnione z wyrobionego przez siebie kawałka pola: kukurudza dochodzi w cztery miesiące, żyto w trzy, kartofle w cztery miesiące po zasadzeniu. Jaki taki szalas, z tarcie sklecony, wystarcza do osłony od deszczu, ciepłego ubrania nie potrzeba, bo zimy właściwej nie ma. Oczywiście, w tych pierwszych początkach kolonista nie może się zdobyć na gotówkę, potrzebną na kupno artykułów — co najwyżej zaopatrzy się w krowę, konia wierzchowego, wieprzka i kury, które mnożą się z niesłychaną szybkością. Mając chleb zapewniony, kolonista ogląda się za zarobkiem, stosownym do swego uzdolnienia i warunków handlowych danej okolicy. Jedni więc idą nieraz o mil kilkanaście godzin do roboty przy budowie kolei i dróg kołowych, pozostawiając gospodarstwo na opiece kobiet, inni pracują jako flisaki na galarach, lub pilują tarcice z araukaryi i cedrów, na budowę chałup potrzebne. Głównym atoli artykułem zarobkowym, dostępnym zaraz w początkach, po przybyciu emigranta na miejsce, jest zbieranie tak zwanej herbaty paragwajskiej (*h e r v a m a t a*), rodzącej dziko w wielkiej obfitości w lasach Parany, a stanowiącej najważniejszy artykuł eksportowego handlu — małe miasteczko S. Matens, założone w mojej obecności w roku 1892, na ostatnim podówezas krańca linii kolonizacyjnych, już w roku 1897 wywiozło 1,800,000 kilogramów tej rośliny!

Robotnicy polscy szybko się nauczyli sposobu jej suszenia, uchodzącego za wyłączną tajemnicę leśnych Brazylianców — a okazali się tak pojętnymi uczniami, iż dzisiaj za „*herve*“, suszoną przez Polaków, hurtownicy płacą o 10% wyższą cenę, aniżeli za brazylijską. Kupcy pośredniczący, nabywający „*herve*“ na rachunek większych eksportów, płacą z pierwszej ręki 10 — 12 franków za „*cargueiré*“ (120 kilogr.) — zręczny robotnik może tygodniowo przygotować 3 — 4 *c a r g u e i r y*, a zbiór trwa przez dziesięć miesięcy w roku.

Na handlu *h e r v a m a t e* kilku drobnych przekupniów, Mazurów, porobiło znaczne majątki, a eksporterzy, Niemcy, kolosalne fortuny zdobyli (naprzykład Burmistrz z Thon).

Nie mówię o takich ludziach, jak naprzykład Onufry Flizikowski, Mazur galicyjski, który po kilkunastu latach ucziwej pracy jest

dzisiaj posiadaczem kilku mil kwadratowych lasu i łąk w S. Matheus, lub szwagier jego, Nadolny, kapral pruski, właściciel tartaku i młyna tamże — są to bowiem osadnicy najdawniejsi, którzy się dorobili majątku na drobnym handlu; ale widziałem chłopów, przybyłych przed pięciu laty z liczną rodziną i dzielnymi rękoma do pracy, bez żadnych innych zasobów, którzy dzisiaj majątek swój na kilkanaście tysięcy szacują, jak na przykład Sempoliński z pod Mławy, właściciel 150 morgów doskonale wyrobionego gruntu, lub Szlązak, Mazgala, który wynalazł nowy piec do suszenia herwy mate. Co więcej, wśród kolonistów, którzy tutaj przybyli w najcięższym okresie, przeszli głód i nędzę, zdzierstwo i wybryki rozpasanego żołdactwa podczas wojny domowej, nie widziałem ani jednego, który-by po kilku latach pobytu na los swój się skarżył. Zagadnąłem naumyślnie najuboższego z kolonistów w S. Matheus, którego różne prześladowały nieszczęścia, bo chałupa mu się waliła, a cały majątek, oprócz kilkunastu morgów niewykarczowanego lasu i kilku morgów lichej ziemi, stanowił wóz i para koni, któremi zwoził drzewo do tartaku. I ten jednak nie lamentował, ani rozpaczał, a na zapytanie moje, czy nigdy nie żałuje, że tutaj przybył, odpowiedział mi wręcz: — „Czego? Tu ja sobie sam panem, żaden ekonom mi nad karkiem nie stoi i nikomu wysługiwać się nie potrzebuję“. W kraju był parobkiem gdzieś w Kutnowskiem.

Z produktów rolniczych, dających korzystne rezultaty na koloniach, wymienić musimy w przedewszystkiem, obok kukurydzy, którą się wieprze, konie i drób karmi, maniok, czyli a j p i m, i słodkie bataty. Pierwsza z tych roślin nie potrzebuje żadnej uprawy, gdyż na świeżo wypalanej porębie wtyka się tylko w ziemię pokrajane na kilkocalowe kawałki łodygi, a kłębiaste jej korzenie, bardzo pożywne, stanowią materiał do przyrządzania „farinha“, rodzaju grubej mąki, zastępującej Brazylianom chleb i znajdującey zawsze dobry odbyt. Bataty znowuż dają bulwy niekiedy olbrzymich rozmiarów, które jada chciwie wszelki inwentarz, a raz zasadzone, jak chwast, prawie się wyplenić nie dają. Tytoń i wino udaje się doskonale, ale go nasi koloniści uprawiać nie umieją. Pszczelnictwo daje również bardzo pomyslnie rezultaty; pszczoły europejskie roją się po kilka razy i pracują przez 10 miesięcy w roku. Butelka miodu kosztuje na kolonii od 500 do 1,000 reis (od 20 do 40 centów), kilogram wosku jeden milreis.

Kolonie polskie w pobliżu Curityby są to zamożne osady o wyglądzie niemieckich wiosek. Koloniści polscy są jedynymi dostawcami artykułów spożywczych do stolicy, a w dniu targowe roi się tam od polskich wasągów w krakowskiej uprzęży i bab, po dawnemu z chustkami na głowach. W takim na przykład Thomas Coelho widziałem

liczne, piętrowe, murowane domy, a miarę zamożności kolonii stanowi chociażby fakt, iż niezadowoleni ze schludnego kościółka, jaki im rząd wystawił, wystawili wspinały kościół kosztem kilkudziesięciu tysięcy franków i uposażyli swego proboszcza tak, iż pobory jego przewyższają dochody curitybskiego biskupa.

W dawnych osadach polskich w okręgu Curityba, Campo Largo, S. Josep dos Pinhaes jest do dzisiaj siedem kościołów polskich, oraz pięć polskich szkółek elementarnych, w których uczą zazwyczaj organiści. Kolonia nad Ignassú aż po Rio Claro, znacznie od tamtych młodsza i w mniej korzystnych założona warunkach, rozwija się niemniej pomyślnie, dzięki rozwiniętemu w tej okolicy handlowi *hervante*. Koloniści, zaspokoiwszy najpilniejsze potrzeby ciała, zdobywszy kawałek chleba, starają się już stworzyć ognisko umysłowego ruchu: słabe to dopiero początki te szkółki i czytelnie, jakie dotąd założono, ale potrzeba oświaty i czytania objawia się coraz silniej, a walki o szkołę w łonie samych kolonii dochodzą niekiedy do bardzo poważnych zaburzeń. Rosnący napływ inteligentnej młodzieży z kraju, przeważnie nauczycieli i rzemieślników, daje rękojmię, iż, gdy się to wszystko wyszumie, a miasteczka nad rzeką podrosną, stosunki ułożą się równie pomyślnie, jak w okolicy stolicy.

Najmłodszą grupę stanowią wymienione powyżej osady galicyjskie, najdalej wgląd lasów wysunięte, z których jednak, pomimo, a może właśnie dzięki skasowaniu opiekuńczych urzędów kolonizacyjnych, nie dochodzą żadne skargi na niepomyślny ich rozwój — przeciwnie, wyborny gatunek gleby, oraz budująca się obecnie kolej z Ponta Grossa do Porto União dają poważną rękojmię pomyślnego dla nich rozwoju.

Warunki dla kolonizacji polskiej w Paranie są, jak widzieliśmy, bardzo korzystne, a opieka, jaką wychodźców naszych otacza konsulatu austriacki w Curitybie, zabezpiecza ich od nadużyć i wyzysku władz miejscowych; atoli rzecz całą paraliżuje finansowe bankructwo brazylijskiego rządu i ogromny brak gotówki, dzięki czemu nawet tak proste przedsięwzięcie, jak parcelacja wielkich a bezużytecznie leżących obszarów leśnych pomiędzy emigrantów, napływających corocznie z Europy, nie znajduje potrzebnych funduszy na opłacenie pomiarów parcelacyjnych. Stąd wynikło, iż od roku 1897, to jest od chwili skasowania urzędów emigracyjnych, około 3,000 wychodźców galicyjskich pozostało bez ziemi, a nadto corocznie około 1,000 emigrantów polskich przybywa stale do Curityby, nie znajdując nigdzie ziemi do nabycia na dostępnych dla siebie warunkach. Dzisiaj manipulacja osiedlania nowych przybyszów odbywa się w ten mniej więcej sposób, iż na żądanie austriackiego konsulatu rząd sta-

nowy odstawia emigranta na którąkolwiek z już zapelnionych całkowicie kolonii z listem do chłopca, który pracował niegdys przy geometrze. Ten prowadzi nowego przybysza w las poza granice kolonii, nie troszcząc się wcale o to, czyją on jest własnością, i odmierzywszy mu parcelę 200 metrów wszerz i 1,000 wzdłuż, pozostawia go swemu losowi. Zazwyczaj jednak po kilku tygodniach, lub miesiącach, okazuje się, iż grunt należy do którego z miejscowych obywateli brazylijskich, który też intruza przy pomocy sąsiadów, częstokroć z bronią w rękę, wyrzuca, zagarniając owoce jego pracy dla siebie. Reklamacye przez konsulat są długie i uciążliwe, a zazwyczaj kończy się tem, iż wyrzuczonego z jednego miejsca umieszczają w innem, również nie mając pewności, czy go stamtąd ktoś nie wypędzi.

Powodem możliwości podobnych, codziennie powtarzających się epizodów, jest okoliczność, iż za czasów bardzo szerokiego szafowania gruntami rządowymi, rząd ponadawał mnóstwu osób tak zwane koncesyje na kolonizacyę, z obowiązkiem osiedlenia na nich prawem przepisanej liczby rodzin rolniczych. Obowiązkowi temu mało kto uczynił zadość, rząd specjalnym dekretem „koncessyje“ odebrał, ale, mimo to, przy odpowiedniej protekcyi i łapówkach, poszczególnym koncessyonaryuszom prawo własności zatwierdza. Prawo własności, hipotecznie zabezpieczone, posiadają dotąd jedynie właściciele prywatni; większość natomiast gruntów rządowych jest uwikłana w procesy o prawo własności, które zazwyczaj rząd przegrywa.

Warunki powyższe powodują, iż większość emigrantów polskich, dzisiaj do Parany przybywających, o ile nie posiada dostatecznych środków do nabycia za gotówkę ziemi po wygórowanych cenach od nielicznych właścicieli, którzy przeprowadzili u siebie pomiary parcelacyjne, nie chce się narażać na tułaczkę po lesie, bez zapewnienia prawnego tytułu posiadania uprawianego gruntu, lecz tuła się za zarobkiem, jako robotnicy kolejowi i zarobnicy dzienni, lub parobcy u dawnych kolonistów, oczekując sposobności nabycia na wyplaty kawałka gruntu dla siebie.

Względy powyższe spowodowały kółko ludzi, zgromadzonych we Lwowskiem Towarzystwie handlowo - geograficznem do zainicyowania akcji pomocniczej przez założenie polskiej spółki do parcelacyi gruntów w Paranie pomiędzy wychodźców naszych. Spółka taka zawiązała się istotnie niedawno pod firmą: „Towarzystwo kolonizacyjno - handlowe we Lwowie“, jako spółka udziałowa z ograniczoną poręką, wypuściła udziały po 100 koron (40 rubli), i tą drogą zamierza zebrać potrzebny kapitał co najmniej 150,000 zlr. w. a. do rozpoczęcia czynnej akcji. Akcya ta, ciesząca się życzliwem poparciem austriackiego urzędu spraw zagranicznych, polegać ma na zakupnie

znaczniejszych obszarów gruntu w Paranie, które dzisiaj w wielkich kompleksach po bardzo niskiej cenie, 5—15 franków za hektar nabywać można, i rozparcelowanie onych pomiędzy emigrantów polskich. Część spodziewanego zysku, który, na podstawie doświadczeń dotychczasowych, może wynieść do 20% rocznie, zamierza Towarzystwo poświęcić na szerzenie w koloniach polskich oświaty, zakładanie szkół, czytelni, subwencyonowanie niezamożnych parafii i t. d.; drugą zaś na stworzenie w koloniach drobnego przemysłu i handlu, a gdyby przedsiębiorstwo rozwinęło się szerzej, mogło-by stanąć na szerszych podstawach handlowych, pośredniczyć się w zbyciu krajowych wyrobów do kolonii, a kolonialnych towarów do Europy. Siedzibę nowego Towarzystwa, na którego czele stanęli: ks. Kazimierz Lubomirski, jako prezes rady nadzorczej, a pp.: dr Siemiradzki, Władysław Terenkoczy i dr W. Ungar, jako dyrektorowie, jest bank zaliczkowy we Lwowie.

Aby dopełnić obrazu kolonii polskich w południowej Brazylii, musimy poświęcić słów parę osadom naszym, rozproszonym w stanach Sta Catharina i Rio Grande do Sul.

Stan St. Catharina należy do najmniejszych i najuboższych stanów rzeczypospolitej, znaczenie zaś swoje w dziejach kolonizacji zawdzięcza jedynie tej okoliczności, iż tutaj Towarzystwo kolonizacyj-hamburskie nabyło znaczne obszary dla hr. d'Eu.

Na mapach niemieckich stan Sta Catharina sięga zazwyczaj aż do granicy argentyńskiej, co jest fałszem wierutnym, wykazującym jedynie apetyt niemiecki; cały bowiem okrąg górski na Zachód od góry Serra do Mar należał zawsze i należy dotychczas do stanu Parana, który go swoim kosztem kolonizował w latach 1891 — 97.

Istotną granicę stanu Sta Catharina stanowi od Północy rzeka Rio Negro, od Zachodu krawędź Serra do Mar, zamieszкана przez dzikich botokudów i całkowicie nieznana, od Wschodu brzeg morza aż po granicę stanu Rio Grande do Sul.

Stan Sta Catharina leży przeto w całości na stokach gór Serra do Mar, posiadając klimat gorący i wilgotny, odpowiadający klimatowi strefy kawowej. Całkowity obszar stanu wynosi 74,731 kilometrów kwadratowych, ludność — 236,346 dusz. Ludność ta jednak nie jest rozrzucona na całym obszarze stanu, lecz skupiona, oprócz kilku małych miasteczek portowych, w trzech grupach kolonialnych: Blumenau, Brusque i Laguna. Z nich tylko pierwsza przedstawia okolicę, oddawna i dość gęsto zaludnioną, a liczne kolonie rolnicze ciągną się tutaj od brzegu morza w głąb gór, wzdłuż drogi kolowej, aż do granicy stanu Parana w Rio Negro.

Kolonie okręgu Blumenau, założone przed czterdziestu laty przez prywatną kompanię kolonizacyjną hamburską, obejmują cały prawie obszar północny stanu w dolinach spławnych rzek Itajaí, Itapocu, aż do granic kolonii polskiej Lucena w Paranie. Osadnikami są prawie wyłącznie Niemcy, pomiędzy którymi rozrzuconych jest kilka osad polskich z rozmaitych czasów. Urzędową stolicą stanu jest wprawdzie Desterro, nieurzędową jednak, ale rzeczywistą — niemieckie miasto Blumenau, liczące do 20,000 mieszkańców. Kolonie, posiadające ludność polską w okręgu Blumenau, są następujące: Garcia, Warnow, Benedicto, Rio Ceder, Rio Pedrinto, Rio Adda, Massarunduba. Koloniści pochodzą z Królestwa Polskiego i Prus.

Drugim większym miastem tej grupy kolonialnej jest również czysto niemieckie Joinville, odległe od portu San Francisco o trzy godziny drogi, i liczące 4,000 mieszkańców.

Od Joinville idzie gościniec kołowy na szczyt płaskowyżu (Estrada Dona Francisca), który, przed zbudowaniem kolei z Paranaína do Curityby, był najważniejszym szlakiem kupieckim dla Parany, a dla mieszkańców Joinville i Blumenau stanowił źródło bardzo korzystnych interesów kupieckich z wnętrzem olbrzymiego obszaru, nieposiadającego podówczas innego dostępu do morza. Dzisiaj zmieniły się całkowicie stosunki, i cały handel wnętrza Parany skierował się na Curitybę, a kwitnący niegdyś okręg Blumenau chyli się ku upadkowi.

Droga wspomniana wspina się od Joinville na przestrzeni dwunastu kilometrów stromo do góry, aż do szczytu gór Serra do Mar, przekraczając je na wysokości 1,160 metrów. Stamtąd gościniec prowadzi wśród górzystej, leśnej okolicy, zamieszkaanej jedynie przez dzikich Botokudów na przestrzeni czterdziestu kilometrów, przekraczając na wysokości 1,140 metrów dział wód pomiędzy rzeką Cubatao o obszernem Iguassu, w miejscowości Campo Allegre.

O trzydzieści kilometrów dalej ku pnz. leży kolonia S. Bento, w $\frac{1}{3}$ części zamieszkaana przez Polaków.

Okrąg S. Bento, wzniesiony na 1,000 metrów, posiada warunki klimatyczne podobne jak Curityba. Polaków liczą tutaj do 500 rodzin. Środkowym punktem osad polskich jest Bechelbrunn (Rio Vermelho). W górnej części kolonii rośnie żyto i kartofle; na dnie głębokich dolin (250 metrów) trzcina cukrowa, kawa i banany. W Bechelbrunn jest kościół polski, w Itajaí mieszka również kapłan polski, ks. Peters.

Warunki ekonomiczne stanu S. Catharina są znacznie gorsze, niż w Paranie, życie tańsze, ale i zarobki niższe. Brak zbytu dla artykułów kolonialnych powoduje ich niezmierną taniość, tak naprzy-

kład w Itajahy „arroba“ (15 kilogramów) cukru kosztuje cztery franki, a kilogram kawy w sprzedaży detalicznej 800 reis (32 centy austriackie), gdy w Santos płacą hurtownicy 1,000—1,200 reis za jeden kilogram.

Drugą grupę kolonialną spotykamy w okolicy miasteczka Brusque, o czterdzieści kilometrów na Południe od Itajahy; w górach pomiędzy innymi osiedlono siedemdziesiąt rodzin Rusinów z Galicji.

Trzecia grupa kolonialna, Laguna, leży na pograniczu stanu Rio Grande do Sul nad morzem. Przed siedmiu laty było tam około tysiąca Polaków z Królestwa Polskiego, ile pozostało jeszcze — nie wiem, gdyż już w roku 1896 połowa ich stamtąd uciekła.

Stan Rio Grande do Sul zajmuje obszar 236,553 kilometrów kwadratowych, liczy 968,231 mieszkańców; jest przeto z trzech stanów południowych najludniejszym i najbardziej rozwiniętym, czego dowodzi bardzo rozległa sieć kolejowa i wodna, oraz silny rozwój miast portowych, jak Porto Allegre i Pelotas.

Stan ten rozpada się na dwie odrębne strefy: północna, ograniczona od Południa linią kolei Porto Allegre — Urugwayana, stanowi dalszy ciąg płaskowyża Parany, i posiada też same właściwości klimatu i gleby, z wyjątkiem kilku kolonii polskich, dotychczas prawie bezludny. Pas południowy — stanowi część pampasów urugwajskich, a niskie jego położenie powoduje klimat znacznie gorętszy, niż na wyżynie.

Dotychczas wszystkie kolonie rolnicze leżą na południowym stoku płaskowyża, wzdłuż kolei Porto Allegre - Urugwayana, i tylko nieliczne kolonie polskie spotykamy w innych częściach stanu.

Na szczycie płaskowyża, na przykład, w polskich koloniach Alfredo, Chavas i Caxias (805 — 930 metrów) rośnie żyto i kartofle; w koloniach włoskich na stoku gór, w pobliżu Porto Allegre: ryż, bataty, wino, trzcina cukrowa i maniok, nie dochodzą zaś ani banany, ani kawa. Na stepie niskim nie widziałem nic, oprócz kukurudzy i pomarańczy, a upały dochodzą + 37° C. w cieniu, to jest do tej samej wysokości, co w Rio Janeiro.

Okolice Porto Allegre, zamieszkanego w przeważnej części przez Niemców, są gęsto pokryte kwitnącemi koloniami niemieckimi i włoskimi, sięgającemi daleko w głąb gór. Kolonie najdalsze, nieposiadające dogodnych dróg, położone na szczycie płaskowyża, są zamieszkałe przez Polaków z Królestwa Polskiego (Caxias, Alfredo, Chavas, Antonio Prado), ogółem około 1,000 rodzin. Zbyt produktów z powodu odległości od miasta i złych dróg bardzo utrudniony.

Kilkaset rodzin polskich z Królestwa utworzyło kolonie: Marianna Pimentel i Maria Clement w górach Serra do Herval, o kilka godzin na Zachód od Porto Allegre; sieją tutaj sporo pszenicy i handlują korą drzew garbarskich, obficie rosnących w tu-tejszych lasach. W kolonii polskiej S. Feliciano, w górach Serra da Gueruzilhada, osiadło około 500 rodzin polskich.

W Porto Allegre mieszka do 2,000 rzemieślników, kupców i wy-robników polskich; w Pelotas kilkuset Polaków pracuje w rzeźniach (saladeros). Kilkuset Galicyan umieszczono nad morzem w kolonii S. Antonio da Patrulha.

Z kilku tysięcy Polaków, osiedlonych w roku 1891 na kolonii Silveira Martius, nie pozostał ani jeden, miejsce ich zajęli Włosi. Z polskich również kolonii Jaguary i Ijuhy, położonych w pobliżu granic Argentyny, również mała stosunkowo część pozostała, dzisiaj przeważają wszędzie Włosi, Polacy wysiedlają się do najdalej ku granicy Parany posuniętej kolonii Guarany.

W Jaguary liczone niegdyś 5,000 Polaków, dzisiaj na ogólną liczbę 8,489 mieszkańców jest ich tylko 784. Kolonia produkuje wódkę trzciniową (kaszaw), wino, ryż (5,532 worki), kartofle, cebulę, siemię lniane, żyto (2,545 worków), pszenicę bardzo lichą (16,023 kilogramy). Wartość eksportu z jednej kolonii Jaguary oblicza urzędowe sprawozdanie w pierwszym półroczu 1896 r. na 238,500 franków.

Stan Rio Grande do Sul, zarówno ze względów klimatycznych, jak rodzaju gleby i stosunków zarobkowych, nadaje się znakomicie dla emigracji europejskiej, czego dowodzi roczny z roku na rok napływ wychodźców ze wszystkich krajów Europy do tego stanu. Zwłaszcza dla rzemieślników i robotników fabrycznych, młodzieży handlowej i t. p. obszerne otwiera się tutaj pole; ujemną jednakże stroną specjalnie dla emigracji naszej jest jej rozproszenie wśród różnoplemiennych elementów (na kolonii Jaguary naliczyłem nie mniej, jak osiemnaście rozmaitych narodowości, między którymi nie brakło Madjarów, Łotyszów, a nawet Arabów z Lewantu), wskutek czego Polacy są skazani na wynarodowienie najdalej w drugim pokoleniu. Znamiennym, bądź co bądź, jest fakt, iż Polacy, osiedleni w latach 1891—92 przez rząd brazylijski w stanie Rio Grande do Sul, już dzisiaj więcej, niż w połowie, opuścili nadane sobie grunta, a ruch ten jest stałym; było-by więc rzeczą pożądaną, jeżeli nie można skierować ich do Parany, przynajmniej starać się wpływać na to, aby się osiedlali wyłącznie na Północ od linii kolei Porto Allegre - Uruguayana, gdzie znajdują warunki podobne, wjak w Paranie, a posuwając się ku Północy, jak to dzisiaj ma miejsce wzdłuż budującej się kolei z Santa Maria przez Cruz Alta do Passo fundo, zetkną się w nieda-

lekiej przyszłości z pionierami polskimi, wrzynającymi się w lasy Parany od Północy, przez Palmas do tegoż Passo Fundo, gdzie się dwie części wielkiej kolei, mającej połączyć Rio Janeiro z Argentyną, połączyć mają.

Towarzystwo kolonizacyjno - handlowe zamierza też przede wszystkim rozciągnąć agitację pomiędzy Polakami, osiedlonymi wśród obcych narodowości w stanach St. Catharina i Rio Grande do Sul, w celu skierowania ich emigracyi drugiego stopnia tam, gdzie mogą potężnie wzmocnić już dzisiaj liczebnie silny żywioł polski, zamiast służyć za narodową mierzwę Niemcom i Włochom.

DR. JÓZEF SIEMIRADZKI.

MATERIAŁY I NOTATKI.

1793.

W styczniu 1792 roku, zakończona traktatem pokojowym czteroletnia wojna turecka, dała możność cesarzowej Katarzynie rozstrzygnąć zatarg z czteroletnim sejmem warszawskim.

Dwa zadania odrębne były do skutecznienia. Nasamprzód, usunięcie nienuznanej przez Rosyę roboty sejmowej. Następnie, ustawodawcze wykonanie podziału. Do pierwszej czynności była niezbędna konfederacja targowicka. Do drugiej był niezbędny sejm grodzieński.

Konfederacja generalna w maju rozpoczęła akcyę, niebawem objęła panowanie w Rzpltej. Przeniesiona z kolei, wyższym z Petersburga nakazem, z Targowicy do Brześcia (wrzesień), z Brześcia do Grodna (październik), tutaj miała czekać, aż ją dla drugiej czynności zluzuje sejm grodzieński.

Najjaśniejszej Konfederacyi ciągle jeszcze marszałkował i przewodził Szczęsny Potocki. Ale mocarz republikański już nosił w sercu truciznę upokorzenia i zawodu. Już teraz, późną w Grodnie jesienią, nie czuł się tym wspaniałym tryumfotorem, jakim wiosną wjeżdżał do Targowicy. Stała się rzecz, której on nie przewidywał. Zapomniał

o królu. Przypomniano mu króla. Urodzony oligarcha, zamyślający o Rzpltej bez pana, chyba pod sobą jednym, jako panem, on godził przedewszystkiem w despotyzm korony, zaprowadzony przez Ustawę majową, godził bezpośrednio w monarchę, którego spodziewał się usunąć, którego może zastąpić tajną żywil ambicję. Zaczął od odebrania mu zarządu nad wojskiem i rozdawnictwa wakansów, od unieważnienia jego nominacyi i patentów, od zatarcia jego imienia w przysiędze i aktach konfederackich, od milczącego złożenia go z tronu. Zapomniał o drugiej czynności — podziałowej. Zaś dla tej potrzebny był sejm, pełny, porządny, sejm w trzech stanach: a przeto potrzebny był król. Pamiętała o tem, za Potockiego, cesarzowa Katarzyna. Pozwoliła mu ułożyć plan konfederacyi przeciw królowi. Sama zawczasu gotowała przystąpienie króla do konfederacyi. Kiedy wszechwładny marszałek, z pełnomocnictwem petersburskiego, pod nadzorem kommisarza rossyjskiego, Bühlera, królował u siebie w Targowicy, Konstantynowie i Tulczynie, jednocześnie pełnomocnik petersburski w Warszawie, poseł rossyjski, Bullakow, od maja układał się poufnie o kapitulację królewską, aż nareszcie, już z końcem lipca, odebrał jawny, urzędowy akces Stanisława Augusta do konfederacyi.

O przystąpieniu do wspólnego teraz dzieła pośpieszył osobiście donieść Potockiemu Stanisław August. Pomiędzy królem a magnatem od pół roku zerwane były stosunki. Przed pół rokiem, w ostatniej jeszcze chwili, Stanisław August osobiście był próbował wstrzymać Potockiego, „prosił, obligował, zaklinał“, „nie jako król, ale jako przyjaciel“, wypominał przykład Rzymu i Koryolana, nawoływał „cnotliwą duszę“ do rozważy, do powrotu, do przysięgi na Ustawę majową. Stanowczą odprawę był dał wtedy Potocki, piorunując na poniżające „niewolnictwo“, stworzone przez „dzień fatalny 3 maja“, sam króla nawołując do skruchy, i pośrodku czułych wiernopoddańczych zwrotów, pośrodku łzawego obywatelskiego „rozzewnienia“, nie przepominając wytknąć mu pochodzenia ze szlacheckiego gminu, deklarując się, że „tak myślę, tak czynię, jak W. K. M. niżeli królem byleś, i jakbyś myślał i czynił, gdybyś nie był królem“¹⁾. Teraz, po kilku ledwo miesiącach, jakże zmieniły się okoliczności. Postawił na swoim, wygrał magnat. Skruszyć się, ukorzyć wypadło królowi. W pokornych wyrazach Stanisław August zawiadania marszałka o swoim akcesie. Upewnia go o swoim niewzruszonym przywiązaniu i przyjaźni, której zawsze, we wszystkich okazyach, jawne dawał do-

¹⁾ Król do Potockiego, 2 stycz. 1792; Potocki do króla (ogł. u Popieła, bez daty. Pisma, I, 430, 437), do Stanisława Małachowskiego, 19 stycz.

wody, prosi o przywrócenie sobie jego „osobistego zaufania“, sam przed nim „serce swoje otwiera“, względem wspólnej odtąd pracy dla dobra kraju porozumieć się pragnie ¹⁾. Wszakże wszystkie te komplementy i czułości nie ozłociły Potockiemu gorzkiej pigułki, jaką stanowił dla niego nadspodziewanie łatwy i rychły akces królewski. Odpisał krótko, approbując krok tak chwalebny, upewniając ze swej strony o życzliwych swoich uczuciach; lecz, jeśli starał się ukrywać gorycz doznanego zawodu, nie miarkował przecie jadu zaciętości, i nie kontentując się pierwszym, samoistnym akcesem, drugi, bardziej upokarzający, przez siebie narzucony, przez siebie ułożony, podyktował królowi ²⁾. „Łącząc się z narodem wolnym i republikańskim, co Nas z równości na swój tron wyniósł, prawdziwie poznana dobra publicznego potrzeba, które nadewszystko przekładać winniśmy, to wam, narodzie republikański, nieść zachęca oświadczenie... Chęć nowości i nowe, a niebezpieczne dla spokojności narodów, maksymy, odwieczne Rzpltej prawa skruszyć całkowicie ważąc się, w rząd monarchiczno - demokratyczny przeistaczać przedsięwzięła Polskę... Lecz teraz, gdy Polak czuje i poznaje błąd tych, co się w swych umieśli robotach, uznają, że trwałość Polski na rządzie republikańskim, do dawnego stosownym, polega... Tę prawdę przed narodem republikańskim wyznając szczerze, od konfederacyi i sejmu rewolucyjnego warszawskiego, lat blisko cztery nad zwyczaj i prawa ciągnącego się i od ustaw wszystkich tejże Konfederacyi i sejmu odstępując, z serca się łączę i wcielam do Konfederacyi wolnych, pod Targowicą, pod łaską Stanisława Szczęsnego Potockiego, rozpoczętej, akt tejże Konfederacyi całkowicie przyznaję i przyjmuję, a w celu onego, wraz z narodem republikańskim, od wieków wolnym, dążyć do dobra Rzpltej przyrzekam. A tem chętniej to czynię, że i zamiar uznaję za dobry, i że wspaniałe i nieinteresowane Najjaśniejszej Imperatorowej Jmci Calej Rossyi wsparcie szczęśliwy skutek i trwałe bezpieczeństwo Rzpltej zapewnia“ ³⁾. Znaczyło to uderzyć się w piersi, wyprzeć się grzechów, poddać się na łaskę i nielaskę. Ale król już nie miał wyboru. Pokornie położył swój podpis na tym nielitościwym projekcie powtórnego akcesu, przysłanym od Potockiego. Zarazem pośpieszył zawiadomić go o tym nowym dowodzie swojej uległości. Zwracał uwagę, że podpisał bez żadnej zmiany, chociaż niektóre wyrażenia tak

¹⁾ Król do Potockiego, 24 lipca; to pismo posłane przez Ożarowskiego, kasztelana wojnickiego.

²⁾ Potocki do króla, 7 sierpnia.

³⁾ Akces 25 sierpnia.

były dotkliwie; donosił, że rozkazał już gwardyom złożyć przysięgę na wierność Targowicy; Bogiem się świadczył, że ani sam nigdy nie dążył do samowładztwa, ani też do szerzenia w kraju zarazy demokratycznej; wyraził w końcu nadzieję zachowania sobie i nadal życzliwych afektów marszałkowskich ¹⁾. To pismo, wraz z aktem powtórnego akcesu, złożył król posłowi rosyjskiemu, w którym teraz jedyne go już widział opiekuna. Bulhakow niezwłocznie wyprawił je do Potockiego, zastrzegając atoli, zapewne w myśl życzeń królewskich, ażeby nowy akces ostatecznie został ogłoszony dopiero po połączeniu Konfederacyi koronnej z litewską, i ustaleniu powszechnej, prawidłowej władzy konfederackiej ²⁾.

Z odpowiedzią do króla nie kwapił się marszałek. Rad był jak najpóźniej dać mu przystęp do czynności konfederackich, a więc do wpływania na sprawy publiczne; stąd też rad był wogóle jak najmniej mieć z nim do czynienia. Tem więcej rozlicznych interesów miał do posła, z którym dobrze było zostawać w ciągłej styczności, dając mu coraz nowe dowody swoich najusłuszniejszych chęci i czynów. „J'ai eu l'honneur — pisał odwrotnym kuryerem, a haniebną francuszczyzną, do Bulhakowa ³⁾ — de recevoir les deux lettres que V. E. m'a fait l'honneur de m'écrire, accompagnant celle du Roi et son accès qu'il a daigné m'envoyer. Je ne peux assez marquer à V. E. ma reconnaissance des soins qu'elle a pris dans cette affaire très importante pour le bien public. Cet accès est parfaitement convenable dans les circonstances présentes. Je suis persuadé que V. E. ne manquera pas de voir que ma conduite est parfaitement conforme aux vues généreuses de S. M. I., qu'Elle a daigné former pour la liberté, la tranquillité et le bien-être de la République. Je suis tout-à-fait de votre avis sur le temps de la publication de cet accès, ainsi je ne le présenterai pas à la Généralité de la Confédération, qu'après la jonction de la Confédération de Lithuanie ⁴⁾. Je ne pourrais pourtant m'empêcher de porter la Confédération générale à un acte de confiance de sa part

¹⁾ Król do Potockiego, 25 sierp.

²⁾ Bulhakow do Potockiego, 25, 27 sierp. — Por. dwa listy bez znaczenia króla do Potockiego, 2, 29 wżeś., ogł. w Roczn. Tow. Hist. (1868), 309 sq.

³⁾ Potocki do Bulhakowa, 2 września 1792 roku. Poprawiamy wszędzie w tych listach wadliwą pisownię oryginałów; zwłaszcza własnoręczne dopiski Potockiego odznaczają się okropną ortografią.

⁴⁾ Bulhakow domagał się, aby akces został złożony połączonej konfederacyi Obojga Narodów. Złączenie nastąpiło w Brześciu 11 września.

pour S. M. le Roi ¹⁾, et cette confiance augmentera sûrement à mesure, que S. M. donnera des marques non équivoques de son attachement pour la liberté de la République et de sa confiance entière dans la Souveraine, qui daigne si généreusement la protéger. La Confédération générale vient de réitérer son édit contre les médailles et croix qui ont été données en récompense aux militaires qui ont agi contre les troupes victorieuses de la Souveraine qui l'a protégée ²⁾. Je trouve que ces distinctions militaires sont de la dernière indécence, ainsi que la médaille ridicule qui doit être faite pour le neveu du Roi ³⁾. La Confédération générale poursuit son chemin pour Brześć ⁴⁾ V. E. est sûrement informé d'une espèce de discussion qui s'est élevée entre les chefs de la Confédération de Lithuanie, je ne doute pourtant pas qu'avec le concours de V. E. la circonstance sera aplanie facilement, d'autant plus, qu'il me paraît très important qu'on se tienne exactement et scrupuleusement à l'acte primitif de la Confédération. L'amitié dont V. E. veut bien m'assurer, me flatte infiniment. Je suis persuadé que ma conduite et le désir que j'ai de vous prouver l'étendue de la mienne m'assurent ces sentiments de votre part“.

Ale dyktator Rzpltej, marszałek Najjaśniejszej Konfederacyi Obojga Narodów, dziedzic starożytnego i sławnego nazwiska, magnat polski i pan z panów, jakim był Szczęsny Potocki, niedługo mógł cieszyć się przyjaźnią prostego, trzeciorzędnego agenta, bez znaczenia, nawet bez przyszłości służbowej, małego radcy kancelaryjnego, dośługującego się w pocie czoła skromnej rangi radcy stanu, skromnego orderu i skromnej emerytury, trzymanego w Warszawie na połowicz-

¹⁾ Mowa o uchwaleniu deputacyi do króla z zaproszeniem do nominacyi dwóch członków kommissyi skarbowej.

²⁾ Dekret konfederacki 18 lipca zniósł razem i nowe patenty, i znaki wojskowe.

³⁾ Medal od wojska dla ks: Józefa z napisem: Miles imperatori.

⁴⁾ Cesarzowa pierwotnie rozkazała przenieść konfederacyę do Brzescia, w zamiarze urządzenia tam sejmu. Katarzyna do Bühlera, 2 sierpnia: „j'ai choisi la ville de Brześć pour la tenue de la future Diète... et je vous charge de faire vos démarches auprès des chefs de la confédération de la couronne pour qu'ils s'y transportent de même“; do tegoż 14 sierpnia. stanowczo oświadcza się przeciw przeniesieniu do Warszawy: „mesure fausse et contraire à mes intentions“ i ponawia rozkaz „sur le champ se porter à Brześć, où la Diète même doit être rassemblée“; później dopiero, z uwagi na brak odpowiednich pomieszczeń w Brześciu, rozkazuje przenieść się z kolei do Grodna, do tegoż. 5 października, Sborn. XLVII, 427, 445. 457.

nym etacie, na tymczasowe potrzeby, wycierającego w Petersburgu kąty w przedpokojach Potemkinów i Zubowów, jakim był Jakób Iwanowicz Bulhakow. Wstępne prace targowickie już były pomyślnie załatwione. Przychodziły na stół inne, ważniejsze materye. Inna też, większa figura wystąpiła na widownię. Zdmuchnięci nagle Bulhakow i Bühler. Przybywał nadzwyczajny ambasador J. C. M., były generał - gubernator nowgorodzki i twerski, kawaler św. Aleksandra Newskiego, rzeczywisty radca tajny, baron von Sievers.

Czas już naglił. Sprawa podziału już zupełnie była dojrzała. Wypadało z nią skończyć. Wprawdzie, jeszcze kilka tygodni zejść miało aż do formalnego podpisania petersburskiej konwencji podziałowej prusko-rossyjskiej. Ale już, w połowie grudnia, względem rzeczy samej, względem obustronnej rozbiorowej linii demarkacyjnej, względem rozległości obustronnych działów na Rusi i w Wielkopolsce, względem czasu i sposobu objęcia ich w posiadanie, pomiędzy dworem petersburskim a berlińskim ostateczne, najdokładniejsze i najszczególowsze stanęło porozumienie ¹⁾. Pozostawało tylko, właściwym, uświęconym już porządkiem, przeprowadzić je przez sejm podziałowy. Do tego powołanym był Sievers. „Przedsięwzięliśmy wielkie dzieło — głosiła wydana na jego imię instrukcyja cesarska, — którego początkiem i końcem jest wybawienie ziem i grodów, zaludnionych i założonych przez spółrodaków i spółwyznawców Naszych, od znieprawienia (*soblazna*) i ucisku, im zagrażających“ ²⁾. W styczniu 1793 roku, drogą na Grodno, podążył Sievers z Petersburga do Warszawy. Przyjeżdżał po króla. Ci dwaj ludzie, król i ambasador, nie byli sobie obcy. Rówieśnicy wiekiem, teraz byli obadwaj starcy sześćdziesięcioletni. Lecz niegdyś już, dwudziestoletnich młodzieńców, sprowadził razem ślepy, nielitościwy dowcip przypadku. Przed czterdziestu laty, w Londynie, gdzie bawił dla edukacyi, pracowity junkier inflancki spotkał się ze świetnym kasztelanem krakowskim, który tam siedział dla zabawy. Młody Poniatowski, hojnie ciskający pieniędzmi, nieraz z łaski dopuszczał do swoich rozrywek liczącego się z groszem młodego Sieversa. Jednego dnia wpadł na koncept kapitalny: wziął ze

¹⁾ Goltz do Fryderyka-Wilhelma II, 16 grudnia.

²⁾ Instr. dla Sieversa, 2 stycznia 1793 roku. Zwracamy uwagę, że Blum, III 39, twierdzi, jakoby ambasador, wyjeżdżając z Petersburga, nie był uprzedzony o podziale. To niedorzeczne twierdzenie biografa - apologety upada wobec znanej obecnie w tekście rossyjskim instrukcyi, którą miał w ręku, lecz wołał nie ogłaszać Blum.

sobą Sieversa do Old Bailey, do więzienia za długi, aby obejrzyć siedzącego za kratą, sławnego onemi czasy, zdetronizowanego króla Korsyki, Teodora I. Król, zamknięty w wieży za długi — cóż to za widok paradny! Dwaj młodzi widzowie stali za kratą i śmieli się. Sympal epigramaty cięty kasztelanie, wtórował mu Inflantczyk, znający się na dobrych dowcipach. Teraz najlepszego dowcipu doczekał się ambasador. Przychodził sprawdzać rachunek trzydziestomilionowych długów Stanisława Augusta.

Podział tymczasem, na długo jeszcze przed uświęceniem, stał się czynem dokonany. Prusacy zgłosili się po swoją należność. Wojska pruskie feldmarszałka Moellendorffa od dłuższego już czasu skupiały się nad samą granicą wielkopolską. Miały naprzeciw siebie słabą dywizję wielkopolską, z dwóch lekkich brygad, Madalińskiego i Biernackiego, pod komendą naczelną generała-porucznika Byszewskiego, z kwaterą główną w Pyzdrach. Zawczasu niespokojnie donosił Byszewski Potockiemu do Grodna o podejrzanych poruszeniach wojsk pruskich za kordonem. Ale w Grodnie nie wierzono, nie chciano wierzyć. „Konfederacya generalna, — uspakajał Byszewskiego marszałek ¹⁾, — której komunikowałem raport JW Pana, donoszący o rozchodzących się wieściach wkroczenia wojska pruskiego w granice Rzpltej, pochwała tą czułość i doniesienie o tych wieściach. I chociaż sądzi, że te wieści są siane przez nieprzyjaciół spokojności publicznej, przyjaźni i harmonii, egzystującej między obydwojma państwami, abys jednak nie był w wątpliwości, jak w podobnym przypadku postąpić sobie należy, odpowiadam, iż żadne zagraniczne wojsko bez wiedzy i zezwolenia Rzpltej skonfederowanej wkroczyć nie ma prawa, a przeto takich przechodów wojsko Rzpltej wstrzymywać i niedopuszczać powinno. Masz jednak JW Pan niedopuszczać szerzenia się tych bajek, które niespokojności obywatelów są przyczyną, upewniając onych, że Rzplta jest stale w nierozzerwanej przyjaźni i związku z sąsiedzkimi potencjami, i że nie tylko naruszenia pokoju pożądanego niema żadnego podobieństwa, ale, i owszem, kroki roztropne skonfederowanej Rzpltej wzmocnią te trwające związki“. W tym samym czasie, kiedy takie nauki dawał z Grodna marszałek, w Berlinie wydawano rozkazy do wymarszu. W początku stycznia 1793 roku Fryderyk Wilhelm II podpisał deklarację o wkroczeniu wojsk pruskich do Wielkopolski, „dla zasłonienia przyległych krajów pruskich, pogębienia źle myślących burzycielów i wzięcia w protekcję dobrze my-

¹⁾ Potocki do Byszewskiego, 5 grudnia 1792 roku.

ślących obywateli“¹⁾. W połowie stycznia ta deklaracja urzędownie wręczona w Warszawie, w urzędzie kanclerskim koronnym, przez posła pruskiego, 24 stycznia nad ranem, armia pruska pod Wschową i Międzyrzeczem przekroczyła granicę. Stąd na Pniewy, Poznań, Sochaczew, podążyla w kierunku Warszawy, goniąc przed sobą bez wystrzału szczupłe siły polskie. Byszewski ze swoją dywizją, ściągając zewsząd załogi, pchany ciągle przez Prusaków, wycofywał się pośpiesznie, na Kutno i Łowicz, w tym samym kierunku. Oparł się aż w Grodzisku, gdzie stanął kwaterą 17 lutego. Jednocześnie Prusacy stanęli w Skierniewicach. Operacya była skończona²⁾.

Teraz wszczął się alarm w Grodnie. W pierwszym zapale porwano się do szabli. Wydano uniwersały na pospolite ruszenie. Ale trwoga przed wszechmocnym ambasadorem wnet ostudziła gorączkę. „V. E.—tak tłumaczył się Potocki przed Sieversem, którego oporność królewska ciągle wstrzymywała w Warszawie³⁾, — paraît être mécontente de l'universal pour l'arrière-ban. Je connais votre façon de penser et suis sûr que dans l'intérieur de votre coeur vous approuvez ma conduite. Je connais la grandeur d'âme de S. M. l'Imperatrice, Elle ne serait pas étonnée, qu'un homme qui Lui a été de tout temps attaché, est fidèle à sa patrie et à ses engagements. Nous invitons les citoyens à avoir toute la confiance dans la magnanimité de la Souveraine, qui est notre garante et qui a daigné se nommer dans sa déclaration la meilleure ami de la République. V. E. désire que je remette mon départ, auquel S. M. l'Impératrice a jugé à propos de m'inviter. Connaissant les devoirs de ma place, j'ai voulu attendre que la Confédération générale prononce là-dessus, et j'espère que par là je remplirai parfaitement les vues de V. E...⁴⁾. Pour la modération que S. M. veut bien conseiller à la République, elle sera exactement observée par une nation qui ne peut et ne veut avoir d'espérance que dans sa magnanimité. J'ai l'honneur de vous envoyer la copie de l'ordre de la Confédération à mr le hetman Rzewuski pour faire retirer Byszewski avec sa division. Je suis charmé que le Roi arrive pour conduire les affaires. Sa prudence

¹⁾ Deklaracya d. d. Berlin, 6 stycznia 1793 (zwykle mylnie datowana 16 stycznia, kiedy już została podana w Warszawie przez Buchholtza).

²⁾ Podług raportów Byszewskiego i własnoręcznego Dziennika Fiszera, wtedy kapitana w sztabie głównym dywizyi wielkopolskiej.

³⁾ Potocki do Sieversa, 19 lutego.

⁴⁾ Marszałek już wtedy wyrwał się do Petersburga; Sievers do Potockiego, 16 lutego, żądał jednak, aby wprzód dał przyzwoitego zastępcę do laski i wogóle ułatwił dalszy pożądany bieg interesów konfederackich.

et son activité connue accélérera sûrement les affaires, et Dieu veuille que le bien se fasse. J'ai parlé aux messieurs de Lithuanie au sujet des revenus du Roi; il m'ont juré n'avoir pas pensé à séquestrer ses revenus. Je serai fort heureux, mr l'Ambassadeur de vous revoir bientôt, j'espère mériter votre amitié et votre estime. Je ne ferai pas, fusse pour sauver ma vie, une action avilissante, mais je ne sacrifierai la tranquillité ni le bien-être de personne à une gloriole déraisonnable¹⁾.

Odebrawszy niebawem piorunującą reprimendę od Sieversa za uniwersał, czempredziej pośpieszył marszałek odwołać zapowiedziane pospolite ruszenie, które zresztą, po dokonaniem przez konfederację rozproszeniu i rozbrojeniu wojska narodowego, w tym przypadku, pospolicie rzekłszy, przydało-by się, jak umarłemu kadzidło. Naza-jutrz po odwołaniu uniwersału, ze skrucą pisał Potocki do Sieversa¹⁾: „L'esprit qui conduit les démarches de la Confédération est autant pacifique que raisonnable. On sent bien ses devoirs, on voit parfaitement les bornes dans lesquelles notre activité doit se contenir pour ne pas précipiter notre perte. Mais au moins, mr l'Ambassadeur, en faisant les choses auxquelles vous ne pouvez trouver d'obstacle, ayez la charité de ne pas nous forcer à paraître vils et criminels. Soyez persuadé qu'avec toute ma sensibilité une conduite précipitée répugne à mon coeur. Comment moi, qui n'aurais fait de mal à qui que ce soit, pourrais-je risquer des milliers des hommes sans aucune espérance de succès? Je vous supplie, n'ajoutez pas foi à tout ce qu'on vous dira de nous à Varsovie, c'est le pays où on a toujours continué à mal voir les choses, et c'est par ces fausses démarches et aperçus qu'on a perdu la Pologne“.

Kłopoty polityczne marszałka na szczęście miały się już ku końcowi. Umywał ręce i wybierał się w drogę do Petersburga. Przed wyjazdem nie omieszkał załatwić w korespondencyi z ambasadorem rozlicznych spraw prywatnej już raczej natury. „La faillite de Tepper — skarżył się²⁾ — m'embarasse beaucoup. Trois jours avant la faillite la maison de Tepper a osé me prendre en argent comptant 47 mille ducats; j'ai destiné cet argent pour avoir le crédit nécessaire et me voilà embourbé par leur mauvaise foi. Je vous supplie, mr l'Ambassadeur, de vouloir bien protéger cette affaire³⁾... Pour la restitution des bijoux

1) 23 lutego.

2) Potocki do Sieversa 27 lutego.

3) Ta summa właśnie odpowiada tajemniczej pozycyi № 56 „pour l'usage connu à mr l'ambassadeur“ w specyfikacyi długów Stanisława Augusta, z d. 1 września. Blum, III. 480: czyżby istotnie poszła na rachunek królewski?

du Roi, il n'y a rien de plus facile que de les rendre, mais aussi il serait juste qu'on restitué aux autres ce qu'ils ont donné à la République pendant la diète passée. J'ai donné des armes qui m'ont coûté 18 mille ducats et je le prouverai par les comptes, je serai charmé qu'on me les paye aussi. Si V. E. veut bien contribuer pour qu'on me rende justice à cet égard comme aux autres, vous me ferez une grâce... La lettre du prince Poniatowski dont V. E. me parle, ne m'est parvenue et je n'en ai jusqu' à présent aucune notion¹⁾.

W połowie marca Potocki odjechał do Petersburga. Dalsza robota obeszła się bez niego. W kwietniu stawił się w Grodnie sprowadzony z Warszawy król. Sejm, zwołany w czerwcu, zatwierdził w lipcu jedną umowę podziałową z Rosyją, we wrześniu — drugą z Prusami, w październiku — traktat wieczystej przyjaźni, łączności nierozzerwalnej i odpornego przymierza z cesarzową Katarzyną.

Dajemy na zakończenie głos Stanisławowi Augustowi²⁾: „Madame ma Soeur, Ce que j'ai si vivement désiré depuis si longtemps, est enfin arrivé. Vous avez bien voulu devenir l'alliée perpétuelle de la Pologne. Plût au ciel que cela fût arrivé six ans plus tôt. Mais d'inutiles regrets sur le passé n'éteindront pas en moi l'espérance que ce qui vient d'être fait nous ouvrira un avenir plus heureux. J'ai porté tout

1) Ta wzmianka odnosi się do ciekawej sprawy między Potockim a ks. Józefem. Ks. Józef słusznie czuł się dotknięty gwałtowną odezwą marszałka do wojska, 1 stycz. 1793 r.; w piśmie mocnem, lecz nieobraźliwem, zażądał wyjaśnienia; Potocki w takim tonie odpisał, że ks. Józefa zmusił do posłania mu wyzwania na rękę; wyzwany marszałek wniósł w generalności konfiskatę dóbr przeciwnika, oskarżył go przed ambasadorem i przed królem (który w odpowiedzi Potockiemu, 2 lutego, summuje się, że o niczem nie wiedział, i prosi o zaniechanie całej sprawy), wreszcie, przed samym wyjazdem swoim z Grodna, zaproponował plac spotkania w Petersburgu. — Kładziemy tu ostatnie, w tym przedmiocie pismo ks. Józefa do Potockiego. Wiedeń, 3 kwietnia: „Dziś, 3 kwietnia dostałem list od JW. Pana pod datą 8 marca. Przyznam się, że ta nasza tak ciągła korespondencya zdaje mi się niepotrzebną. Ponieważ JW. Pan moment terażniejszy znajdujesz być niesposobnym do zakończenia naszego interesu, przymuszony jestem przystać na żądanie JW. Pana, gdyż dla mnie podróż petersburska albo grodzieńska była-by arcysmieszna. Spodziewam się, że jak tylko okoliczności pozwolą, przypomnisz sobie JW. Panu swój list, a ja mój respons“.

2) Stanisław-August do Katarzyny, 16 paździer. To nowe pismo, opuszczone przez Kalinkę, albo mu nieznane, wraz z dwoma innymi, ogłoszonymi przez nas w „Przymierzu polsko-pruskiem“, 254, uzupełnia korespondencyę, ogłoszoną w „Ostatnich latach“.

mon zèle à cet ouvrage, parceque j'ai agi par la conviction, que je faisais le bien de mon pays et que rien désormais ne traversera mon inclination et mes sentiments personnels qui m'ont depuis si longtemps attaché à V. M. I.

„Plus je suis vrai dans ce que je viens de dire, et plus je me sens autorisé et obligé à prier V. M., à la conjurer, de donner des ordres efficaces pour faire cesser les maux que souffrent la noblesse et particulièrement les villes et les paysans de mon pays, dont la misère, aggravée par la récolte la plus chétive de cette année, est au point, que leurs maladies et mortalité se communique déjà aux troupes mêmes de V. M. Ces maux vont certainement au delà de ce que V. M. peut s'imaginer, car sûrement déjà votre coeur compatissant y aurait porté remède. Pour vous en épargner ici les tristes détails, je me réfère à ce que j'expose à cet égard à l'Ambassadeur de V. M. I.

„Vous êtes trop bienfaisante pour vous refuser à soulager une nation, dont vous venez d'agréer l'alliance. Lorsque vous vous chargez de sa défense contre toute agression étrangère, vous ne voulez certainement pas qu'elle soit malheureuse dans son intérieur. Si ce mal n'était pas redressé et bientôt, cette nation perdrait la possibilité de vous devenir jamais utile.

„Recevez l'assurance sincère des sentiments immuables dans lesquels je suis, Madame ma Soeur, de V. M. I. le bon frère, ami et voisin“.

SZYMON ASKENAZY.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

I. Obrazy na Wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych. — II. Panorama „Męczeństwo Chrześcian za Nerona“ Jana Styki.

I.

W Salonach Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych otwartą niedawno została doroczna Wystawa artystów krakowskich.

Składają się na nią przeważnie portrety i krajobrazy—dwie gałęzie malarstwa najbardziej przez dzisiejszych artystów upodobane i uprawiane.

Twarz ludzka jest ciekawym zjawiskiem dla artysty.

Pochodzi to stąd, że człowiek dzisiejszy najbardziej i prawie wyłącznie przez nią się zewnętrznie wyraża. Zamarło w nas, przynajmniej jako objaw ogólny, upodobanie do piękna cielesnego. Nosiśmy suknie, które doszczętnie maskują nasze ciało. Refleksyjność

i pogłębienie życia wewnętrznego łagodzi wyrazistość naszych gestów, tak, że właściwie jedynie w twarzy uzewnętrznia się nasza odrębność, charakter i właściwości indywidualne.

Twarz ludzka jest wymowną. Indywiduum każde przynosi już ze sobą na świat maskę, wyposażoną w cechy odrębne, a życie z biegiem czasu wyrażnia ją bardziej jeszcze i kreśli na niej ślady wszystkich przeżytych wrażeń, uczuć i myśli. Mogą się twarze zbliżać do siebie typem, ogólną budową, barwnikiem podskórnym, nawet przypadkowo być bliźniaczo do siebie podobnymi, jednak z wielką pewnością, nawet między dwiema najpodobniejszymi znajdzie się coś, co je wyraźnie różnić będzie. To „coś“, często bardzo delikatnie rozproszone w rysach, jest właśnie najsilniejszym objawianiem wewnętrznej istoty człowieka, jest plastycznym wyrazem jego osobowości... Teorya naukowa, która, na podstawie powierzchownych obserwacji i pomiarów, wyprowadzała schematyczne wnioski, zwane fizjonomiką, musiała oczywiście zbankrutować, natomiast subtelny zmysł intuicyjny artysty chwytą niekiedy najdelikatniejsze różnice, niewidoczne zupełnie dla oka zwykłego.

Im subtelniejszymi są owe zdolności obserwacyjne artysty, tem większą jest artystyczna wartość portretu, oczywiście, jeżeli w równym stopniu odpowiada im talent, to jest zdolność wypowiedzenia tego wrażenia, które malarz odbiera sam.

Portretami pastelowymi Wyczółkowski zapelniał obecnie całą jedną salę wystawy. Są to przeważnie postacie ludzi znanych ogólnie, czy to jako wybitne jednostki na polu naszej sztuki, czy na innych polach działalności społecznej.

Jest tam Kossak-ojciec, Sienkiewicz, Chelmoński, prof. Sokolowski, sam autor, powtórzony kilkakrotnie, i wielu innych.

Wyczółkowski doskonale się orientuje w typie twarzy, doskonale podporządkowuje szczegóły pod względem ich wartości charakterystycznej, a głównie, nie zanęcza malowanych przez siebie twarzy pędzlową kaligrafią, tak powszechną, niestety, u wielu dziesiętnych portrecistów.

Portret nie koniecznie musi być lustrem, lującym odbiciem natury, osadzonem w ramach. Więcej chodzi oto, aby był żywy przez właściwy sobie wyraz i artystyczną prawdę w rysunku i barwie twarzy. Portrety Wyczółkowskiego są prawie szkicami, i właśnie to umiejętne streszczenie każdego, na gorąco pochwyconego rysu, stanowi największą ich zaletę. Każda położona kreska ma doniosłe znaczenie, każda coś mówi, lecz właśnie tyle tylko, ile potrzeba.

Nie są to studia, w których malarz uczy się naśladować: skórę, nos, oczy, włosy itp., lecz artystyczna kwintessencja tych jedynie,

wybranych z mnóstwa innych niepotrzebnych, szczegółów, które całkowicie charakteryzują każdy rys twarzy z osobna, jako składową część pewnego typu.

Do najlepszych portretów Wyczółkowskiego, z wystawionych obecnie, należy portret własny autora (w berecie), i drugi z gołą głową, patrzący wprost na widza—(trzeci, malowany w oświetleniu zachodzącego słońca, jest właśnie przykładem tego, o czym wspominałem wyżej—nie portretem, lecz studjum skóry ludzkiej w specjalnem oświetleniu i może być świadectwem dawniejszych ultra-kolorystycznych upodobań autora). Doskonały jest także portret w całej postaci, prof. Sokołowskiego, i portret młodej damy, w jasno różowej sukni, w pozie przechylonej, wspierającej się na łokciu.

Do grupy najlepszych portretów zaliczę jeszcze portret p. Błocha, tudzież młodego mężczyzny, o energicznym wyrazie twarzy, ubranego w togę profesorską.

Portret Henryka Sienkiewicza jest nazbyt szkicowy, niedopowiedziany w wyrazie, a twarz Chełmońskiego chybia pod względem charakterystyki barwnej. W portrecie Juliusza Kossaka słabą stroną jest modelacya twarzy. Oczywiście są to wszystko braki względne, występujące głównie przez zestawienie z kilku doskonałemi pracami, o których mówiłem wyżej. Ogólnie biorąc, cały ten bogaty cykl portretów jest wybitnem zjawiskiem w tej gałęzi naszego malarstwa.

Aksentowicz wystawił także kilka pastelowych głów, wyłącznie kobiecych. Nie wiem, czy to są portrety, czy pomysły komponowane z pamięci, mniejsza o to, bo są ogromnie żywe i mają, a zwłaszcza jedyna, bardzo subtelnie wyrażony wdzięk kobiecy, właściwy tylko twarzom rasowym.

Takich główek Aksentowicz malować musiał już wiele, ja sam widziałem sztuk kilkanaście, a jednak żadna z nich nie była do siebie podobna.

Temperament artystyczny Aksentowicza jest niezmiernie żywy i gibki. Przerzuca się ciągle od jednych tematów do drugich, opanowuje je z łatwością, przesycę się niemi i z równą łatwością porzuca je dla nowych a odrębnych upodobań. Namalował „Zajęcie

Angsburga"—obraz pełen mnóstwa charakterystycznych typów woj-
skowych i mieszczańskich; doskonale postaci, mundury, kostiumy—
wielka prawda w kompozycji—słowem, bardzo dobry i ciekawy obraz.
A potem nagły zwrot, i maluje znów doskonale obrazy z tema-
tem ludowym, jak „Oberek“, lub „Pogrzeb wiejski“; a potem znów
portrety wykwintnych dam, fantazyowanie na temat wdzięku twarzy-
czek niewieścich itd. Sądzę, że przy tej właściwości swego talentu
Aksentowicz byłby niezrównanym, jako ilustrator „Pana Tadeusza.“
Ta różnorodność jego artystycznych wrażeń i upodobań pomieściła-by
się wówczas w jednym dziele, które dotychczas odpowiednego sobie tło-
macza nie znalazło.

Jacek Malczewski wystawił „Jesień“, „Chiromantkę“ i „Histo-
ryę piosnki“. Olga Boznańska, —mały obrazek: „Kwiaty“: Mehofer
—kompozycje ornamentacyjne; a Chełmoński, Falat, Stanisławski
i Piotrowski —cały szereg krajobrazów.

Krajobraz jest niewątpliwie jedyną rzetelną zdobyczą dzisiej-
szej epoki malarskiej. Ścisłe biorąc, nie miało go malarstwo poprze-
dnie od samego narodzenia swego, ani w najświetniejszych okresach
rozwoju, aż do początków tego wieku, pochłonięte całkowicie przez
bogactwo jedyne i nieskończenie skomplikowanego motywu, jakim
jest człowiek z całą różnorodnością swej cielesnej i duchowej natury

To też w stosunku do tego, co malarstwo lat dawnych umiało
wypowiedzieć o człowieku, dzisiejsze jest tylko, rzecz-by można uzu-
pełnieniem, jest jakby cyzelowaniem odlewu, który już zastygł w zde-
cydowanych kształtach spiżowych.

Natomiast przyroda, nie jako konwencyonalna dekoracja malar-
ska lub tło dla postaci człowieka, lecz jako samoistny motyw arty-
styczny, który ma swoją odrębną a tajemniczą duszę, swoją żywioło-
wą poezję i niezależność istnienia, dostała się w całym dziewictwie
swojem sztuce dzisiejszej, jako nieprzebrana skarbnica dla twórczo-
ści, pozostawiona odłogiem przez dawną sztukę.

Malarstwo teraźniejsze otworzyło krajobrazowi szeroką drogę,
wprowadziło do sztuki przyrodę w całej nagości jej piękna i prawdy.
Doszczętnie potargało konwencję, która pozostała jako tradycja ar-
tystyczna po „pięknych“, to jest wysłodzonych i mdłych, krajobrazach
włoskich wieku zeszłego.

Nietylko piękną, lecz także potężną i wspaniałą jest przyroda
w sztuce dzisiejszej. To nie zalotnica, pozująca do portretu w ko-
kieteryjnym przybraniu, to bogini groźna i piękna zarazem, tajemnicza
i olbrzymia.

Dzisiejsze malarstwo nie odtwarza, lecz przedewszystkiem wy-
raża przyrodę, oddaje nietylko jej kształty zewnętrzne, lecz także jej

dużę — nastój. Ów nastrój dominuje w krajobrazach dzisiejszych, jako artystyczna treść kompozycji, przytłumiając samą opisowość, która przy dążeniu do coraz większego uproszczenia motywów, schodzi nieraz do kilku perspektywicznie wiążących się linii i kilku zharmonizowanych w ogólnym tonie barw. Zwłaszcza przyroda kraju naszego, ze swoją prostotą w liniach, a nieprzebraną różnorodnością motywów świetlnych, jest niewyczerpanym skarbem dla malarza, który jej subtelną poezję odczuć potrafi.

To też od czasu prawdziwego rozwoju malarstwa u nas, krajobraz polski zajął pierwszorzędną rolę w sztuce europejskiej. Po Szermentowskim, który zmarł młodo, nie wypowiedziawszy się dostatecznie, najwybitniej i najbardziej indywidualnie Chelmoński wyrzcił w swoich obrazach poezję naszej przyrody.

Umiał on siłą szczerzego talentu narzucić tłumom puste, kwitnące kaczęncami łąki, piaszczyste drogi, wijące się wśród gęstych borów mazowieckich, cisze wieczorne, mgliste poranki, senne lasy — w całej ich wspaniałości i prostocie. Zmurszały ówczesny arcopag estetyczny Warszawy protestował z początku, przedrwiwał autora, ignorował go jako artystę, lecz ostatecznie siłą rzeczy musiało przyjść do zwycięstwa i Chelmoński zwyciężył na całej linii. Dziś talent jego jest jak wygrana na rogu melodya, która tysięcznymi echemi odbiła się w całej sztuce polskiej. Dziś on sam jest własnym echem, bo każdy talent ma swój wschód i zachód.

„Poranek“ i „Krajobraz“, dwie prace, świeżo wystawione, noszą w sobie jeszcze ślady dawnej potęgi twórczej, lecz nie mogą wartością artystyczną dorównać obrazom dawnym. Częściowo są w nich doskonałe miejsca, jak na przykład: kawałek wody z łabędziem i nikielne blaski żółte wychylającego się z poza widnokręgu słońca w obrazie „Poranek“, lecz całość nie wytrzymała jest na tej wysokości.

Dwa krajobrazy Fałata wydają się być zaledwie podmalowanymi. Zadużo w nich surowej jeszcze farby i za dużo uogólnienia w modelowaniu i rysunku.

Ta panoramiczna niedbałość w traktowaniu motywu osłabia niektóre bardzo dobre miejsca i psuje wrażenie całości.

Charakterystyczną właściwością obłoków zawsze będzie ich miękkość i rozwiwność w stosunku do przedmiotów twardych i blizkich. Odrębny i właściwy sobie charakter muszą mieć poplątane porosty bagniska, a inny znów zbita masa igliwia sosny. W krajobrazach Fałata zamało jest nacisku położonego na tę odrębność. Za dużo widzi się w nich pracy pędzla i wprawnej ręki, a za mało wrażliwości na subtelną różnorodność form, jakimi przemawia do nas przyro-

da. Gdyby reszta obrazu p. t. „Łoś na moczarach“ była dociągnięta do tej wartości artystycznej, jaką mają partye brzoźowego lasu i kawałek wody odbijającej niebo, byłby to bardzo dobry obraz. Drugi, p. t. „Jezioro Świtez“ ze zwałoną sosną na pierwszym planie, podmalowany jest tak ogólnie, że nawet z największego oddalenia oko widzi surową farbę.

Do grupy krajobrazów „Sztuki Krakowskiej“ należą jeszcze drobne studia i notatki pejzażowe Stanisławskiego. Są one bliźniaczo podobne, i traktowaniem, i motywami, do poprzednich, które co roku w kolekcyci „Sztuki“ figurują na Wystawie. Czekajmy, aż autor z tych „studyów“ zdecyduje się namalować „obraz“.

Między studyum a obrazem zachodzi ogromna różnica, widoczna nawet w krajobrazie, a dowodem tego są krajobrazy Ruszyca, również wystawione obecnie w Salonach Towarzystwa Sztuk Pięknych, lecz nie należące do grupy obrazów „Krakowskich Artystów.“ Wspomnę tylko o jednym, najdobitniej dowodzącym, jak wiele można wypowiedzieć w najprostszym motywie, biorąc go jako wyraz artystyczny wrażeń i uczuć przetrawionych psychicznie.

Obraz ten nosi tytuł: „Ziemia“, a za motyw ma płaskogórzystą ławę ziemi, wybiegającą łukiem rozciągląym od ramy do ramy, w ten sposób, iż wypełnia fantastyczną sylwetą swoją całe pole widzenia. Niema na nim ani poziomej linii widnokregu, ani perspektywicznych planów, ani wody, drzew lub roślinności. Jest tylko wielki szmat czarnoziemu, wypukłym stokiem odcinający się od wielkiej przestrzeni powietrznej, w której kłębią się spiętrzone góry szarych i srebrnych obłoków. A na krawędzi tego stoku ukazują się wprost na widza dwa woły, za nimi pług i rataj.

Motyw prosty, scena najpospolitsza i spotykana często, lecz pojęcie motywu i sceny, i wyrażenie go, powiedzmy „podanie“ wrażeniu widza, czyni go zjawiskiem jakby zupełnie nowem i sprawia wrażenie potężne. Owe jednostajne szarobrunatne pasma zagonów, ta pospolita tłusta masa, tak pokornie ścieląca się pod stopami ludzi, którzy nią handlują na łokcie, w obrazie staje się tem, czem jest w istocie—potężnym żywiołem, który nas wydał, żywi i pożywa. A człowiek, marna, drobna, na każdym kroku zależna od niej istota, pokornie i uroczyście sprawuje, niby mistyczny kult, swoją wieczną, znojną pracę skazańca pod skłębionemi zwałami obłoków, groźnie spiętrzonych na jego głowę.

Takie jest bezpośrednie wrażenie artystyczne tego obrazu. Wszystko to widz odczuwa, bez względu na kartkę tytułową, a widzi i odczuwa dla tego, że autor chciał i potrafił jednocześnie to samo wypowiedzieć środkami sztuki, użytymi z wielkim artyzmem.

Siła tych środków polega na ich prostocie, w artystycznym, dodatnim sensie tego wyrazu, a prostotę daje głębokie wniknięcie i zrozumienie tajemniczego języka natury, który jest doskonały w swych formach i nieprzebrany w bogactwie.

Przyroda w obrazie Ruszyca wyrażona jest w sposób jasny, bez żadnych przypraw symboliczno-dekadencjicznych, bez okonturowań przesadnych i równie przesadnego nadużycia barw krzyczących. Obraz rozmyślnie przytłumioną na skalę barwną, która czasem bywa tylko „gadulstwem“ palety, zagłuszającym wymowność samej rzeczy.

Zrenica oka, równie jak soczewka aparatu fotograficznego na kliszę, przepuszcza na siatkówkę każdy szczegół, który jej przyniosą promienie odbitego światła, lecz dopiero wrażliwość narządów mózgowych robi z nich wybór i grupuje w całokształt wrażeń, odpowiedny do organizacyi psychicznej indywiduum.

Autor „Ziemi“ dał jej wyobrażenie, nie takie, jakie najpospolitszem wrażliwym odbije się w każdym pierwszym lepszym mózgu, lecz takie, jakie on sam w dany moment odczuł i pojął. To też obraz ten, przez swe indywidualne pojęcie przedmiotu, przez swą artystyczną prostotę w motywie i wykonaniu, może się nie podobać szerokim masom, lubującym się w lakiernictwie, może się nie podobać także tym, którzy szukają w obrazach zajmujących rebusów kompozycyjnych; lecz, jako prawdziwe dzieło sztuki, sprawia wielką przyjemność artystyczną ludziom, którzy posiadają wyrobiony smak artystyczny i wrodzone zamiłowanie wrażeń wytwornych.

II.

Rozwinięcie wśród mas szerokich potrzeby wrażeń estetycznych wytworzyło odpowiednio zdemokratyzowaną twórczość artystyczną we wszystkich dziedzinach sztuki.

Powstały, „féeries“, ilustracye, panoramy,—formy sztuki, których zadaniem jest działać na wrażliwość niezbyt uczuloną a głodną. Działanie wytworzonem więc być musi przez środki prymitywne, grube w stosunku do środków, jakimi się posługiwała i posługuje sztuka w epokach i środowiskach wytwornego znanstwa i smaku.

Czem są „féeries“ w dramacie, tem jest panorama w malarstwie: dużo ruchu, tłum, barw, błyskotek, w które wpleciona jest

akcja o grubych i wyraźnych konturach i zewnętrznej bijącej w oczy dramatyczności.

Najwięcej pokarmu znajdzie tu wzrok, mniej myśl, a najmniej owo subtelne uczucie artystyczne, znane tylko duszom bardzo wrażliwym i wyrafinowanym estetycznie.

Oczywiście, to, co powiedziałem wyżej, dotyczy ogólnej charakterystyki panoramy. Poza tem ważną rolę odgrywa talent, który cudotwórczą mocą zwykł opromieniać wszystko, czego się dotknie. I w panoramie znaczenie jego jest potężne, z natury rzeczy jednak musi być ono ograniczone, a pod pewnym względem nawet przytłumione.

Malując zwykły obraz, można nie mieć talentu i w rezultacie dać rzecz nudną; można być spekulantem i produkować, wbrew instynktowi, rzeczy, kokietujące bogatych amatorów; ale można także być szczerym i wielkim artystą i przelać na kawał płótna duchową potęgę własnej jaźni, wypowiedzieć najsubtelniejsze swoje uczucia, słowem: można naprawdę tworzyć i zapładniać swoją duszą inne dusze.

Panorama, biorąc ją w sensie artystycznym, ogranicza widnokręgi takiej twórczości. Już z założenia swego jest przedsiębiorstwem, spekulacją o dużym nakładzie pieniężnym, który musi wrócić się z procentami w postaci oboli tłumu, nie lubiącego płacić za coś, co mu nie trafia do gustu. Zaraz więc z początku, w samym rozwinięciu tematu autor idzie na służbę do mas, a dodać trzeba, iż rzadko i szczęśliwym trafem tylko w krajach, gdzie poziom artystyczny ogółu stoi względnie wysoko, lub gdzie całe społeczeństwo na chwilę znajdzie się w ogólnym kontakcie duchowym, autor schodzi się z upodobaniem ogólnem w wyborze tematu, bez pewnego przymusu dla swego artystycznego upodobania.

W obrazie malarz może nie liczyć się z widzem zupełnie. Komponuje obraz jak chce, na co chce kładzie nacisk; stawia widza na punkcie patrzenia takim, jaki mu się zdaje dla wyrażenia jego idei potrzebnym; odpowiednią dekoracyjnością malowania ustanawia, rzecz-by można, odległość między wzrokiem i płótnem; mnóstwem środków czysto artystycznej natury opanowuje jego uwagę i kieruje nią wedle upodobania, gra na jego wrażliwości, niby na instrumencie; stwarza nastrój i wrażenie, jakie mu są potrzebne.

Inaczej w Panoramie:

Tu widz ma „podyum“, na którym staje, oczekując od autora złudzenia, omawiania, meiningeńskich efektów, w których pierwszorzędą rolę grać musi tapicersko-dekoracyjny produkt, zwany fałszywym terenem.

Plótno zawieszono jest na tak wielkiej odległości od oczu, że w malowidle wszystko, co przechodzi poza bardzo dekoracyjne rozłożenie kształtów na plamy barwne, uogólniające każdy żywy lub martwy przedmiot, jest zupełnie, jako wrażenie artystyczne, stracone. Cała subtelność wyrazu twarzy, gdyby nawet niedoświadczony malarz panoram pokusił się o jego wydobyć, z konieczności zginąć-by musiała bez wartości, równie, jak na scenie, gdzie dla oczu widzów, zwłaszcza siedzących dalej, zacięra się zupełnie różnica, czy aktor przywiesi do boku sztylet z rękojeścią złotą, cyzelowaną przez Celliniego, czy też tombakową jego imitację.

Wobec tego, co widz może wiedzieć o uczuciach, które przecież powinny malować się na twarzach bohaterów panoramowych? Indywiduum musi zginąć w panoramie, pozostaje ruch, tłum, zbiorowa akcja, czyli ilustracja pewnego zdarzenia, wzbogacona kostiumami, architekturą, efektami światła, no i względnem złudzeniem rzeczywistości.

Tu zrobię nawias. Powie mi ktoś może, że wielkie malowidła ścienne Odrodzenia musiały też krępować malarzy warunkami przestrzeni, a jednak uznane są za arcydzieła sztuki. Otóż odpowiem, że wielkie dzieła Odrodzenia nie mają nic wspólnego z Panoramą, cel tych malowideł był inny i inny rezultat artystyczny. Nie chodziło w nich o złudzenie, o zaszachowanie widza pytaniem, gdzie się kończy plastyka dotykalna, a gdzie zaczyna malowidło.

W owych czasach, ani u tych którzy malowali, ani też u tych, którzy na malowidła patrzyli, nie było nawet owej chętki zadawania się powierzchownem złudzeniem. W ich wytwornych naturach pojęcie prawdy i piękna wybiegało o wiele dalej, poza wrażenia stereoskopów i kinenatografów. Podnioslejszych szukali wrażeń. Michał Anioł w kaplicy sykstyńskiej nie ludzi naturalnej wielkości malował, lecz tytanów, których twarze każdym muskulem, każdą zmarszczką skóry wypowiadają wielkie uczucia ducha autora. Nie potrzebował fałszywym terenem przekonywać, że są prawdziwymi, bo on w nich z siebie życie wlał, i jego duchem są oni żywi, tak, jak żywą jest każda postać Szekspira, choć powierzchowną prawdziwością dyalogów przewyższy je pierwsza lepsza postać realistycznej literatury dzisiejszej.

Wracając do Panoramy, powiem, że można wiele jeszcze przytoczyć powodów, dla których ta gałąź malarstwa nigdy do dzieł wielkiej sztuki zaliczoną nie będzie. Nie czynię tego, bo sądzę, iż każdy człowiek o subtelniejszym poczuciu i wykształceniu estetycznym zrobił już pewno spostrzeżenie podobne na własną rękę. Nigdy przytem panorama nie pociągała artystów o wielkiej sile twórczej, których dzieła i imiona przejdą do sztuki przeszłości.

Poświęcały się jej głównie talenty duże nieraz, lecz płytkie i mało indywidualne, skuszone łatwością wywołania wrażeń powierzchownych, lecz efektownych, a częściowo powodowane zapewne łatwością płynącą popularnością i zyskiem.

Panorama, a właściwie hemicykl p. Styki, jest wielką i efektywną ilustracją do dramatu historycznego, który rozegrał się w starożytnym Rzymie, za Nerona, podczas zetknięcia się dwóch obcych i zasadniczo wykluczających się idei społecznych.

Bogactwo i potęga, kult ciała i zmysłów, zanikanie siły duchowej z jednej strony, a z drugiej ewangeliczna podniosłość dusz i umysłów, głęboka wiara i prostota ascetyczna chrystyanizmu—o to temat, który dał p. Styce bogaty materiał do namalowania nowego obrazu panoramicznego.

W panoramie materiał ten pod względem artystycznym wyzyskany jest jednostronnie.

Przepych życia i obyczajów epoki Nerona, a zwłaszcza wspaniała architektura Rzymu z owych czasów, przedewszystkiem uwzględniona jest w tym obrazie. Architektura, wystudytowana starannie pod względem archeologicznym, nadzwyczaj plastycznie, prawie ludzko przedstawia się oczom widza. Za to człowiek sprowadzony jest tam do roli stafażu, i to stafażu mało urozmaiconego w ruchach, lekceważonego pod względem rysunku i koloru. Sam dramat „Męczeństwa“ kryje się w drukowanym tytule, na obrazie parodują go źle reżyserowani statyści. Nie dość jest modela na krzyżu powiesić, albo modelce kazać załamać ręce—trzeba koniecznie to wszystko samemu odczuć głęboko, czy to nerwami sceptycznego patrycyusza, czy wrażliwą duszą Chrześcianina, czy też myślą analizującego czyny ludzkie filozofa, a odczuwszy w jakikolwiek sposób, wyrazić z taką siłą twórczą, aby uczucia artysty udzieliły się widzom. Wtedy rezultatem będzie potężny dramat, a nie „żywe obrazy.“

W panoramę, oprócz twórczości, autorzy kłaść muszą jeszcze olbrzymi nakład pracy. Niestety, jestto tragicznem, ale koniecznem prawem w sztuce, że wartość samej pracy schodzi tu prawie do zera.

Jedna mała akwaforta Klingera z cyklu: „Dramaty“, jest przez potęgę artystycznego wyrazu dla sztuki sto razy więcej warta, niż ogromne płótno „Męczeństwo Chrześciana“.

To ostatnie ma tylko znaczenie pośrednie, pedagogiczne. Przeznaczone dla mas szerokich, daje im pokarm, aż nadto, w stosunku do wymagań, artystyczny, i rozwija wśród ogółu mało dotychczas rozwinięty zmysł piękna i potrzebę wrażeń estetycznych, a temu zadaniu doskonale odpowiadają, na równi z ludowymi teatrami i ludowymi wydanictwami, panoramy w rodzaju „Męczeństwa Chrześcija“.

STEFAN POPOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Wacław Sieroszewski: „Risztau“, powieść, 1899.

Tłem powieści ustronie w kaukaskich górach, na stokach niebotycznych szczytów, które się patrzą na szumiące u ich stóp w dal rozlane morze, — górski kraj, cywilizacją nietknięty, dziewiczym lasem pokryty, — jaśniejący królowaniem przyrody, groźnej i rozkosznej zarazem. Strone, poszarpane zręby skał, przepaściste urwiska, kryją śmierć szybką, zdradziecką, w każdym załomie; wyniosły, śniegiem ubielony, szczyt Risztau, pociąga tajemniczym urokiem swej niedostępności, a w dolinach klimat słodki, roślinność bogactwem i bujnością bajeczna, wybucha ku dzikim szczytom bezustanną, wielką pieśnią życia.

Na tem tle egzotycznego krajobrazu rzucona garstka ludzi takich, jakich-by spotkać można w jakimś białym dworku, — gdzieś w litewskim zaścianku; tutaj, wśród tej przyrody dzikiej i warunków odrębnych, mają oni jeszcze specjalny charakter osadników niezależnych, swobodnych, wystarczających samym sobie: ludzie, żyjący pro-

stem, silnem i pięknem życiem natury. Jest to rodzina, pozostała po byłym urzędniku b. Banku Polskiego, człowieku widać niepospolitym, trochę uczonym, więcej marzycielu, który, losami zagnany w dalekie strony, drogą rozmyślań i własnego doświadczenia doszedł do krańcowego, tołstojowskiego, pojęcia życia, przeniósł się z miasta w ten zakątek głuchej puszczy, zaczął karczować ją własnymi rękoma, ziemię uprawiać, każdy kęs chleba zdobywać własnym, ciężkim trudem, wychodząc z zasady, że szczęście, moralność i postęp jednostek, jak społeczeństw, oparte są na tej pracy, pracy na roli, obowiązującej każdego w imię równości i sprawiedliwości bezwzględnej.

Miał nadzieję kiedyś do kraju wrócić; umarł, zostawiając wdowę starsuszkę, zasną, pocziwą kobietę, wprowadzającą pod to kaukaskie niebo atmosferę polskiego dworku, z dobrodusznym uśmiechem, pożyczoszką w rękę, wielkiem doświadczeniem życiowem i rozsądkiem, wraz z uwielbieniem dla męża, którego idei nie bardzo pojąć mogła, i tłumaczyła je sobie po swojemu.

Z dwóch synów, starszy, Szymon, nieco szorstka, zgrubiała w pracy natura; pojmuje on przecieź i święcie pamięta ojca zasady, że „jedynie w pracy na roli można zostać w zgodzie z sumieniem“; „pracuj dużo, potrzebuj mało“, słyszane w dzieciństwie, zostało na zawsze w jego duszy, jako podstawa życia.

Młodszy, Jurek, dwudziestoletni, piękny, ognisty chłopak, prawdziwe dziecko natury, odważny i dzielny, żyty z górami i puszcza, która go pociąga niewymownym czarem, a całą duszą zakochany w Helenie, towarzysze lat dziecińczych, którą po śmierci jej ojca, pan Straszewicz wziął na wychowanie.

Dziewczyna jak kwiat, świeża, piękna, przytem pracowita i dzielna, jest jasnością ich domu; ku niej zwracają się także oczy Szymona, któremu coraz bardziej ciężyć zaczyna tajemniczy stosunek z Justyną, daleką krewną, panną już nieco przywiędłą, męczącą go swoim przywiązaniem, kiedy serce gdzieindziej się wyrwa.

Nagle zmienia życie spokojne tego małego światka wypadek niespodziany: człowiek, obcy człowiek z kraju, z dalekiego, szerokiego świata. Jurek, na polowaniu w nocy na niedźwiedzia, rani nieszczęśliwie młodego człowieka, zabłąkanego w puszczy. Jest to młody przyrodnik, Wichlicki, wysłany przez Towarzystwo naukowe w Kaukaskie góry, w celu poszukiwań geologicznych. Rana jest ciężka, ale nie śmiertelna. Leczą go wszyscy troskliwie, najskuteczniej Helena; niebezpieczeństwo zażegnane, w czasie rekonwalescencji zawiązuje się znajomość bliska, serdeczna; długie rozmowy z dziewczyną, czuwającą przy łóżku, obok pani Straszewiczowej, drzemającej nad pończochą, potem uroku pełne wycieczki w pobliskie gaje, parowy, gdzie

wielka poezya natury oddziaływała na nich wprost, zbliżając ich serca. Nowe, nieznanne horyzonty, otwierają się przed Heleną, której dusza gorąca i śmiała zawsze się rwała ku światłu, wybiegała poza ten górski zakątek w daleki, nieznan świat, gdzie ludzie myślą, żyją. Wichlicki opowiada jej o kraju, tym kraju szarym, płaskim, ale drogim, najdroższym; tam chciał-by ją widzieć żyjącą tak, jak tutaj, „bcz kruższyny grzechu“, ale wśród dusz pokrewnych, wśród ludzi, dla nich. „Szkoda kwiatów, które więdną w ustroini“. Duszę i serce dziewczynie zabiera, ale zarazem sam czuje się owładniętym nadzwyczajnym urokiem poezyi i prostoty tej złotowłosej. Gdyby można, ale nie, — należy on do tych, których nic nie jest w stanie zatrzymać w drodze do celu, a tym jest zdobycie znaczenia, sławy. Pecha go ambicya silna, wyłączna: wybić się ponad szarą, codzienną egzystencję — na to musi być wolny! Postanawia przeciąć te srebrne nici, które mu się koło serca obwijać zaczęły — nie chce, nie może się wiązać. Widzi przytem niechęć obu braci ku sobie, położenie drażliwe, trzeba z niem skończyć.

Wyjeżdża. Ale spokój dawny nie wraca już w dolinę; wszyscy czują, że się coś zmieniło. Szymon z dniem każdym posepniejszy, od Justyny ucieka, do Heleny nie śmie się zbliżyć, w głębi duszy gnębi go miłość i ból. Z rozpaczny pić zaczyna.

Helene ogarnia rosnący wciąż niepokój, pragnienie wydobycia się na szerszy świat, aby nie drzemać, ale żyć, walczyć, nie przeminać bez śladu, tak, jak On mówił. Oh! Gdyby jeszcze wrócił, wskazał tę drogę, oświecił, nauczył, jak wziąć się do tej pracy, tej, co w górę wznosi! Dni przesuwają się jej w pasowaniu się z sobą, w porywach nieokreślonej nadziei, tęsknoty.

Wśród pewnej księżycowej nocy budzi ją nagle jakiś szmer, na poduszce różę. Biegnie do okna — Wichlicki.

Przypędziła go tutaj miłość i tęsknota, łamiąc wszystkie postanowienia rozsądku i wszystkie porywy dumy, aby stanąć przed nią kiedyś już sławnym, już u szczytu. Przed pójściem w góry aż na lodowiec Risztau, gdzie go wysłała naukowa ekspedycja, przed tą wyprawą niebezpieczną uczuł, że musi ją zobaczyć, pożegnać, powiedzieć, że ją kocha... Mówi jej to wszystko bezładnie, gorąco, tak, jak czuje.

Chwila cudna — oddana cudnie.

Pierwszy raz mówi Sieroszewski o miłości, uderza w strunę, która dotąd milczała, kiedy w swych syberyjskich nowellach i powieściach oddawał przedewszystkiem nędzę istnienia północnych ludzi w walce z nieublaganą, wrogą życiu naturą, i tragizm cywilizowanego człowieka, rzuconego między tych dzikich, w straszne, mroźne pustkowie.

Struna, poruszona tutaj po raz pierwszy, dźwięczy tonem pełnym, dziwnie czystym i świeżym. Drga w nim cała subtelność półtonów powstającego uczucia i potęga świadomej już siebie głębokiej miłości, i niezrównany, promienny urok poezji, która na te dwie kochające się głowy rzuca świetlisty blask szczęścia.

Szczęście krótkie, jak błyskawica.

W kilka dni po rozstaniu, wieść straszna spada nagle na Helenę: wawóz rzeczki Uruelu, tam, gdzie właśnie znajdował się Wichlicki, został zasypany przez oberwanie się skały.

Energiczna natura Heleny wybucha pragnieniem ratunku dla ukochanego. Błaga p. Straszewiczową o pozwolenie pójścia w góry, Jurka, aby ją poprowadził; chłopak bohatersko oddaje jej się na usługi, idą w drogę szaloną, pełną niebezpieczeństw, pnąc się przez najniebezpieczniejsze ścieżyny coraz wyżej, z Heleną niezmordowaną, której ból i miłość dodaje sił nadludzkich: „miłość, która ciężaru nie czuje, na trud nie zważa“.

Wichlicki, w oczekiwaniu pomocy, straszne przechodzi chwile. Ocalał z katastrofy, chroniąc się na szczyt poblizki, ale skutkiem gwałtownego wylewu rzeczki, dolina, stanowiąca przejście, stała się jednym jeziorem; wkoło strome, niedostępne zręby skal, wyjścia żadnego, woda podnosi się cal za cal, śmierć pewna, nieunikniona, zbliża się jakby drobnymi krokami powoli. Duszę Wichlickiego szarpie ból, rozpacz, bunt przeciw tej głuchej sile, co mu życie bierze. Jest to moment nadzwyczajnej siły i psychologicznej głębi, ta ewolucja duchowa człowieka, stojącego już „na drugim brzegu“, i stamtąd obejmującego przeszłość jednym spojrzeniem. Z tej wysokości i w nadzwyczajnym oświeceniu staje nagle najwyraźniej cała przeszłość, występują najjaśniej wszystkie błędy i małości, nędza życiowych kompromisów, nicość osobistych ambicji, podkład grubego egoizmu, wszystko, co w tej chwili przygniata duszę wyrzutem i bólem. W świetle najwyższej prawdy staje jedyna, bezwzględna wartość istnienia: „Trzeba, aby każdy czyn zawierał jasną część idealu, inaczej, wszystko śmiercią, martwością“.

W ogniu cierpienia i żalu topi się wszystko, co było w duszy aliażem, niknie, co było skazą, opadają wszystkie męty błędów, zostaje dusza wolna, przeczysta, z miłością do świata, pokorą wobec win. W tem odrodzeniu ducha zastanie go śmierć: „umrę, jak rycerz“, powtarza, i do ostatniej chwili walczy z zalewającą go falą, która bierze go już, jak swego. Odzywają się strzały, ale on już ich nie słyszy; to pomoc: Jurek, Helena. Czerkies, Selim, z ostatnim wysiłkiem energii, chwytają z toni głowę młodzieńca: „Żyje, ale spieszcie się, spieszczie!“.

Krótki, urwany akord trwogi i nie więcej; ani scena rozpaczy wobec śmierci Wichlickiego, ani jego powrót do życia, nie osłabia potężnego wrażenia poprzedniej chwili, która siłą polotu góruje nad całą książką, jak śnieżny, wyniosły Risztau nad kaukaskim krajobrazem.

Wogóle jest to, jak Francuzi nazywają, „un livre bien fait“. Nadzwyczajna precyzja, pewność ręki autora, widoczna już w jego nowellach, skryształizowała się tutaj w kompozycję jednolitą, przejrzyste jasną, zarysowaną śmiało, a wycieniowaną subtelnie, tak, że robi wrażenie obrazu o barwach żywych, mocnych i zharmonizowanych z artystyzmem do jednego tonu. Wrażenia, wywołane obrazami natury, łączą się stale z rozwojem akcji w harmonie coraz nowe, czar przyrody kaukaskiej przenika styl, który nabiera nieznanych dotąd barw i blasku, to jakby przepojony słońcem, oddaje czar tajemniczy dziewiczej puszczy, to rozwija się w zwroty nadspodziewane, rzucając obrazy i nastroje, to przechodzi w głęboki ton dramatyczny, prowadząc nas drogą Heleny ku szczytom Risztau, wśród dzikiej poezji stromych skał, z przerażającą grozą zwieszonych nad szalejącem morzem.

Tchnienie poezji, mającej swe źródło w głębokiem, bezpośredniem odczuciu natury i w duszy, pełnej miłości świata i ludzi, przy technice zupełnie opanowanej, tworzą z Risztau dzieło najbardziej skończone, najdoskonalsze w całej twórczości Sieroszewskiego. Wszystkie znamienne rysy jego talentu znajdują tu swój wyraz pełny i doskonały.

Jest to dzieło sztuki, wyrażające duszę artysty, świadomego swych sił, spojrzenie głębokie a jasne w tajemnice życia, synteza wypowiedziana w słowach: „Trzeba, aby każdy czyn, każdy ruch nasz zawierał jasną cząstkę ideału, inaczej wszystko jest śmiercią... znikomością... martwością“.

ANNA KRZYMUSKA

Kronika miesięczna.

Jesteśmy na rozgraniczu dwóch wieków. O to, czy rok 1900 należy jeszcze do stulecia XIX, czy rozpoczyna już XX-te, toczy się spór, z dziwną prowadzony zawziętością przez niektóre pisma codzienne. Zdawać-by się mogło, że chodzi tu o sprawę zasadniczą, bez której rozstrzygnięcia nie będziemy mogli należycie ocenić tych zjawisk, jakie nam fala bieżąca przyniesie, że stworzy to zamęt przy bilansowaniu dorobku, jaki mamy za sobą, i zepsuje nam dokładność rachunku. Jest to zapatrywanie się kupieckie—podczas kiedy właściwie kwestya założenia nowych „ksiąg rachunkowych“ obchodzi nas w danym wypadku niewiele.

Historja, jako jedyna nauka, do której należy zamykanie dziejów ludzkości w okresy, podsummowywanie dat i wyciąganie z nich wniosków, nie prędko jeszcze załatwi się z rachunkiem wieku XIX. Ona musi mieć dopiero perspektywę do swoich badań— a ta perspektywa jest od nas jeszcze tak daleko, że z pewnością nie my już z wie-

kiem XIX, jako z zamkniętym okresem dziejowym, będziemy mieli do czynienia.

Na stanowisku historyków jednak nie stoi szeroki ogół. On się interesuje dość żywo kwestyą początku i końca wieku, kwestyą, omawianą już od lat kilku i traktowaną zawsze, jako przełomową. Z nadjeściem wieku XX muszą nastąpić jakieś przeobrażenia, głębiej sięgające, wiek nowy musi być naprawdę nowym, powinien przynieść z sobą jakieś nowe światło, które znękaney ludzkości drogę opromieni. Tak rozumują i tego światła niewątpliwie oczekują ci, co z niecierpliwością rwą się do tego, ażeby wkroczyć w otwierające się wrota stulecia, i zawołać na progę: wchodzimy w nowy okres, jesteśmy „ludźmi nowego stulecia“.

I część świata cywilizowanego istotnie rozpoczęła już wiek nowy.

Nie podobało się to aliści tym, którzy pragnęli-by jeszcze w wieku dziewiętnastym szczęśliwie przez rok jeden żyć—i wszczął się spór, w którym powoli do gry wciągnięto logikę i arytmetykę, a do walki argumenty bardzo nieraz „za uszy przyciągane“.

Kwestya oparła się o kalendarz, o rachubę czasu i z najobojetniejszej na pozór przybrała charakter ciekawej i żądającej wyjaśnienia. Właściwie całe wyjaśnienie daje tu logiczne rozumowanie: XX-ty wiek zaczyna się wówczas, kiedy się kończy wieków dziewiętnaście, a wieków dziewiętnaście skończy się z uderzeniem godziny 12-tej w nocy dnia 31 grudnia 1900 roku. Atoli nie wszyscy, zajmujący się tą kwestyą, rozstrzygnęli ją w ten sposób. Niektórzy powikłali ją bardzo dziwnie, wprowadzając do rachunku tajemniczy rok z e r o, i kładąc nacisk na nierozróżnianie pojęcia jeden od pojęcia p i e r w s z y. Odwoływano się do tego, że rok Narodzenia Chrystusa był rokiem 0, że więc pierwsze stulecie upłynęło z końcem roku 99, a nie 100-go.

Nasza rachuba czasu nie jest stosunkowo tak dawna. Pochodzi ona z wieku VI po Narodzeniu Chrystusa, a twórcą jej jest Dyonizyusz Mały, opat rzymski. On-to postawił wniosek, ażeby w miejsce dawnego rachunku od założenia Rzymu, w świecie chrześcijańskim przyjąć nowy, rozpoczynając go od Narodzenia Chrystusa, jako chwili przełomowej. Wniosek ten ostał się, i rok Narodzenia przyjęto za rok p i e r w s z y. Na tej zasadzie bez żadnej wątpliwości, a idąc wprost za wskazówkami arytmetyki, przyjąć należy za początek wieku dwudziestego dzień 1 stycznia 1901 roku.

Niezależnie od kwestyi rozpoczęcia nowego wieku, powinniśmy myśleć o starych, broczących nieraz krwią i bardzo bolesnych ranach naszych. Jesteśmy społeczeństwem tak ubogiem, że nie mamy środków dostatecznych na prawidłowe leczenie się, i wszystko, co się u nas robi dla dobra ogólnego, są to zazwyczaj paliatywa. Radzi się złemu wtedy, kiedy się ono staje klęską zbyt dotkliwą. Środków zapobiegawczych nie znamy wcale.

Jak każde wielkie miasto, przechodzimy przez te choroby, które w wielkich zbiegowiskach ludzi powstawać muszą. Żyjemy w epoce pogoni za pieniądzem i żądzy użycia. Mechanizm naszego świata dzisiejszego podobny jest bardzo do młyna dyabelskiego, który jednych podnosi na wyżyny, drugich spycha w otchłań, z tą różnicą, że rytmika tych spadków i wznoszeń się jest mniej prawidłowa. 'Na dole zawsze jest więcej, niż na górze. I być inaczej nie może, bo rozpędowe koło naszego „młyna“ jest jeszcze za małe, ażeby wszystkich podnieść mogło. Za mały jest jeszcze nasz przemysł, za drobny nasz handel, zanadto wsteczne nasze rolnictwo, ażeby wszystkim dobrobyt zapewnić mogło. Stąd mamy w kraju wiele nędzy i wiele jeszcze ciemnoty. A nędza i ciemnota—to dwa czynniki, które rodzą zbrodnię, zbrodnię, tak szerokiem płynącą korytem wśród nas, i tyle pochłaniającą ofiar.

Warszawa posiada w swych murach wśród ludności ściągającej z rozmaitych stron kraju, całe zastępy ludzi, których ciemnota i nędza zepchnęły na najniższe szczeble, którzy, jeżeli nie przepelniają więzień, to chronicznie bywają w kollizyi z kodeksem karnym. Zajmuje się nimi statystyka kryminalna, — my zabezpieczamy się tylko przed nimi za pomocą kluczów i zatrząsków, a straciliśmy dla nich zupełnie to uczucie, jakie się mieć powinno dla bliźniego. Nie obchodzi nas nawet kwestya, skąd się oni biorą— ubolewamy tylko czasami nad tem, że 10 lub 11-letni chłopiec dopuszcza się już kradzieży, że nieraz jest złodziejem-procederzystą. Mamy wprawdzie dla takich nieletnich złoczyńców zakład karny w Studzieniu, który okazał się bardzo pożyteczną instytucją, ale nie baczymy na to, że gdyby takiemu dziecku wcześniej zapewnić jakąś opiekę i wskazać mu drogę, to z wszelkiem prawdopodobieństwem studzieniecka metoda poprawcza okazałaby się dla niego niepotrzebną.

Bo i skąd się biorą ci nieletni zbrodniarze? Wytwarza ich środowisko—ulica. Tam się wychowują dzieci biedaków, tam nawet dzieci najmoralniejszych rodziców, ale smaganych biczem nędzy i nie mo-

gących im zapewnić opieki, wchodzą w styczność z żywiołami, przesyconemi miazmatami zepsucia i zbrodni, i od nich zarażają się nieświadomie.

Ulica wielkiego miasta — to początek złego dla tych, którzy nie mają przed nią schronienia odpowiedniego, których rzeczywiście los częstokroć „na bruk rzuca“.

Jeżeli więc pragniemy radzić złemu, to praca nasza w tym kierunku zacząć się powinna od ulicy.

Powstało wprawdzie u nas Towarzystwo przeciwbębracze, ale nie umie ono rozwinąć działalności swej tak, jak tego oczekiwano na razie. Co tydzień czytamy w gazetach sprawozdanie policyi o ujętych za żebranię uliczną. Cyfra ich rzadko jest niższa od 100, a więc proceder ten po dawnemu kwitnie.

A oprócz żebraków waleśa się u nas po ulicach mnóstwo dzieci bezdomnych, niedorośtków, których właściwem miejscem były-by przytułki dobroczynne i ochrony. Ulica, zatruwając ich jadem swoim powoli, sącząc w nich zepsucie, rzucając w wir swój i zamęt — niedostrzegalnie prawie budzi w nich drżące na dnie duszy złe instynkty, które się z biegiem czasu rozrosną, i jak chwast bujny zagłuszą nawet te nieliczne ziarna dobre, które w dziecku z posiewu matki, lub jakiejś innej dobrej ręki, być mogły.

Sprawa to boląca, i nieraz zwracano na nią uwagę. Obecnie poruszyła ją w „Przeglądzie pedagogicznym“ p. Dunin - Sulgustowska, wskazując na specjalne, istniejące w Szwecyi i Finlandyi, instytucye, tak zwane pracownie dla dzieci. W Helsingforsie i Abo niema ani jednego dziecka, żebrzącego na ulicy — zapewniała w przemówieniu swem na kongresie paryskim delegatka tych miast, p. A. Herta Retzius. Stan taki miasta te zawdzięczają tylko owym pracowniom.

A urządzenie ich jest następujące:

Lokal pracowni składa się zwykle z kilku pokojów i kuchni z umeblowaniem jak najprostszem. Na czele instytucyi stoi przełożona i komplet nauczycielski. Dzieci (od lat 7 do 14) przychodzą do pracowni w dwóch zmianach: młodsze od 11 do 1-ej, starsze od 5 do 7-ej i pół. Zakład dzieli się na oddziały, z których każdy ma dwóch nauczycieli. Dzieci pracują rozmaicie, uprawiając rzemiosła takie, jak stolarstwo, koszykarstwo, szewstwo, szczerkarstwo, szycie, tkactwo i t. d. Roboty, wykonane przez nie, są własnością pracowni, która urządza ich sprzedaż dwa razy do roku. Jeżeli dziecko wykona dodatkowo jaką robotę w domu, wówczas otrzymuje za nią zapłatę.

O dobroczynnym wpływie pracowni tych — mówi p. Dunin-Sulgustowska — trudno wątpić, zwłaszcza, gdy się widzi niesformą przedtem rzeszę przy pracy; dzieci są takie swobodne i wesole, często tak

zajęte robotą, że nawet wejście obcych osób, zwiedzających pracownię, wcale im nie przeszkadza.

Nie ludzimy się bynajmniej tem, żeby zakłady takie były jak panacaeum, lekiem radykalnym na wszystko złe, co z nędzy i ciemnoty płynie, ale zaprzeczyć się nie da, że stworzenie kilku instytucji tego typu w Warszawie ogromne miało-by dla niej znaczenie, i bardzo korzystnie odbiło-by się na jej poziomie etycznym. Są charaktery, których nie zegniesz żadną wolą, są instynkty, których nic nie uspi, i prędzej czy później wybuchną one z żywiołową siłą; są skłonności wrodzone — ale jest także cały zastęp jednostek, które wystarczy od złego wpływu uchronić, ażeby dobrą drogą poszły, i dla tych właśnie jednostek z pośród dzieci „ulicznych“ pracownie takie były-by zbawienne.

A koszt ich utrzymania nie jest wielki. Do dochodu, ze sprzedaży robót płynącego, dodaje gmina mieszkanie, światło i 1,800 koron rocznie zapomogi. Z tego otrzymują wynagrodzenie nauczyciele, a dzieci pokarm zdrowy i obfity.

Więc, czy wiek nowy nie przyniesie nam chociaż jednej na początek „pracowni dla dzieci“?

Jeżeli współczesne życie duchowe, zbrudzone w atmosferze ustawicznej walki i pogoni za pieniądzem, powinno być obmyte w czystej krynicy poezji, jeżeli mu trzeba na gwałt „czystości“, o którą tak energicznie dopomina się dzisiejszy ruch etyczny, zwłaszcza w Skandynawii i w Niemczech; to nie mniej i ciałom naszym przydała-by się czystość, bo chyba „duch czysty“ w brudnym ciele niechętnie przebywa.

A jednak jesteśmy najbrudniejszym narodem z rzeszy ludów cywilizowanych, i tak mało troszczymy się o czystość ciała, jak gdyby ta kwestya nie posiadała dla nas żadnego interesu, a przecież to kwestya higieny i zależnego od niej zdrowia publicznego. Sa l u s p o p u l i niewiele nas widocznie obchodzi. Nie pracujemy wcale nad tem, ażeby szersze masy naszego społeczeństwa pojęły znaczenie kąpieli dla zdrowia, nie mamy żadnych urządzeń w tym kierunku, żadnego wytkniętego planu na przyszłość, nie posiadamy na całych obszarach ziemi poza obrębem miast większych ani jednej łaźni parowej,

ani jednego zakładu kąpielowego. Lud nasz wiejski przyzwyczajony jest do tego, ażeby obmywać ciało swoje tylko w lecie, i to jeżeli w danej miejscowości jest rzeka, lub struga. Czynią to przytem tylko młodszy—starszyzna wiejska całemi latami kąpeli nie używa. W miejscowościach, pozbawionych rzeki, lub większego zbiornika wody — są ludzie, którzy od czasu niemowlęstwa n i g d y kąpeli nie używali. I niema w tem żadnej przesady. Kto bliżej przypatrzył się życiu ludu, snadnie potwierdzić to może.

Stan taki wywoływał już niejednokrotnie utyskiwania naszych lekarzy. Nic jednak w kierunku zaradzenia złemu nie zrobiono. Dopiero „Towarzystwo higieniczne“, które coraz energiczniej krzątać się zaczyna około spraw, mających ogólne znaczenie, wydało w ostatnich czasach odezwę, w której zwraca uwagę na stopień zaniedbania czystości w różnych warstwach ludzi. Ażeby poznać istotny stan rzeczy, wystąpiło ono z kwestyonaryuszem, w którym znajdujemy pod II bardzo sumienne ugrupowanie pytań, dotyczących: a) kategorii osób, o których czystości zebrano spostrzeżenia, jako to: służba folwarczna, najemnicy małorolni, drobna szlachta, rzemieślnicy, robotnicy fabryczni i t. p.; b) pielęgnowanie skóry, a mianowicie: Jak często kąpią noworodków? Czy do kąpeli nie kładą brudnych pieluszek (zwycaj bardzo zakorzeniony)? Czy i jak często kąpią się starsi? Częstość umywania rąk, twarzy, czesania włosów? Sposób mycia. Używanie ręcznika i t. d.; c) wreszcie czystość bielizny i pościeli.

Jeżeli kwestyonaryusze te trafią do ludzi chętnych i pojmujących dobro społeczne, a sumiennie wypełnione zostaną, to niewątpliwie dostarczy to Towarzystwu higienicznemu poważnego materiału do gruntownego opracowania tej kwestyi — tylko że w danym wypadku mniej iść powinno o wyczerpującą literaturę przedmiotu, więcej natomiast o szybkie zaradzenie złemu. Towarzystwo pragnie na razie stwierdzić fakt, powszechnie znany i odczuwany, a co przedsięwzięcie potem i jak się sprawą uregulowania stosunków zdrowotnych po wsiach i miasteczkach zajmie—to zobaczymy. W każdym razie należy mu się uznanie za poważne postawienie na porządku dziennym tej klęski narodowej, jaką jest brud i niechlujność nasza.

Rok bieżący przyniósł nam nowy konkurs powiesciowy. Redakcja „Biblioteki dzieł wyborowych, pragnąc zapewnić czytelnikom swoim jak największy wybór nowych, oryginalnych powieści, nawołuje autorów do napisania powieści historycznej, lub obyczajowej, nie krępując ich wyborem tła ani formy, lecz ograniczając jedynie sposób opracowania o tyle, żeby każdy utwór nadesłany mógł stanowić odpowiedni pokarm duchowy dla rodzin polskich, ażeby objętość jego nie była mniejsza od jednego tomu „Biblioteki“, i żeby nie był przedtem nigdzie drukowany. W odezwie Redakcyi znajdujemy jeszcze uwagę, dotyczącą wykluczenia utworów czysto negacyjnych, pesymistycznych, nie wnoszących w umysł czytelnika żadnych pierwiastków dodatnich.

Na cel konkursu Wydawnictwo „Biblioteki“ przeznacza sumę rubli 2,000, które rozdzielone będą na trzy nagrody: nagroda pierwsza 1,000 rubli, druga 600 i trzecia 400.

Sąd konkursowy zdanie swoje oprze na opinii Redakcyi i na modnem dzisiaj głosowaniu czytelników.

Nie wdając się w to, czy głosowanie takie do istotnego celu prowadzi, i w jakim jest ono stosunku do fachowej, obiektywnej krytyki literackiej, pragniemy zwrócić uwagę na owo wyłączenie utworów pesymistycznych. Fakt to znamieny. Wyłączono strunę, która w twórczości współczesnej dźwięczy najsilniej. Kto i gdzie jej nie targal, kto z niej nie wydobywał szarpiających duszę krzyków, bolesnych nastrojów, smutnych refleksyi. Tak mało mamy w dzisiejszej literaturze rzeczy słonecznych, jasnych, pogodnych, że doprawdy pragnienie ciepła i słońca powinno się było w nas obudzić i przejawić z ogromną siłą. Ale ciepła i słońca mało jest w życiu, więc go mało i w tej literaturze, która na dokumentach życiowych istnienie swoje i rozwój oparła. Wychowani jesteśmy na smutnych książkach i do nich przyzwyczajeni. Pesymizm, który taką szeroką falą rozlał się po Europie, spowil nas w jakąś mgłę szarą i nieprzejrzystą, zmysły nasze przyćmił, osłabił w nas zdolność odczuwania tego, co w życiu jest przyjemne i co może dać upojenie, doprowadził nas do tego, że nieraz wśród kwiatów stąpamy, i albo ich nie dostrzegamy zupełnie, albo nie mamy woli, potrzebnej do tego, ażeby się schylić i kwiaty owe zrywać, i pić ich zapach rzeźwiący.

Pesymizm ten uznano powszechnie za chorobę wieku. Badacze życia społecznego i filozofowie zgłębiać zaczęli jego przyczyny, wie-

le z nich znaleźli i wyjaśnili, analizowali smutek duszy ludzkiej i jej bezbrzeżną melancholię w pewnych momentach, jej przygnębienie i apatię, jej rozstrój i bezład, prowadzący w tylu wypadkach do obłądzenia! Ogłaszając swoje spostrzeżenia, próbowali nieść ulgę cierpiącemu światu, podjęli walkę z pesymizmem, nawoływali do ideałów, nieraz w bardzo gorących i podniosłych słowach. I zaczęło się powolne, stopniowe odradzanie, zaczęły się powroty umysłów, rozpiętych na krzyżu męczących dociekań, na łono religii, człowiek współczesny w smutku swoim szedł do ciszy ogromnej ostrolnukowych świątyń gotyckich i tam u stóp Chrystusowych znajdował ukojenie. Ale to ukojenie znalazły tylko jednostki, a zastępy całe ludzi intelligentnych gną się jeszcze pod brzmieniem tych rozpaczliwych stanów duszy, która w nic nie wierzy i o wszystkim wątpi. I pośród nich znajdują się artyści znakomici pisarze, poeci, których słowo ma oddźwięk w szerokich masach i własną ich rozpacz przelewa w umysły bliźnie. Dla tego literatura była i jest najpotężniejszym induktorem tego pesymizmu, który nam mózgi i serca przeżera. Maupassant, Arne Garborg, Strindberg, Bourget i tylu, tylu innych pisarzy światowego rozgłosu nie przeszli bez wpływu na nasze myślenie.

Pesymizm wtargnął i do naszej literatury, i u nas poważnie się odbił na twórczości lat ostatnich, i u nas stworzył piśmiennictwo smutne, które się długo rozwijać będzie, bo długo znajdzie oddźwięk w nastroju ogólnym. Kiedyś narodzi się może literatura „słońca i szczęśliwości“, ale zanim to wszystko samorzutnie nastąpi z uznaniem witać musimy próbę sztucznego jej hodowania. I dla tego za bardzo dobry pomysł uważać należy ograniczenie nowego konkursu i wyłączenie z niego wszystkiego, co jest negacją i pesymizmem.

Jaki będzie plon konkursu, kto stanie do apelu i kto wyjdzie z laurem zwycięzcy—czy będziemy mieli, jak się to już utarło—nową laureatkę, czy jaki nieznaną jeszcze talent na powierzchnię wypłynie, tego powiedzieć nie można, ale mamy zupełną nadzieję, że konkurs przyniesie nam rzecz prawdziwie wartościową, która będzie zdrowym pokarmem, a nie powabną przez swoją piękność zewnętrzną trucizną.

Bardzo szczęśliwą myśl mieli pp. C. Domaniewski, architekt, i Maryan Wawrzeniecki, artysta malarz, wydając niewielką książkę „O rozróżnianiu stylów w architekturze“.

Wzorowana na doskonałej broszurze Hansa Sebastjana Schmida, p. t. „Kunst-Stil-Untersuchung“, książeczka przeznaczona została dla osób poświęcających się sztuce stosowanej. Opatrzona 200 rysunkami, wykonanymi przez zakład fotograficzny Wierzbickiego i S-ki w Warszawie, traktowana konspektowo i przystępnie, może i powinna służyć także i do użytku ogółu.

Wiadomo, jaki u nas panuje zamęt na punkcie rozróżniania stylów architektonicznych.

Jesteśmy zazwyczaj w każdej dziedzinie dylettantami, lub za takich się uważamy i lubimy rozprawiać o wszystkim, rozprawiamy więc i o stylach; jak mało jednak znajdzie się u nas ludzi, którzy nie już gruntowne znawstwo, ale pewne, pobieżne wskazówki do rozróżniania stylów posiadają i mówią o architekturze, nie jak o wilku żelaznym.

Warszawa mało ma budynków stylowych, są to przeważnie gmachy i starsze świątynie. Przeciętna kamienica dzisiejsza jest taką mieszaniną, że klasyfikować się nie da, ale bądź co bądź, da się w niej odróżnić to i owo, co jest renesansem, barokiem, lub należy do greckiej ornamentyki. Posiadamy też w mieście kilka willi dość „czysto“ budowanych, mówi się jednak u nas przeciętnie o nich, że są włoskie albo francuskie, dosypuje się do tego trochę specjalnych, ze słownika sztuki zaczerpniętych wyrażen, i na tem koniec. W rozróżnianie stylów nikt się nie bawi—nie wiele nas zresztą obchodzi to, co jest w domu, a budowle stylowe, które widzimy za granicą—mają przecież odpowiednie wyjaśnienie w Bedaeckerze. Po kraju mało kto podróżuje, a już nikt nie chciałby się zastanowić nad tem, czy spotkany w jakimś Ryplinie czy Koziegłowach kościół omszony i stary jest stylowy i w jakim budowany stylu.

Jeżeli jednak odezwie się w kim sumienie i zapragnie on wiedzieć o tem, co mówi, lub dowiedzieć się tego, co mu jest jeszcze nie znane—to broszura pp. Domaniewskiego i Wawrzenieckiego doskonałym będzie dla niego przewodnikiem.

Pominąwszy krótkie a treściwe załatwienie się ze stylem egipskim, książka dosyć obszernie omawia style klasyczne, a więc greckie: grecko-doryck, grecko-joński, niewłaściwie nazwany j o n i c k i m (!)

i grecko koryncki; styl toskański, jako przejściowy pomiędzy stylami greckim a rzymskim, wreszcie ten ostatni. Style staro-chrześcijański i bizantyjski znajdują już nieco słabsze uwzględnienie, zwłaszcza w tablicach objaśniających. W treściwie podanych wskazówkach, dotyczących stylu okrągło-lukowego (romańskiego) i ostro-lukowego (gotyckiego) brak wymienienia przynajmniej główniejszych budynków w kraju naszym, gdzie tyle w obu tych stylach przechowało się kościołów. Sądźmy, że umieszczenie kilku rysunków, przedstawiających podobizny mniej znanych ogółowi, a klasycznych budowli małopolskich, spotkało-by się z uznaniem wielu czytelników. Renesans traktowany jest, jak na rozmiary książeczki, sumiennie i obszernie, ze specjalnym podziałem „O odrodzeniu w Niemczech”—co zawdzięczać należy zapewne źródłu, z którego czerpali. Za to z Barokiem, stylem Rokoko i Empire załatwiono się zbyt krótko, również nie wspominając o tem, co i gdzie w tych stylach wzniesionego znajduje się u nas. Określenie, że „Upadek Barocco zowie się Roccoco” nie każdemu chyba wystarczy.

Nie mniej jednak książka „O rozpoznawaniu stylów” będzie w społeczeństwie naszym bardzo pożyteczna i jak najszerszej powinna się rozejść, a autorom jej należy się zupełne uznanie za podjęcie wyśławnictwa.

Styl jest rzeczą ważną nie tylko w architekturze. Tak przesyćiliśmy się tandetą wszelkiego rodzaju, tak mamy jej dosyć na każdym kroku, począwszy od szablonoego umeblowania dzisiejszego salonu mieszczańskiego, a kończąc na najdrobniejszym szczególe galanteryjnym, że oko nasze z przyjemnością zatrzymuje się na wszystkim, co jest stylowe, czy to będzie mebel zakopiański, czy jakiś wyrób złotniczy lub ślusarski, czy witraż kościelny, plafon lub kurtyna w teatrze.

Potrzeby nasze zaspokoić może byle co, ale podoba nam się tylko to, co nosi na sobie znamię sztuki. Szukamy jej wszędzie, niestety, w wielu wypadkach nadaremno. Cały nasz przemysł dekoracyjny nosi na sobie piętno zupełnego zwyrodnienia smaku, a chełpiąc się czasami mianem sztuki dekoracyjnej, w żadnym nie zostaje z nią związku. W Warszawie bardzo mało jest rzemieślników o pewnym smaku i o dążeniach artystycznych, a niema prawie artystów, którzy-

by zejść chcieli do przemysłu i zaopiekować się jego stroną artystyczną.

Pomiędzy tem, co jest dziełem rąk ludzkich, a co pozostaje pod technieniem ducha, niema u nas prawie żadnego pokrewieństwa, obie te dziedziny spotykają się bardzo rzadko.

Jedno z takich spotkań przypadło szczęśliwym zbiegiem okoliczności obecnie. Na rogu ulicy Królewskiej i Placu Saskiego otwarto „wystawę sztuki kościelnej i dekoracyjnej“. Afisz zapowiedział: plafony, tympanony, panneaux, witraże, brzozy artystyczne, rękodzieła złote i srebrne, makaty, gobeliny, meble oryginalne, urządzenia pokojów itd. W rzeczywistości wszystko to mieści się w trzech niewielkich pokojach i przedstawia się o wiele skromniej, niżby z zapowiedzi wnosić było można. Ale to początek. Takie wystawy — to u nas jeszcze nowość.

Sztuka kościelna reprezentowana na wystawie stosunkowo niewiele. W dziale jej zwraca uwagę bardzo ładny, choć niewielki, obraz Cignaniego (1628 — 1719), ostatniego przedstawiciela znakomitej szkoły bonońskiej, i wcale piękne płótno Barbiera. Jest także rzecz większa Alchimowicza: Chrystus, błogosławiący rzeszom i dwa szkice — Powołanie Piotra i Rozesłanie apostołów. Poza tem zasługują na zaznaczenie ciekawe antepedia Piersza z XVIII wieku i śliczne rzeczy wypalane w drzewie przez Rudzińskiego i Bormana. Spółka tych artystów wystawiła także dwa ładne projekty na polichromię kościołów w stylu gotyckim i odrodzenia.

To wszystko jednak jest sztuką samoistną, do której, chociaż w innym dziale, zaliczyć również trzeba szkice do plafonów Jasińskiego, dwie wielkie kompozycje Kaufmanna, „Kobziarza“ i „Prządkę“ Kędzierskiego.

Sztuka stosowana i sztuka dekoracyjna znalazły słaby tylko wyraz w tem, co wystawiły pp. Poświkowa i Nowińska (dwa garnitury mebli), p. Spleszyńska, która dała dwa bardzo ładnie wykonane afisze, i p. Jaillard (stoliczek). Ładne świeczniki p. Szewczykowskiego i cztery stoliki (mozaika francuska), ze zbiorów d-ra Dumina, oraz trochę „martwej natury“ i bardzo niewiele gobelinów — uzupełniają ten skromny dział dekoracyi.

Wobec tego wystawa nie spełni należycie swego zadania. Odwiedzający ją rzemieślnik nie skorzysta z niej tak, jakby tego oczekiwać można, sądząc po ogłoszeniach i polecaniu pism codziennych.

Jak o dostarczenie rzemieślnikom odpowiednich wzorów w tym kierunku dba zagranica, o tem świadczy najlepiej choćby tylko jedno, wychodzące w Niemczech, pismo p. t. „Dekorative Kunst“. Każdy jego zeszyt zawiera sporą ilość ładnie wykonanych rysunków i po-

uczające przy nich objaśnienia. Specyjalnego pisma, poświęconego sztuce dekoracyjnej, nieprędko się doczekamy, ale powinniśmy dbać więcej o wystawy tego rodzaju i uczynić z nich szkołę prawdziwą dla naszych rzemieślników, którzy niewątpliwie chętnie z wszelkich wskazówek skorzystają, bo mają spryt i zdolności z pewnością większe od swych niemieckich towarzyszków.

W grudniu odbył się w Warszawie piąty z kolei Zjazd górniczy. W zjazdach takich uczestniczą reprezentanci kopalni i zakładów w kraju istniejących, oraz przedstawiciele sfer rządowych. Koszta ich pokrywają stosunkowe opłaty od właścicieli i towarzystw górniczych, które wynoszą około 40,000 rs. Każdy zjazd wybiera radę górniczą, zawiadującą sprawami górnictwa pomiędzy jednym a drugim plenarnem zebraniem. Zadanie jej stanowi wykonanie powziętych na zjeździe uchwał, przysposobienie i zgromadzenie materiałów do obrad następnego Zjazdu, oraz wypracowanie sprawozdania ze swych czynności.

Sprawozdanie takie odczytane było z natury rzeczy na wstępie obecnego zgromadzenia.

Dźwięczała w niem nuta pesymistyczna. Ustępująca rada zaznaczyła z ubolewaniem, iż wszystkie poruczone opiece jej sprawy stoją w miejscu, albo posuwają się bardzo powoli. I tak — ulg w taryfach nie uzyskano, co przy węglu jest jedną z przyczyn tak dotkliwej obecnie jego drożyzny. Nie uzyskano też od zarządu drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej żadnych środków, zabezpieczających transporty węgla od kradzieży. Kradzieże te tak się zakorzeniły i tak w ostatnich czasach wzrosły, że według ścisłych obliczeń 3% — 5% ogólnej ilości przewożonego węgla ginie w drodze. Spelżyły również na niczem starania rady o zamianę Dąbrowy i Sosnowca na miasta, co miało-by nieprzeliczone a nader dobre następstwa dla tych osad, będących środowiskami naszego przemysłu górniczego. Nic wreszcie nie zrobiono w kwestyi poprawienia bytu robotników górniczych.

Great attraction Zjazdu dla szerszych kół stanowił wy-czerpujący referat inż. Grabińskiego „O drożyznie węgla”. Spodzie-

wano się nietylko wskazania istotnych przyczyn tej drożyzny, ale liczono zarazem i na to, że Zjazd przedsięwzięmie jakieś środki ze swej strony w kierunku unormowania cen i zapobieżenia wyzyskowi ludności, przez mniejszych lub większych składników. Inż. Grabiński atoli dowiódł tylko wszechświatowej drożyzny węgla i uzasadnił, że w obecnych warunkach węgiel nie może stanąć, a Zjazd wobec całej tej kwestyi zachował się biernie i z nietajoną nawet obojętnością.

Wiadomości bibliograficzne.

— Krakowska Akademia Umiejętności wydała swój rocznik za rok 1898/9; Kommissya zaś historyczna rzeczonej Akademii ogłosiła tom siedemnasty swego wydawnictwa: „Pisarze dziejów polskich“ (*Scriptores rerum polonicarum*), zawierający: „Ks. Jana Wielewskiego T. J. Dziennik spraw domu zakonnego Jezuitów u św. Barbary w Krakowie, od roku 1620 do roku 1629 włącznie“ (tom IV).

— Jako odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“, wyszło studjum Szymona Askenazego, przejrane i uzupełnione, pod tytułem: „Przymierze polsko-pruskie“.

— Aleksander Hirschberg, wydał we Lwowie: „Pamiętnik Stanisława Niemojewskiego“ (1606 — 1608).

— Odpowiedź na rozprawę p. Jelskiego pod tytułem: „Możnowładztwo nasze i tytułomania“, napisał Michał hr. Tyszkiewicz w broszurze, noszącej nazwę: „Zaściankowe pojęcia o możnowładztwie naszym“.

— Ludwika Gumpłowicza rozprawa: „Socjologiczne pojnowanie historii“, wyszła w odbite z „Przeglądu Filozoficznego“.

— Nakładem Bronisława Natansona ukazały się następujące „Życiorysy znakomitych ludzi“: J. K. Kochanowskiego: „Kazimierz Wielki“; Edwarda Porębowicza: „Św. Franciszek z Assyżu“; Haralda Höffdinga: „Jan Jakób Rousseau“ (w przekładzie Zygmunta Herynga), i tegoż autora: „Karol Darwin“ (w tłumaczeniu d-ra M. F.).

— Taż sama firma wydawnicza wydała w przekładzie z niemieckiego: „Sumienie“ d-ra L. Oppenheima.

— W formie odbitek z „Przeglądu Filozoficznego“, lub jako wydawnictwa redakcyi tego miesięcznika ukazał się cały szereg rozpraw, a mianowicie: przekład „Marzeń Jasnowiedzącego“ Kanta; „Ibn Chaldon, socyolog arabski XIV wieku“ Ludwika Gumplowicza; „Psychologia mowy“ Karola Appla; „O stosunku pojęć i zasad fizycznych do filozofii“ W. Heinricha; „Psychologiczne źródła niektórych zasadniczych praw przyrody“ Wł. M. Kozłowski.

— Książka tego ostatniego autora pod tytułem: „Co i jak czytać, wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne“, wydana została nakładem B. Natansona.

— Redakcyja „Głosu“ wydała Juliusza Payota: „Kształcenie woli“ w przekładzie J. P. Potockiego.

— Tłómaczenie dziełka C. Wagnera pod tytułem: „Podstawy życia rodzinnego“, wyszło nakładem księgarni Dubowskiego w tłómaczeniu z francuskiego Konstantyny Białeckiej.

— Do lwowskiego wydawnictwa: „Wiedza i życie“, przybyła książka d-ra Marcina Ernsta, pod tytułem „O przyrodzie planet“.

— Z literatury prawniczej mamy do zanotowania dwie książki: Franciszka Podleńskiego: „Upadłość i bankructwo“ i Aleksanera Mogilnickiego: „Sądy administracyjne“ (przedruk z „Gazety sądowej“).

— Drukowana w „Kraju“ powieść Maryana Gawalewicza pod tytułem: „Znak zapytania“, wyszła w oddzielnej książce. O utworze tym, napisanym z wielkiem życiem, podamy obszerniejszą ocenę.

— Tom 116 „Biblioteki dzieł wyborowych“ opuścił prasę i zawiera interesujące: „Wspomnienia Berlińskie i Poznańskie z 1848 roku“, Henryka Szumana z przedmową Aleksandra Kraushara i z ilustracyami.

— W Bibliotece miniaturowej Gebethnera i Wolffa ukazał się „Wybór pism Jana Kochanowskiego“ z portretem poety według obrazu Ma'ejki.

— Dwa zeszyty znakomitego dzieła Juliana Klaczki: „Juliusz drugi“, o którym „Biblioteka“ podała w swoim czasie wyczerpujące studjum Maryi Konopnickiej, ukazały się niedawno. Wydanie przekładu całego dzieła podjęła młoda, ruchliwa firma Władysława Okręta.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.